GLAPIŃSKI
Porachunki prezesa NBP

PORA NA KLĘSKĘ
Putin i Rosja według Herodota

TERLIKOWSKI:
Jestem w innym Kościele

NOWA TOKARCZUK
Udręki męskości i podstępy natury

POWRÓT BOBRA
Najbardziej polskie z polskich zwierząt

Kraków 29 maja 2022 nr 22 (3803) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

Kto nam pomoże

PSYCHOTERAPIA W TRUDNYCH CZASACH

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

KAŻDA LITERA ODCZYTANA Z ZATARTEJ CZASEM MACEWY TO POCZĄTEK HISTORII, KTÓRA STOPNIOWO NABIERA ROZPĘDU I ZATACZA CORAZ SZERSZE KRĘGI. ABY ZACZĄĆ JĄ OPOWIADAĆ, TRZEBA RZUCIĆ NA KAMIEŃ ŚWIATŁO PAMIĘCI.

KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY
KONKURS POLSKI
2022

UKOS ŚWIATŁA

SCENARIUSZ I REŻYSERIA **WOJCIECH SZUMOWSKI** | MONTAŻ **TADEUSZ TALAR** | PRODUCENT **ALEKSANDER KARDYŚ**
PRODUCENTKA WYKONAWCZA **AGNIESZKA ISKRA** | KIEROWNIK PRODUKCJI **GRZEGORZ TROCHANOWSKI**

FOT. JACEK TARAN

PRODUCENT
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER STRATEGICZNY FILMU
WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA z siedzibą w Rzeszowie

PARTNERZY
TYGODNIK POWSZECHNY
GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM
KONRAD ADENAUER STIFTUNG

MECENASI PROJEKTU
WOLF & DORA RAJCHER MEMORIAL FUND
FIWI

MATERIAŁ POWSTAŁ PRZY WSPARCIU
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mogę o tym powiedzieć

MICHAŁ SOWIŃSKI

Już od 12 lat gdańska nagroda Europejski Poeta Wolności wyróżnia poetów i poetki, którzy poprzez swoje wiersze opowiadają o fundamentalnych wartościach naszego świata.

Choć pojawia się tu nazwa naszego kontynentu, nie o geografię chodzi, ale o wspólnotę, którą zachodni świat na różne sposoby buduje od wielu dekad. W tym projekcie szczególną rolę mają do odegrania właśnie poeci i poetki, bo to oni posiadają zdolność opisywania naszej rzeczywistości i jednoczesnego poszerzania jej granic. Dzięki nim możemy zobaczyć więcej – czasem są to rzeczy zachwycające albo intrygujące, kiedy indziej przerażające, na opisanie których brakuje słów w naszych słownikach.

A powinny się one tam znaleźć. W ostatnich miesiącach często słyszymy: „to niewyobrażalne" albo „tego nie sposób opisać". Normalna reakcja w obliczu okrucieństwa, z którym wszystkim Europejczykom przyszło się zmierzyć. Musimy jednak jak najszybciej otrząsnąć się z szoku i zacząć szukać nowych języków opisu tego, co jeszcze niedawno było właśnie poza naszą wyobraźnią.

Z pomocą, jak to już bywało w przeszłości, przychodzą nam wiersze. Kilkadziesiąt lat temu europejscy intelektualiści pytali, czy po komorach gazowych i obozach koncentracyjnych jest jeszcze możliwa poezja. I wielu w pierwszym odruchu odpowiedziało, że nie, że to już bez sensu, że jakiekolwiek ujęcie tego, co się wydarzyło, przekracza możliwości literatury. Na szczęście nie mieli racji – mordercom nie udało się zatrzeć śladów swoich zbrodni.

W tym roku po raz pierwszy w historii nagrody tytuł Europejskiego Poety Wolności przyznano dwóm poetkom: Ukraince Mariannie Kijanowskiej za tom „Babi Jar. Na głosy" (w tłumaczeniu Adama Pomorskiego) oraz Albance Luljecie Lleshanaku za tom „Woda i węgiel" (w tłumaczeniu Doroty Horodyskiej). Jury nie miało wątpliwości, że właśnie te dwa zbiory zasłużyły na wyróżnienie. Nie tylko ze względu na ich szczególne walory literackie, ale również dlatego, że obie autorki – oczywiście każda w swoim idiomie – potrafiły w tak przejmujący sposób opowiedzieć o ludzkim cierpieniu i pogardzie wobec jednostkowego doświadczenia.

Lleshanaku w tytułowym wierszu tomu mówi: „Woda i węgiel. Mierzalne. / Ważą ciebie, kiedy się rodzisz, mierzą twoją długość i bicie serca, / zamykają i stemplują pępkiem jak ołowianą pieczęcią – / nie masz już władzy nad sobą!". To tylko preludium do długiej i bolesnej opowieści o odzyskiwaniu wolności w świecie naznaczonym totalitarną dehumanizacją. Z kolei Kijanowska, jakby w odpowiedzi na te słowa, tak zaczyna jeden z wierszy, który opowiada o traumie Holokaustu rezonującej w kolejnych pokoleniach: „dopiero teraz mogę o tym powiedzieć". Fraza ta powraca jeszcze dziesięć razy. I właśnie w tym gorzkim refrenie – jakby nabieraniu oddechu przed kolejnymi wersami – da się usłyszeć nadzieję. Że jednak da się o tym powiedzieć.

ORGANIZATORZY
GDAŃSK
instytut kultury miejskiej
PARTNERZY
Pismo
GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI
IOECZNIA
MARPRESS WYDAWNICTWO
Czech Lit
NOMUS
STOCZNIA CESARSKA
olivia garden
With the support of the Creative Europe Programme of the European Union
ICORN
PATRONI MEDIALNI
wyborcza.pl TRÓJMIASTO
KSIĄŻKI
trojmiasto.pl
TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
prestiż magazyn trójmiejski

20 Stale nadaje. Ale nie odbiera
KAROLINA LEWICKA
Adam Glapiński najlepiej liczył kasę, więc uznano, że da sobie radę w NBP. Ma tam realizować politykę rządu i przechowywać kadry Kaczyńskiego.

48 Memy też są bronią
ROZMOWA Z JOHNEM SPENCEREM, ANALITYKIEM WOJSKOWYM:
Symbole i legendy są tym, o co ludzie walczą. Ukraińcy dali Rosji szkołę tego, co nazywamy wojną informacyjną.

32 Ból świata
TOMASZ P. TERLIKOWSKI
Kościół jest po to, by głosić Boga, który objawił się w Chrystusie. To jedyna realna racja jego istnienia. Gdzie zanika misja, pojawia się stan śmierci.

78 Krezus, Putin i Herodot
MAREK WĘCOWSKI
„Zniszczysz wielkie państwo" to motto, które powinien nad swoim biurkiem zawiesić każdy możny polityk naszego świata.

62 Rozbieranie
RYSZARD KOZIOŁEK
Olga Tokarczuk sięgnęła po klejnot literacki, w postaci Sokołowska, wsi i sanatorium, które było rzeczywistym prototypem Berghofu z „Czarodziejskiej góry".

26 Bobrodzieje
ADAM ROBIŃSKI
Pocztówka z Polski? Proszę bardzo: chopinowska wierzba na miedzy, bocian w trawie i żeremie jak chałupa.

FILIP BŁAŻEJOWSKI / GAZETA POLSKA / FORUM // MATERIAŁY PRASOWE BIURA PREZYDENTA UKRAINY // MATERIAŁY PRASOWE VEDDER INTERIOR'S // PIOTR KAMIONKA / REPORTER // ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL // PAWEŁ MURZYN / EAST NEWS

6 Rosja bierze świat głodem
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Stale nadaje. Ale nie odbiera
KAROLINA LEWICKA

24 Wiraże pełne wirów
JAROSŁAW FLIS *o tym, że groźby rozpadu koalicji i nowych wyborów są tylko chwytami negocjacyjnymi*

26 Bobrodzieje
ADAM ROBIŃSKI

WIARA

32 Ból świata
TOMASZ P. TERLIKOWSKI

36 Pieśni kłopotliwe
KAROL KLECZKA: *Co zrobić z muzyką liturgiczną, jeśli okaże się, że jej twórca wykorzystywał seksualnie nieletniego?*

39 O pożytkach z błądzenia
MACIEJ MÜLLER: *To w ogniu polemiki z herezjami Kościół wykuwał swoje pierwsze dogmaty*

ŚWIAT

42 Bój o Charkowszczyznę
PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z PŁN.-WSCH. UKRAINY: *Ukraińska armia może wkrótce odzyskać kontrolę nad kolejnymi odcinkami granicy*

46 Jak długo można się kulić
ULA IDZIKOWSKA Z ZAKARPACIA: *W tej dolinie próbują dojść do siebie uciekinierzy z innych części Ukrainy*

TEMAT TYGODNIKA

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

12 Kto nam pomoże w trudnych czasach
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Nie wiadomo, co w dobie dzisiejszych kryzysów psychicznych gorsze: wysyp szarlatanów czy niedobór prawdziwych fachowców od pomocy. Pierwszy z problemów ma rozwiązać ustawa o zawodzie psychologa. Na drugi nie ma pomysłu.

DODATEK

74 Krakowski Festiwal Filmowy

FELIETONY

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
61 TOMASZ STAWISZYŃSKI **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

48 Memy też są bronią
ROZMOWA Z JOHNEM SPENCEREM

51 Naddniestrzańska beczka prochu
PIOTR OLEKSY *o tym, czy zbuntowany region Mołdawii wystąpi przeciwko Ukrainie?*

HISTORIA

54 Taka cholera
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI: *Stanisław Twardowski prowadził własną wojnę. Najpierw z Niemcami, potem z komunistami*

NAUKA

58 Miasta na stepach
JAKUB MEJER *o europejskich metropoliach sprzed 6 tysięcy lat*

KULTURA

62 Rozbieranie
RYSZARD KOZIOŁEK

66 Każdy w swoją drogę
DARIUSZ KOSIŃSKI *żegna Ignacego Gogolewskiego i Jerzego Trelę*

69 Frodo w okopach
ROZMOWA Z JOHNEM GARTHEM, PISARZEM I BIOGRAFEM J.R.R. TOLKIENA

72 Oszczędzanie łez
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Infinite Storm" Małgorzaty Szumowskiej*

76 Fascynujący kłamczuch
LEKTOR *o dziele „Pan Mikołaj, czyli serce ludzkie odsłonione" Nicolasa Edme Rétifa de la Bretonne*

ZMYSŁY

78 Krezus, Putin i Herodot
MAREK WĘCOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Czy we władzy najważniejsze jest dobre nazwisko?
Wieloma demokracjami rządzą polityczne dynastie. Dlaczego wyborcy wybaczają im winy? – wyjaśnia **WOJCIECH JAGIELSKI**
| **www.tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Miłosny maj. Średniowieczny miesiąc zakochanych
W średniowieczu polowanie z sokołem porównywano do polowania na serce damy – opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA** w cyklu „Sztuka powszechnie nieznana" | **www.tygodnikpowszechny.pl/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ROSJA BIERZE ŚWIAT GŁODEM

Chcecie zapobiec klęsce głodu na świecie, zdejmijcie z nas sankcje – powtarzają władze na Kremlu. W konflikcie, którego stawką jest życie milionów ludzi, Putin zapewnił sobie mocną pozycję. Niszcząc i kradnąc.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Ta pszenica, zgromadzona w indyjskim porcie, już nigdzie nie popłynie: w połowie maja Indie wprowadziły zakaz jej eksportu ze skutkiem natychmiastowym. Kandla, 18 maja 2022 r.

Świat płonie. Mamy rozwiązanie, ale musimy działać teraz" – apelował sekretarz stanu USA Antony Blinken w ubiegłym tygodniu, podczas nowojorskiego szczytu poświęconego bezpieczeństwu żywnościowemu. Wiele jednak przemawia za tym, że na realizację rozwiązania, o którym mówi Blinken, jest albo za późno, albo będzie to wymagać ustępstw wobec Rosji.

O tym, że światu grozi kryzys żywnościowy, było wiadomo od dawna. Początkowo nałożyły się tu na siebie dwa czynniki: zerwanie łańcuchów dostaw podczas pandemii i zmiany klimatyczne. Eksperci wskazywali, że kryzys można złagodzić, jeśli tylko państwa nie zaczną zamykać rynków, kierując się strachem o własne interesy. Jak 15 lat temu: wtedy świat dotknęła katastrofalna susza, a Indie zakazały eksportu ryżu, co wywołało efekt domina – skutkiem był ogromny wzrost cen żywności. Powtórce takiej sytuacji miała zapobiec żywnościowa solidarność, ale na debatach o niej się kończyło.

24 lutego pojawił się trzeci czynnik: rosyjska inwazja przeciw Ukrainie, która odpowiadała dotąd za prawie 8 proc. światowego eksportu zboża. Z ukraińskich portów czarnomorskich wypływało miesięcznie 4,5 mln ton produktów rolnych, zwłaszcza pszenicy, kukurydzy i olejów spożywczych. Teraz od trzech miesięcy Rosja blokuje i bombarduje ukraińskie porty, a szlaki żeglugowe zaminowała. Chce być też pewna, że Ukraińcy nie będą mieli czego eksportować. Tylko w obwodzie dniepropе-

trowskim na skutek rosyjskiego ataku pod koniec kwietnia spłonęła taka ilość ziarna, jaką można by wykarmić 300 tys. ludzi przez rok. A to, czego Rosja nie niszczy, kradnie: władze w Kijowie podały, że Rosjanie z okupowanych terenów wywieźli już 400 tys. ton zboża.

Pierwsze oznaki paniki na rynkach już widać. Indie, drugi światowy producent pszenicy i dziesiąty jej największy eksporter, właśnie zakazały jej wywozu za granicę. Licząc od początku roku cena pszenicy wzrosła już o połowę. ONZ szacuje, że z powodu wojny Putina głód może zajrzeć w oczy 1,7 mld ludzi na świecie.

Podczas niedawnego szczytu G-7 jego uczestnicy wprost oskarżyli Moskwę, że próbuje rozpętać na świecie „wojnę zbożową". Podobne zarzuty powtarzano w Nowym Jorku, gdzie sekretarz generalny ONZ António Guterres ujawnił, że jest w „intensywnym kontakcie" z Rosją i innymi krajami, ale szczegółów nie podał, gdyż „mogłoby to podważyć szanse na sukces". W minioną sobotę Dmytro Kułeba, minister spraw zagranicznych Ukrainy, napisał na Twitterze, że udało się ustanowić dwie drogi lądowe, alternatywne dla szlaku morskiego, „aby ratować Afrykę i inne regiony przed głodem". Problem w tym, że lądem – o czym informował wcześniej Kijów – da się wywieźć zaledwie 20 proc. ukraińskiego ziarna.

Co na to Rosja? Jest największym na świecie eksporterem pszenicy i pomimo sankcji nie zamierza z tego rezygnować. „Będziemy dostarczać żywność naszym przyjaciołom za ruble i ich waluty krajowe" – oświadczył niedawno Dmitrij Miedwiediew, były prezydent i zausznik Putina. Gdy temat kryzysu żywnościowego na świecie stanął na Radzie Bezpieczeństwa ONZ, ambasador Moskwy o wzrost cen żywności obwinił Zachód, a apele o odblokowanie czarnomorskich portów zignorował.

Za sprawą wojny Rosja kontroluje dziś jedną trzecią światowego eksportu pszenicy, a także 20 proc. eksportu kukurydzy i ponad 70 proc. eksportu oleju słonecznikowego. Do tego jest jednym z głównych producentów nawozów i jednym z największych eksporterów gazu ziemnego, niezbędnego do ich produkcji. To oznacza, że nawet kraje, które są niezależne żywnościowo, mogą stać się celem jej szantażu. ©

SAM PANTHAKY / AFP / EAST NEWS

Sześćdziesiąt trzy dni Azowstalu

DOBIEGŁA KOŃCA heroiczna obrona zakładu metalurgicznego Azowstal w Mariupolu. W piątek 20 maja ostatni walczący złożyli broń, co stało się efektem politycznego porozumienia między Kijowem a Moskwą. W czasie 63 dni obrony ok. 2,5 tys. żołnierzy z pułku Azow i 36. Brygady Piechoty Morskiej zrobiło więcej, niż ktokolwiek od nich oczekiwał. Azowstal stał się jednym z symboli ukraińskiej wojny obronnej i niekwestionowanego bohaterstwa.

Gdy w pierwszym dniu inwazji wojska rosyjskie zaczęły szturm 400-tysięcznego Mariupola, jego upadek wydawał się kwestią godzin. Na Zachodzie przecież dość powszechne było oczekiwanie, że sam Kijów padnie w kilka dni. Tymczasem najważniejszy ukraiński port nad Morzem Azowskim bronił się na przekór wszystkiemu, płacąc za to gigantyczną cenę. Rosyjskie bombardowania dzielnic mieszkaniowych doprowadziły do śmierci nawet 25 tys. cywili. Wreszcie 18 marca Rosjanie zaczęli szturm Azowstalu – przedsiębiorstwa rozciągającego się na ogromnej przestrzeni we wschodnim Mariupolu. Od połowy kwietnia była to jedyna niezajęta przez agresorów część miasta.

Azowstal to prawdziwa twierdza: z podziemnym systemem przejść i bunkrami sięgającymi kilku pięter w głąb ziemi. Przy wystarczającej ilości amunicji, żywności i medykamentów – bronić się można długo. Z tym jednak był coraz większy problem. Liczni ranni pozbawieni byli leków, a każda próba dowiezienia zaopatrzenia helikopterami była misją samobójczą (mimo to część z takich akcji zakończyła się sukcesem).

W tej sytuacji Kijów podjął z Rosją negocjacje na temat warunków kapitulacji, nawet jeśli strona ukraińska woli mówić o „operacji ratunkowej". Szczegóły porozumienia nie są jasne. Ukraina zakłada, że obrońcy zostaną wymienieni na jeńców rosyjskich, ale gwarancji tu nie ma. Rosyjska propaganda, od dawna grzmiąca o „nazistach z Azowstalu", triumfuje i domaga się postawienia ich przed sądem. Los 2439 obrońców, w tym 78 kobiet, pozostaje pod znakiem zapytania – Kreml nie słynie z dotrzymywania umów.

W Polsce Azowstal porównywany bywa do Westerplatte. Majorowi Henrykowi Sucharskiemu, dowódcy obrony, Niemcy w uznaniu heroizmu polskich żołnierzy pozwolili po kapitulacji zachować szablę. Podpułkownik Denys Prokopenko i major Serhij Wołyński, dowódcy Azowstalu, na podobny honor ze strony Rosjan nie mieli co liczyć. Dziś pewne jest tylko, że oni i ich żołnierze mają trwałe miejsce w ukraińskiej historii. © WOJCIECH KONOŃCZUK

Orlen i Lotos: umacnianie przez sprzedawanie

MAREK RABIJ

Aż 11 ministrów odpowiadających za gospodarkę w poprzednich rządach podpisało list protestacyjny w sprawie fuzji Orlenu z Lotosem. Chodzi między innymi o sprzedaż części aktywów tej drugiej firmy koncernowi Saudi Aramco oraz węgierskiej MOL Group. Parcelacji majątku Lotosu zażądała Komisja Europejska, obawiając się zdominowania polskiego rynku paliwowego przez PKN Orlen, który po tej fuzji kontrolowałby go w ponad 30 proc. Zastrzeżenia byłych ministrów dotyczą jednak głównie wyboru kontrahentów oraz warunków samej transakcji.

„Brak zabezpieczenia przed dalszym zbywaniem (...) zaplanowanych do nabycia aktywów Lotos SA wskazuje na wyjątkowo groźną w skutkach ignorancję ekonomiczną, wobec tak znaczącej wartości aktywów (zwłaszcza detalicznych) dla potencjalnych, kolejnych nabywców z silnych rosyjskich grup kapitałowych" – piszą sygnatariusze listu otwartego. Dalej zaś podkreślają, że „powiązania kontraktowe i faktyczne MOL z dostawcami rosyjskimi powodowałyby stałą presję na przejmowanie rynku paliw i ropy w Polsce przez MOL, a także ryzyko skokowego zdominowania rynku wewnętrznego przez paliwa rosyjskie".

W styczniu Orlen poinformował, że w ramach wyznaczonych przez Komisję Europejską działań antymonopolowych Saudi Aramco ma kupić 30 proc. udziałów w gdańskiej rafinerii Lotosu, a węgierski MOL przejmie 417 stacji benzynowych. Zdaniem rządu fuzja na takich warunkach uczyni z Orlenu środkowoeuropejskiego potentata rynku paliwowego, co przełoży się także na możliwości tańszych zakupów ropy – a tym samym na ceny paliw. ©℗

Czy Temida widziała

MAREK KĘSKRAWIEC

Coraz więcej jest wątpliwości wokół wypadku, którego świadkami mogli być Bohdan Zdziennicki, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, oraz jego żona Małgorzata Gersdorf, była I prezes Sądu Najwyższego. Eksperci firmy Crashlab.pl przeanalizowali miejsce zdarzenia oraz nagrania z kamery w ciężarówce, która zarejestrowała upadek motocyklisty, jadącego lewym pasem tuż za subaru Zdziennickiego. Problem w ustaleniu faktów polegał na tym, że małżonkowie twierdzą, iż w ogóle nie zauważyli wypadku. To miało tłumaczyć, dlaczego ani nie udzielili pomocy ofierze, ani nie wezwali jej przez telefon – co nakazuje prawo.

Z analiz Crashlabu (firma wykonuje rekonstrukcje wypadków dla kancelarii prawnych i ubezpieczycieli) wynika, że co prawda motocyklista mknął z zakazaną prędkością 180 km/h, ale po odbiciu się od bariery jego pojazd nadal sunął w kłębach dymu obok auta. W pewnym momencie wręcz przeciął tor jazdy subaru i zatrzymał się na pasie awaryjnym.

Sytuację wykorzystuje rządowa telewizja, grzmiąc o upadku moralnym sędzi Gersdorf (i całej „kasty") oraz przypominając jej narzekania, że za 10 tys. brutto dobrze żyć można tylko na prowincji. Widać wyraźnie, że była prezes SN stała się dziś kłopotem także dla obrońców polskich sądów. ©℗

Lewica i biskupi wspólnie w jednej sprawie

ZAKAZU PROMOCJI ALKOHOLU oraz jego sprzedaży na stacjach benzynowych chcą posłowie Partii Razem. Gorąco popiera ich w tym episkopat.

„Majówka – okres, kiedy piwo kupisz taniej niż chleb" – napisała na Twitterze Paulina Matysiak, posłanka Partii Razem, zapowiadając projekt ustawy, która zakazałaby m.in. sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych.

„Pani poseł Matysiak powtórzyła postulat ciągle na nowo zgłaszany przez Kościół" – skomentował z uznaniem inicjatywę ks. prałat Marek Dziewiecki, członek Zespołu Konferencji Episkopatu Polski ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych. A przy okazji przypomniał, że z identycznym pomysłem Kościół wychodzi od 2014 r. Jak dotąd bezskutecznie. Jesienią 2020 r. rząd zaprezentował wprawdzie opinii publicznej pomysł ograniczenia sprzedaży alkoholu po godz. 19 (zakazem miały być objęte także całodobowe stacje benzynowe), ale po kilku miesiącach wycofał się z tego projektu.

Alkoholu na stacjach nie można kupić m.in. w krajach skandynawskich i w Portugalii. We Włoszech zakaz dotyczy placówek przy autostradach. ©℗ MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

SEJM O IZBIE

Ponad miliard złotych straciła Polska za niewykonanie nakazanej przez unijny Trybunał Sprawiedliwości likwidacji Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Sejm bez pośpiechu kończy prace nad prezydenckim projektem ustawy, która ma usunąć wskazane już blisko rok temu przez TSUE nieprawidłowości.

PREMIER O PODZIALE

„Drodzy norwescy przyjaciele, to nie jest sprawiedliwe", powiedział premier Mateusz Morawiecki podczas spotkania z młodzieżą, nawiązując do nadmiarowych zysków Norwegii z ropy i gazu, wywołanych wojną na Ukrainie i ograniczeniem dostaw z Rosji. „Oni powinni się tym błyskawicznie podzielić" – dodał.

TUSK O ROZDZIALE

Donald Tusk zadeklarował chęć ratowania Kościoła w Polsce. Zdaniem lidera PO nie ma na to innej drogi niż przeprowadzenie, „natychmiast po wygranych wyborach", procesu oddzielenia Kościoła od państwa, „ze wszystkimi tego skutkami, politycznymi i finansowymi".

BLOG O WODZIE

W związku z panującą suszą już w 19 gminach lokalne władze zaapelowały do mieszkańców o oszczędzanie wody; w niektórych miejscowościach zakazano m.in. podlewania przydomowych ogrodów – czytamy na blogu Świat Wody.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Były surowce z Rosji, będzie fotowoltaika

NA ENERGETYCZNEJ MAPIE Europy trwa największe od lat przetasowanie. 21 maja Gazprom zakręcił Finlandii kurek z gazem (za brak płatności w rublach), a kilka dni wcześniej Komisja Europejska przedstawiła plan uniezależnienia się od rosyjskich dostaw.

Ursula von der Leyen strategię „RePower EU" zapowiadała już w marcu. Mówiła wtedy o redukcji dostaw o dwie trzecie do końca tego roku i kompletnej niezależności do 2027 r. To pierwsze na pewno się nie uda: musielibyśmy od czerwca przestać kupować rosyjski gaz, a państw zdecydowanie się temu sprzeciwiających nie brakuje. Plany KE pozostają jednak ambitne: 210 mld euro na inwestycje w energetykę przez najbliższe 5 lat (z czego tylko 12 mld na projekty związane z paliwami kopalnymi).

Jak te pieniądze mają nas uniezależnić od Kremla? Plan Komisji zakłada ogromny rozwój fotowoltaiki. Od 2025 r. ma istnieć obowiązek montowania paneli słonecznych na dachach budynków publicznych i komercyjnych, od 2029 r. – na wszystkich. Celem jest 600 GW energii do 2030 r., założono też zwiększone nakłady na turbiny wiatrowe i energię wodorową. By walczyć z kryzysem klimatycznym, byliśmy gotowi (jako Unia) zaplanować, że do 2030 r. zredukujemy zużycie energii o 9 proc., a w 40 proc. oprzemy się na odnawialnych źródłach. Nowa strategia podnosi te liczby do 13 i 45 proc. Możemy się więc spodziewać kampanii promujących oszczędzanie energii, termomodernizację domów, pompy ciepła (cel to 10 mln pomp zbudowanych w ciągu 5 lat) oraz uproszczenia procedur przy inwestycjach w OZE (mają być traktowane jako „nadrzędny interes publiczny").

Kremla boimy się więc bardziej niż katastrofy klimatycznej, ale nie na tyle, by przeforsować radykalne ograniczenie dostaw jeszcze w tym roku. Na razie państwa Unii porozumiały się w kwestii wspólnych zakupów (także rosyjskiego) gazu i obowiązku zapełnienia magazynów na zimę. Do 1 listopada mamy być w UE „zatankowani" na 85 procent. Polskie magazyny już są pełne w 90 procentach.

©℗ KRZYSZTOF STORY

JAKUB SZYMCZUK / KPRP

„POJAWIŁY SIĘ NIEPOKOJĄCE GŁOSY, że Ukraina powinna przystać na żądania Putina. Tylko Ukraina ma prawo decydować o swojej przyszłości" – mówił Andrzej Duda 22 maja w ukraińskim parlamencie, podkreślając, że „jeśli Ukraina zostanie poświęcona (...), jeśli straci choćby centymetr swojego terytorium, to będzie potężny cios (...) także dla całego świata zachodniego". Mowa tu o spekulacjach, jakoby rządy Niemiec, Francji i Włoch były po cichu gotowe na „szybki pokój z Rosją, za który zapłaciłaby ziemiami Ukraina" – jak pisał „Dziennik Gazeta Prawna". ©℗ WP / RMF, DGP

W co gra kanclerz Olaf Scholz

WOJCIECH PIĘCIAK

Miesiąc temu, 28 kwietnia, ogromna większość niemieckich posłów poparła rezolucję pt. „W obronie pokoju i wolności w Europie – wszechstronne wsparcie dla Ukrainy". Przedstawiona wspólnie przez rządzącą koalicję i opozycyjną chadecję, mówiła o tym, iż w obliczu agresji Putina Niemcy umożliwią dostawy ciężkiej broni dla Ukrainy. Także przez tzw. *Ringtausch*: wielostronną wymianę polegającą na tym, że krajom, które oddają Ukrainie swój sprzęt oparty na technologii sowieckiej, Niemcy przekażą w zamian swoje uzbrojenie.

Minął miesiąc i okazuje się, że rząd Olafa Scholza uczynił niewiele – poza deklaracjami kanclerza, że Ukraina nie może przegrać, i że nie można dopuścić, by Putin dyktował warunki pokoju. Owszem, na front trafiły z Niemiec granatniki Panzerfaust 3 i miny przeciwpancerne, ale to nie jest broń ciężka. Z tej Berlin obiecał tylko siedem haubic – gdy USA wysłały ich już 90 (działek przeciwlotniczych Gepard nie liczymy; choć zbudowane na podwoziu czołgu, nie są czołgami). Scholz wciąż zwleka z rozpatrzeniem wniosków firm zbrojeniowych o zgodę na dostarczenie Ukrainie 100 czołgów i 100 wozów pancernych.

Także *Ringtausch* nie funkcjonuje, jeśli nie liczyć skromnej obietnicy złożonej Czechom (dostaną 15 czołgów za te oddane). Wciąż nie doszła do skutku „wymiana" ze Słowenią (gotową oddać swoje czołgi), a kilka dni temu tygodnik „Spiegel" napisał, że fiaskiem skończyły się rozmowy polsko-niemieckie. Polska miała oczekiwać, iż w zamian za swoje czołgi oddane Ukrainie otrzyma od Niemiec nowoczesne Leopardy, ale Berlin oferował sprzęt starszego typu (prawdopodobnie miałby on trafić do jednostek, które pilnują granicy z Kaliningradem – nie od rzeczy byłoby więc, aby był on możliwie dobry). Zirytowany Friedrich Merz, lider chadecji, zarzucił niedawno Scholzowi, że gdy idzie o broń dla Ukrainy, kanclerz „nie gra w otwarte karty" i świadomie zwleka.

Kiedyś, w czasach późnego komunizmu, w Niemczech Zachodnich krążył pewien dowcip. Pytanie brzmiało: „Co zrobi żołnierz Bundeswehry, gdy między NATO a Związkiem Sowieckim wybuchnie wojna?". Odpowiedź: „Zdejmie mundur i pójdzie do domu, bo jego misja się zakończyła – była nią przecież obrona pokoju".

Strach pomyśleć, co zrobiłby Scholz, gdyby Putin rozszerzył swe ambicje poza Ukrainę. ©℗

Małpia ospa: kłopot?

JUŻ PONAD 90 PRZYPADKÓW małpiej ospy potwierdziła WHO. To choroba, która zawdzięcza nazwę odkryciu w hodowli małp, choć rezerwuarem wirusa są częściej gryzonie. Kolejnych 30 przypadków oczekuje na potwierdzenie. Wszystkie dotyczą państw poza Afryką Zachodnią i Centralną, gdzie jest to choroba endemiczna. W Europie chorzy to głównie mieszkańcy Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Portugalii. O skali mówi fakt, że liczba przypadków wykrytych poza Afryką w ubiegłym tygodniu jest większa niż ich liczba od 1970 r., gdy po raz pierwszy zdiagnozowano małpią ospę u człowieka.

U chorych objawy grypopodobne poprzedza pojawienie się zmian skórnych, których ewolucja jest zwykle taka sama – najpierw płaskie plamy, potem wypełniające się płynem i ropą pęcherzyki i krosty, które pękając tworzą strupy. W porównaniu do wirusa grypy czy SARS-CoV-2, wirus małpiej ospy jest dużo mniej skłonny do transmisji między ludźmi. Do zakażenia dochodzi w wyniku bliskiego i długotrwałego kontaktu z osobą chorą.

Ospa małpia objawami przypomina ospę prawdziwą, którą dzięki szczepionkom wyeliminowano w latach 80. XX w. Szczepienie przeciwko ospie prawdziwej na zasadzie odporności krzyżowej chroni przed małpią. Problem w tym, że w krajach zachodnich od lat nie są one stosowane rutynowo. Władze USA, gdzie szczepienia przeciwko ospie prawdziwej zakończono w 1972 r., już złożyły zamówienie na kwotę 120 mln dolarów w duńskiej firmie produkującej szczepionki przeciw ospie prawdziwej i małpiej.

W przeszłości źródłem małpiej ospy w USA i Europie byli głównie powracający z Afryki Zachodniej turyści lub przywiezione stamtąd zwierzęta (jak w Illinois w 2003 r.). Obecnie nie jest to tylko choroba zawleczona z Afryki – pierwszy przypadek w Australii to mężczyzna, który wrócił z Wielkiej Brytanii. Choć dzięki portugalskim badaczom genom wirusa został poznany, nie jest jasne, jakie zmiany odpowiadają za ten bezprecedensowy wzrost liczby chorych. © BARTOSZ KABAŁA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

REALIZM

„Ukraina musi się bronić, a do tego potrzebuje pomocy, w tym wojskowej" – powiedział sekretarz Stolicy Apostolskiej ds. Relacji z Państwami abp Paul Gallagher, podsumowując swoją 5-dniową wizytę w Ukrainie. Watykański „minister spraw zagranicznych" m.in. modlił się w miejscu masowego grobu zamordowanych przez Rosjan cywilów w Buczy.

EXODUS

Według ukraińskiego portalu informacyjnego RISU, w wyniku agresji Rosji do autokefalicznego Prawosławnego Kościoła Ukrainy przeszło już 239 parafii z podlegającego Patriarchatowi Moskiewskiemu Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego.

REWOLUCJA

Decyzją papieża bracia nie-kapłani będą mogli zostać przeorami lub prowincjałami w Instytutach Życia Konsekrowanego lub Stowarzyszeniach Życia Apostolskiego. Dotychczas prawo kanoniczne nie zezwalało, by duchowni podlegali władzy osób nieposiadających święceń.

SKRUCHA

Abp Heiner Koch publicznie przeprosił za dyskryminację homoseksualistów w Kościele. Zdaniem arcybiskupa Berlina homofobia była „bezbożną linią kościelnej tradycji" . Hierarcha zapowiedział, że w każdej parafii archidiecezji mianowany zostanie komisarz do przeciwdziałania takiej dyskryminacji.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

JACEK TARAN

PÓŁHEKTAROWA ŁĄKA ZA KLASZTORNYM MUREM jest przedmiotem rozmów władz Krakowa z klasztorem paulinów na Skałce. Chodzi o udostępnienie jej mieszkańcom miasta. Zarząd Zieleni Miejskiej ma utrzymywać teren, ustawić ławki, kosze na śmieci, a w dalszej przyszłości nasadzić drzewa i krzewy. Jest szansa na otwarcie terenu jeszcze przed wakacjami. Statystycznie na krakowianina przypada aż 208 m² terenów zielonych (na prażanina 184, warszawiaka 135), wiele z nich jest jednak niedostępnych dla ogółu – w tym 16 hektarów ogrodów klasztornych w centrum miasta. Mieszkańcy od lat walczą o ich otwarcie, a rok temu napisali w liście do papieża Franciszka: „Krakowskie dzieci bawią się stłoczone w nielicznych parkach i na małych skwerach, a rozległe ogrody klasztorne pozostają dla nich zamknięte". ©℗ MAM

Supertajna ankieta

ARTUR SPORNIAK

Jednym ze sposobów zdobywania informacji o kandydatach na biskupa jest ankieta rozsyłana przez nuncjusza do wybranych osób. Zwykle adresatami są biskup miejsca i jego biskupi pomocniczy oraz ważniejsi kościelni urzędnicy. Ankieta objęta jest sekretem papieskim – ujawnienie jakichkolwiek informacji z nią związanych jest grzechem ciężkim i podlega karom kościelnym.

Niemiecka gazeta „Kölner Stadt-Anzeiger" opublikowała aktualny kwestionariusz. Zawiera on 63 pytania. W porównaniu z ankietą ujawnioną przez dziennikarzy w 2001 r. kilka pytań jest nowych, m.in. czy kandydat „właściwie i uczciwie" zajmował się przypadkami krzywdzenia dzieci oraz czy nie wykazuje zachowań, które mogłyby doprowadzić do skandalu. Zniknęło natomiast pytanie o stosunek do zakazującej antykoncepcji encykliki „Humanae vitae", choć Watykan nadal interesuje się stosunkiem potencjalnego kandydata do kościelnej etyki seksualnej i nauczania o małżeństwie, a także do wyświęcania kobiet.

Komentatorzy zauważają, że zabrakło najważniejszego pytania: co o ewentualnym kandydacie sądzą świeccy? Ten brak, infantylność niektórych pytań (czy kandydat traktuje z szacunkiem siostry zakonne?) oraz całkowity brak transparentności wyboru biskupa to wciąż mocne dowody na klerykalizm w Kościele. ©℗

Chrześcijanin na wojnie – poradnik

APLIKACJA NA SMARTFONY dla katolickich żołnierek i żołnierzy, opracowana przez Międzynarodowy Apostolat Wojskowy, zyskała aprobatę Stolicy Apostolskiej – do jej używania zachęca watykański Sekretariat Stanu.

Catholic Military Connect (CMC) to zmodyfikowana wersja popularnej aplikacji „Tweetując z Bogiem", która w formie pytań i odpowiedzi przekazuje podstawowe informacje na temat wiary, moralności i historii Kościoła. Jej autor, ks. Michel Remery, holenderski duszpasterz młodzieży, postanowił w ostatnich tygodniach uzupełnić swój produkt o część „militarną", podejmującą takie zagadnienia, jak odmowa wykonania rozkazu, respektowanie praw człowieka, nienawiść do wroga, a przede wszystkim dylemat kluczowy: czy i w imię jakich wartości można zabić drugiego człowieka.

Żołnierze znajdą tam również praktyczne porady: jak rozwiązywać problemy w koszarach i okopach, radzić sobie z tęsknotą za bliskimi, uzyskać pomoc psychologiczną. A także wzory modlitw, świadectwa weteranów wojennych i przykłady „wojskowych świętych".

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Imię w płynie: jak poznają się delfiny

OD DAWNA WIEMY, że delfiny butlonosy wołają się po imionach – każdy z nich wykształca specyficzny sygnał dźwiękowy, którym „podpisuje" swoje komunikaty. Osobniki zapamiętują także imiona znajomych i używają ich, by się z nimi skontaktować. Zachowanie to wyewoluowało, ponieważ butlonosy nie potrafią rozpoznawać się po samych cechach głosu – za każdym razem muszą się więc przedstawiać, by odbiorca wiedział, z kim ma do czynienia.

W nowym eksperymencie, z którego raport został opublikowany w „Science Advances", zespół Vincenta Janika wykazał, że delfiny potrafią za to rozpoznać się po... moczu. Badacze umieścili zwierzęta w akwarium, a potem dodali do wody próbkę moczu od znajomych lub nieznajomych osobników. Badane delfiny w obu sytuacjach zachowywały się inaczej. Potem odtwarzano im nagrane „podpisy" różnych osobników i znów dodawano próbki moczu. W przypadku gdy „imię" należało do znajomego delfina, którego mocz dodano, badane osobniki dłużej rozglądały się po akwarium.

Eksperyment sugeruje, że delfiny potrafią myśleć pojęciowo – w swoich umysłach tworzą bowiem złożone reprezentacje, integrujące informacje pochodzące z różnych zmysłów. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Glony pod napięciem

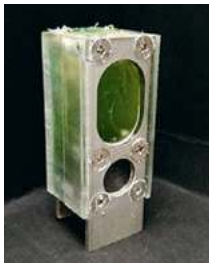

PAOLO BOMBELLI / CREATIVE COMMONS

NAUKOWCY Z CAMBRIDGE zamknęli sinice *Synechocystis* w urządzeniu niewiele większym od baterii AA. Napięcie elektryczne powstające przy fotosyntezie przez ponad pół roku zasilało mały procesor. Glonów nie trzeba było karmić, doglądać, a energię produkowały nawet w nocy (prawdopodobnie dlatego, że wtedy przetwarzają część pokarmu zsyntetyzowanego w dzień). „Byliśmy zaskoczeni, jak stabilnie pracuje ten układ. Myśleliśmy, że to potrwa tylko kilka tygodni" – powiedział dr Paolo Bombelli, współautor projektu.

Glonowa elektrownia obsługiwała chip Arm Cortex M0+, czyli jeden z najbardziej rozpowszechnionych układów w tzw. Internecie Rzeczy (Internet of Things, IoT). To rozproszona i drobna elektronika, połączona w sieć dużo większą niż „ludzki internet": czujniki temperatury, fotokomórki, zdalnie sterowane bramy. Szacuje się, że do 2035 r. w IoT będzie działało nawet bilion urządzeń – zasilanie wszystkich bateriami litowymi czy panelami słonecznymi wiąże się z ogromnymi kosztami dla planety. Glony mogą pomóc rozwiązać ten problem.

©℗ KRZYSZTOF STORY

KULTURA W SKRÓCIE

FAKTY

Trzy swoje książki z osobistą dedykacją przekazała prezydentowi Ukrainy Hanna Krall. Autorem przekładu jest poeta, pracownik Katedry Filologii Polskiej na Narodowym Uniwersytecie Lwowskim im. I. Franki, Ostap Sływynski. Tłumacz, komentując zdjęcie Wołodymyra Zełenskiego trzymającego „Zdążyć przed Panem Bogiem", napisał: „Potrzebujemy tej książki bardziej niż kiedykolwiek".

FUNDUSZE

Programując festiwal filmowy Pięć Smaków Jagoda Murczyńska zawsze szukała reżyserek, które podkreślały siłę kobiet i potencjał siostrzeństwa, sprzeciwiały się dyskryminacji ze względu na płeć, rasę czy orientację seksualną, piętnowały przemoc oraz otwierały widzów na inne kultury. Dlatego głównym celem utworzonej w zeszłym tygodniu fundacji jej imienia będzie wsparcie dla reżyserek przed debiutem pełnometrażowym, które po raz pierwszy konfrontują swoje wizje i wrażliwość z realiami rynku. Fundacja przyznawać będzie także nagrody, organizować rezydencje, warsztaty i programy mentoringowe.

MATERIAŁY PRASOWE

FANFARY

Jury „Europejskiego Poety Wolności" uhonorowało w tym roku dwie poetki: Mariannę Kijanowską (na zdjęciu) z Ukrainy za tom „Babi Jar. Na głosy" i Luljetę Lleshanaku z Albanii, autorkę tomu „Woda i węgiel". Osobno wyróżniono też tłumaczy obu zbiorów: Adama Pomorskiego i Dorotę Horodyską.

Co czytamy

MONIKA OCHĘDOWSKA

ROK 2021 BYŁ WYJĄTKOWO DOBRY nie tylko dla polskich czytelników. Rynek książki z powodzeniem nadrabiał popandemiczne załamanie także w innych krajach, m.in. Hiszpanii, Włoszech czy na Łotwie.

Gdy przegląda się przygotowany przez Bibliotekę Narodową raport podsumowujący pracę wydawców, spore wrażenie robią przede wszystkim słupki prezentujące rosnącą liczbę publikowanych komiksów i powieści graficznych. Ten trwający już dekadę, nasilający się trend widoczny jest skądinąd w całej Europie. W Polsce najchętniej czytamy komiksy japońskie (to aż 40 proc. rynku, głównie mangi), amerykańskie (27 proc.), francuskie (15 proc.) i belgijskie (5 proc.).

Ale nie tylko na półkach z komiksami konsekwentnie przybywa tytułów. Zebrane przez BN dane pozwalają wierzyć, że Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk pobudziła zainteresowanie zarówno twórczością pisarki, jak i współczesną literaturą piękną w ogóle.

W księgarniach mamy dziś także wyjątkowo dużo eseistyki, albumów i książek artystycznych (duży wzrost na przestrzeni ostatnich trzech lat) oraz literatury faktu – głównie biografii i reportaży. Nieco mniej niż w poprzednich latach wydaje się u nas literatury sensacyjno-kryminalnej. Popularnością cieszą się natomiast książki ezoteryczne i paranaukowe – tytułów z tej dziedziny przybywało także w wyjątkowo trudnym dla wydawców roku 2020. Pandemia przyczyniła się do tego, że w ogóle chętniej sięgaliśmy po poradniki, głównie dotyczące turystki krajowej i zdrowia psychicznego.

Ciekawie wygląda także półka z literaturą dla nastoletniego czytelnika. O ile w badaniach czytelnictwa młodzieży to fantastyka i powieść obyczajowa konsekwentnie zajmowały pierwsze miejsca, to w strukturze produkcji wydawniczej ich przewaga jest mniej oczywista. W ostatnim okresie zaczęła im rosnąć nowa konkurencja – realistyczna powieść przygodowa, sensacyjna i kryminalna przeznaczona dla młodych czytelników. W roku 2019 stanowiła ona zaledwie 10 proc. rynku, jednak w ostatnich dwóch latach podwoiła zasięgi. ©℗

TEMAT TYGODNIKA

KTO NAM POMOŻE W TRUDNYCH CZASACH

Nie wiadomo, co w dobie dzisiejszych kryzysów psychicznych gorsze: wysyp szarlatanów czy niedobór prawdziwych fachowców od pomocy. Pierwszy z problemów ma rozwiązać ustawa o zawodzie psychologa. Na drugi nie ma pomysłu.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI | ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Centrum Ezoteryczne Neftyda puszcza tylko oko. Słowa „psychologia", „psychoterapia" wprost nie padają, ale łatwo je sobie dośpiewać, skoro ogłoszenie obiecuje „skuteczną pomoc w rozwiązywaniu problemów emocjonalnych (relacje partnerskie, związki)". Jak? Przez wróżby z kart anielskich, zabiegi techniką Master Choa Kok Sui, hipnoterapię, chiromancję, a także odczytywanie ludzkich losów z oczu oraz z aury.

Ezoteryczka Beata Kalinowska na psychologię powołuje się wprost. W ofercie ma sesje półgodzinne za 99 zł, a także godzinne za 150 zł („wróżba" i „doradztwo" plus „bonus", czyli „możliwość dopytania, gdy coś jest niezrozumiałe lub niejasne"). Jest i trzecia opcja – 60-minutowe „doradztwo" wraz z obietnicą „psychoanalizy problemu lub sytuacji". W swoim biogramie ezoteryczka Beata pisze, że po godzinach prowadzi kursy, szkolenia i wykłady z psychologii. Gdy się łączymy, tłumaczy, że posiada tytuł magistra z tej dziedziny (odmawia jednak pokazania dyplomu), o wykładach zaś na swojej

stronie pisze, by klienci domagający się pomocy w godzinach popołudniowych wiedzieli, że jest zajęta.

– Zjawisko dotyczy nie tylko wróżek czy ezoteryków – mówi Katarzyna Sarnicka, psycholożka z Rybnika, przewodnicząca Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Psychologów. – W zeszłym roku głośna była sprawa dyrektorki jednej z poradni psychologiczno-pedagogicznych, która została biegłą z listy sądu okręgowego, choć nie miała dyplomu. Był też student psychologii podający się za dyplomowanego psychologa. Do naszej organizacji zgłaszają się różne osoby, które nacięły się na oszustów.

W czasach społecznych napięć (pandemia, wojna, kryzys finansowy) żonglowanie hasłami „psycholog", „psychologia" czy „pomoc w kryzysie" może się tylko opłacić. I jest bezkarne.

Jak ożywić martwe prawo

Chcą to zmienić twórcy znajdującego się już w Sejmie poselskiego projektu ustawy o zawodzie psychologa i samorządzie zawodowym psychologa. Dokument, który wniósł klub Lewicy, ma poparcie w środowisku – pracowały przy nim związki zawodowe, towarzystwa, akademicy i praktycy. To nie pierwsza przymiarka do regulacji w tej branży. Podobne prawo powstało w 2001 r., ale wtedy ustawa nie doczekała się wdrożenia (np. nie został powołany samorząd), więc pozostała martwa.

Po co nowa wersja? Że ucieszy samych psychologów, oddzielając grubszą niż dotąd kreską świat praktyków z państwowymi pieczęciami od tych działających na obrzeżach nauki lub poza jej granicami, to jasne. Ale co da Kowalskiemu w depresji albo traumie?

– Da przejrzyste narzędzie sprawdzające specjalistę, do którego idziemy po diagnozę czy pomoc psychologiczną. Ułatwi też zadanie dyrektorom placówek, np. zdrowotnych lub edukacyjnych, którzy będą chcieli zatrudnić psychologa – mówi Katarzyna Sarnicka.

– Chodzi też o zadekretowanie odpowiedzialności: do powołanego przez ustawę samorządu będzie można się zwrócić, gdy psycholog naruszy standardy etyczne – dodaje posłanka Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, opiekująca się projektem z ramienia Lewicy. – A gdy zostanie to udowodnione, pracownik ten straci prawo wykonywania profesji.

Psycholog, dodaje posłanka, to jeden z zawodów publicznego zaufania, w który wpisana jest nierównowaga między dawcą a odbiorcą usługi. – Jako pacjenci czy klienci jesteśmy kompletnie zależni od osób wykonujących te profesje, dlatego szczególne też powinny być obowiązujące lekarzy czy psychologów standardy – mówi Dziemianowicz-Bąk. – Nie możemy zostawiać wszystkiego wolnemu rynkowi.

Zgodnie z projektem powołany przez ustawę samorząd przyzna młodemu kandydatowi do zawodu czasowe prawo wykonywania profesji na podstawie dyplomu ukończenia studiów magisterskich z psychologii. Zrobi to jednak warunkowo – na dwa lata. Przez ten okres psycholog na dorobku będzie już mógł funkcjonować jako pełnoprawny pracownik, ale będzie też ciążył na nim obowiązek współpracy z będącym minimum 5 lat w zawodzie opiekunem. Po upływie tego czasu może ubiegać się o pełne prawo do wykonywania profesji. ↦

↦ Ustawa określi też, na czym polega praca psychologa. Chodzi np. o diagnozowanie, opiniowanie i cały wachlarz form pomocy – od wsparcia w rozwoju, przez profilaktykę, aż po interwencję kryzysową.

Projekt daje psychologowi po kursie psychoterapeutycznym prawo do prowadzenia terapii (to dwa odrębne zawody, nawet jeśli ich przedstawiciele należą do zbiorów częściowo na siebie nachodzących; psycholog może nie być psychoterapeutą i *vice versa*: psychoterapeuta nie musiał skończyć psychologii).

Twórcy projektu widzą jeszcze jedną korzyść. – Dla młodego psychologa będzie rozwojowym impulsem – wierzy posłanka Lewicy. – Być może dzięki nowym zasadom więcej absolwentów psychologii pozostanie w zawodzie, upatrując w nim większego niż dotąd prestiżu.

Z psychologii tylko czerpię

Wątpliwości jest równie dużo, co spodziewanych korzyści. Po pierwsze nie wiadomo, czy ustawa skutecznie wygoni z rynku wszystkich uzurpatorów, czy raczej tylko tych, którzy będą na tyle nieostrożni, by w swojej ofercie wprost użyć słowa „psycholog" bądź też obiecać jedną z zastrzeżonych dla tej profesji usług. Ezoteryczka Beata w rozmowie ze mną upiera się, że „z psychologii tylko czerpie", tak jak czerpać z niej może dziennikarz albo listonosz.

Być może ustawodawcy przeceniają też wagę dyplomu magistra – zakładają, że skutecznie może nam pomóc ktoś, kto ma za sobą pięć lat studiów. Zofia Milska-Wrzosińska, psychoterapeutka, współzałożycielka i szefowa Laboratorium Psychoedukacji oraz członkini zarządu Sekcji Psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, uważa, że studia nie dają praktycznego przygotowania do zawodu. Tymczasem w projekcie nie ma ani słowa o obowiązkowym stażu już po studiach, a jeszcze przed podjęciem pracy.

– Można sobie bez trudu wyobrazić sytuację, że magister psychologii tuż po obronie pracy dyplomowej otwiera gabinet, i jest to jego pierwsze praktyczne doświadczenie, nie licząc dalece niewystarczających praktyk studenckich – mówi Milska-Wrzosińska. – Oczekiwałabym obowiązkowego stażu w placówce publicznej zatrudniającej doświadczonych psychologów, np. w szpitalu albo poradni psychologiczno-pedagogicznej.

Słowniczek pojęć terapeutycznych

PSYCHOLOG
ukończył studia z psychologii. Do jego kompetencji należy diagnoza psychologiczna (np. osobowości czy inteligencji), orzecznictwo, opiniowanie. Może udzielać konsultacji i krótkoterminowego wsparcia psychologicznego.

PSYCHOTERAPEUTA
ukończył podyplomowe (zwykle 4-letnie) szkolenie z zakresu psychoterapii.

PSYCHOTERAPIA
forma leczenia zaburzeń psychicznych. Spotkania odbywają się regularnie, najczęściej raz w tygodniu; trwają od kilku miesięcy do kilku lat. Pacjent i terapeuta przyglądają się myślom, emocjom, zachowaniom i doświadczeniom pacjenta. Terapia może odbywać się w formie indywidualnej, rodzinnej lub grupowej. Wykorzystywane techniki, sposób formułowania celów i stopień koncentracji na przeszłości różnią się w zależności od nurtu.

NURT PSYCHOTERAPII
metoda pracy terapeutycznej oparta na przyjętym modelu powstawania i utrzymywania się trudności psychicznych. Do popularnych nurtów należą terapia psychodynamiczna, systemowa i poznawczo-behawioralna.

PSYCHIATRA
lekarz specjalista. Jest uprawniony do przeprowadzania i zlecania badań, postawienia diagnozy medycznej. W zależności od rozpoznania może zalecić farmakoterapię i/lub psychoterapię. Z psychiatrą powinniśmy się skonsultować, gdy obserwujemy u siebie np. nasilenie lęku, obniżenie nastroju, bezsenność lub problemy z koncentracją czy pamięcią.

INTERWENCJA KRYZYSOWA
krótkoterminowa pomoc psychologiczna udzielana w przypadku nagłego kryzysu (np. doświadczenia przemocy, wypadku, kryzysu samobójczego). Ośrodki interwencji kryzysowej udzielają też wsparcia socjalnego i prawnego.

COACHING
forma krótkoterminowego (kilka spotkań) wsparcia w osiągnięciu określonego celu, dotyczącego np. rozwoju zawodowego.

© KINGA WOŁOSZYN-HOHOL

Taki zapis, mówi Sarnicka, był w jednej z poprzednich wersji projektu. Zniknął, gdy podniosły się protesty, m.in. studentów psychologii. – Przekonywali, że publiczne placówki nie są przygotowane do organizacji staży – relacjonuje szefowa OZZP. – I że praktyki będą trudne do załatwienia, a nawet płatne. Zmieniono więc staż na opiekę mentorską, co jest zapisem bardziej przyjaznym.

Pytanie tylko: dla kogo przyjaznym? Czy np. dla matki przyprowadzającej dziecko do psychologa, który kilka tygodni wcześniej rozpoczął pracę w zawodzie?

Na jeszcze inny problem zwraca uwagę dr Teresa Panas, przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. – Dziś w zawodzie może pracować ktoś, kto ukończył jednolite studia magisterskie z psychologii. Ale też osoba, która zrobiła licencjat z zupełnie innej dziedziny, a potem tylko 2-letnie studia II stopnia na kierunku psychologia, co nie jest gwarancją jakości – zauważa. Dr Panas mówi, że projekt nie wyklucza w sposób wystarczająco jasny tej uproszczonej ścieżki dostępu do zawodu.

Projekt nie mierzy się też z regulacjami na innym newralgicznym dla osób cierpiących odcinku – psychoterapii. A tu dopiero panuje wolnoamerykanka, przy której chaos w profesji psychologa jest niewinnym nieładem.

Czat w nurcie egzystencjalnym

– Mogę dziś założyć działalność gospodarczą i zacząć świadczyć pomoc psychoterapeutyczną? – pytam Zofię Milską-Wrzosińską.

– Może pan to zrobić bez przeszkód, i jeszcze zaprosić do współpracy kilku kolegów-dziennikarzy. Możecie sobie panowie zawiesić tabliczki na drzwiach z napisem „psychoterapeuta". I nikt wam niczego nie zrobi, dopóki nie będziecie chcieli zatrudnić się w publicznej placówce systemu ochrony zdrowia.

– Jakie są społeczne skutki braku regulacji?

– Niszczące. Osoby bez kwalifikacji „pomagają", biorąc za to niemałe pieniądze. W ogóle ten zawód zaczął być niestety postrzegany jako przynoszący stosunkowo małym nakładem wysiłku duże dochody.

Psychoterapeutka zwraca uwagę na jeszcze jedno zjawisko: – Po marcu 2020 r. mamy patologiczny rozrost terapii online. Można w minutę wypełnić ankietę,

wpisując np. „jestem po próbie samobójczej, z rodziny przemocowej", by po chwili dostać wiadomość od uśmiechającej się ze zdjęcia „dyplomowanej coach". Dużo konsultuję, część osób, które spotykam ostatnio, to pacjenci straumatyzowani przez „terapię", którą przeszli.

Internetowe platformy pomocowe nie są wcale z definicji siedliskami szarlatanerii: większość zatrudnia osoby z certyfikatami i dyplomami. Oferują nie tylko konsultacje wideo, ale też... za pośrednictwem czatu lub telefonu. „Zapraszam – zachęca na platformie heydoc.pl jeden z psychologów mających w ofercie 30-minutowy czat lub telefon w cenie 99 zł – na wizytę online do mojego gabinetu, w którym prowadzę poradnictwo i terapię w nurcie egzystencjalnym". Czy możliwe jest odbycie na czacie nie tylko konsultacji, ale też całej psychoterapii? – pytam konsultantkę heydoc.pl. W odpowiedzi nie wyklucza takiej opcji – zastrzega jednak, że pierwszy kontakt musi odbyć się telefonicznie bądź na wideo, o formie zaś dalszych spotkań zdecyduje terapeuta.

> Teoretycznie każdy może zarejestrować działalność gospodarczą i zawiesić na drzwiach tabliczkę z napisem „psychoterapeuta".

Milska-Wrzosińska przytacza sytuację z ostatnich miesięcy: – Czytam zapis z superwizji, gdzie jest napisane: „Pacjent prawdopodobnie wysoki i masywnie zbudowany". Po chwili dezorientacji zdałam sobie sprawę, że początek tej terapii był online i państwo widzieli się tylko do obojczyków. Nie potępiam konsultacji online, jeśli nie da się inaczej i jeśli jest uzupełnieniem tej tradycyjnej. Ale jako jedyna forma terapii jest usługą gorszej jakości, niepełnowartościową, co potwierdza wielu moich kolegów.

Innego zdania są twórcy internetowych „przychodni". Chętnie powołują się na wyniki badań, wedle których terapia online jest tak samo skuteczna jak tradycyjna. Nie mówią wszystkiego – leczenie przez internetowe łącza nie sprawdzi się w wielu przypadkach (choćby, jak wskazuje Milska-Wrzosińska, zaburzeń osobowości, uzależnień czy zaburzeń odżywiania), a badania porównujące skuteczność obu rodzajów psychoterapii dotyczą niemal wyłącznie jednego z jej nurtów: poznawczo-behawioralnego.

– Wszystko, co wiemy o funkcjonowaniu mózgu, podpowiada nam, że czym innym jest relacja bezpośrednia, a czym innym ta zapośredniczona – mówi psychoterapeutka. – Jeśli podczas spotkania online patrzy pan komuś w oczy, to w jego optyce pana wzrok pada gdzie indziej. A jeśli omija pan jego wzrok, kierując go do kamery, to rozmówca ma złudzenie kontaktu wzrokowego. Ponadto online widzimy tylko fragment człowieka – ten, który chce pokazać. Nie czujemy też zapachu, co bywa kluczowe w terapii uzależnień. W ekstremalnych sytuacjach nie mamy też możliwości interwencji – gdy pacjent jest w moim gabinecie, to wiem, jak zareagować, gdy oznajmia, że rzuciła go dziewczyna i zaraz będzie się wieszał. Gdy jest w Oslo, a ja w Olsztynie, to już niekoniecznie.

Chaos utrudnia

Czy dałoby się – analogicznie do ustawy o zawodzie psychologa – określić, kim jest ↦

Ukraińcy w Polsce: stres i lęk o przyszłość

UCHODŹCY MOGĄ OTRZYMAĆ doraźną pomoc psychologiczną już w punktach recepcyjnych. Gdy to nie wystarczy, oferty bezpłatnego wsparcia znajdą w ośrodkach interwencji kryzysowej, gminnych ośrodkach pomocy społecznej i poradniach psychologiczno-pedagogicznych. Pomoc oferują też organizacje i prywatne firmy, np. fundacja Twarze Depresji uruchomiła program „Twarze depresji dla Ukrainy", w ramach którego można skorzystać z bezpłatnej, zdalnej pomocy psychologa lub psychiatry. Polskie Forum Migracyjne przyjmuje zapisy na indywidualne konsultacje w języku ukraińskim z psychologiem i psychiatrą, stacjonarnie w Warszawie oraz online. Prowadzi także bezpłatny telefon kryzysowy (+48 22 255 22 02). Oferty pomocy są w grupach na Facebooku; dwie najpopularniejsze to „Widzialna Ręka" oraz „Psycholodzy i Psycholożki dla Ukraińców".

ALEKSANDER TERESZCZENKO, psycholog, który przyjechał z Ukrainy do Polski w 2015 r., od lutego pomaga uciekającym rodakom. – Oddzielam „falę marcową" uchodźców od kolejnej, mniej licznej grupy, czyli tych, którzy uciekli niedawno ze stref objętych intensywnymi działaniami wojennymi – tłumaczy. – Ta druga grupa wymaga zaopiekowania interwencyjnego, które oznacza rzeczy najprostsze: zapewnienie spokoju, ciszy, możliwości wyspania się i stanięcia na nogi. Problemy wymagające pomocy psychologów zaczynają się później – i to widać w grupie „marcowej". Ludzie, którzy zgłaszają się do mnie, zaczynają odczuwać silne zagubienie. Są problemy ze znalezieniem pracy, dziecko ma kłopoty w szkole. Trzeba zacząć urządzać się w Polsce, co dla wielu wiąże się z dużym stresem i lękiem o przyszłość. Dlatego wsparcie, zwłaszcza takie, które motywuje do samodzielności, będzie potrzebne jeszcze długo – mówi psycholog.

© ANNA KIEDRZYNEK

↦ psychoterapeuta, i czym jest, a czym nie prowadzona przezeń terapia? Próby uregulowania tego zawodu zakończyły się fiaskiem. Być może dlatego, że trudniej tu o spójne kryteria – nie ma przecież studiów magisterskich z psychoterapii.

Próby definicji pojawiają się w aktach niższego rzędu – np. rozporządzeniach ministerstwa zdrowia. Można się z nich dowiedzieć, że psychoterapeuta to ktoś, kto skończył studia wyższe (poza psychologią także lekarskie i pielęgniarskie, pedagogikę, resocjalizację i socjologię), a potem szkolenie z psychoterapii „o udowodnionej naukowo skuteczności", w wymiarze nie mniej niż 1200 godzin. Ale te wytyczne dotyczą tylko sektora publicznego.

Czy psychoterapeutą może być inżynier budowy mostów? – na takie pytania nawet w środowisku padają różne odpowiedzi. – Znam certyfikowanego psychoterapeutę, który ma dyplom Akademii Rolniczej – opowiada Milska-Wrzosińska. – Potem ukończył kurs z psychoterapii, dostał certyfikat PTP i jest cenionym fachowcem. Z kolei inna renomowana terapeutka i superwizorka ukończyła polonistykę. Wyjątki nie uchylają oczywiście pytania, czy należałoby tu dopuścić dowolność, gdyby zawód psychoterapeuty doczekał się regulacji.

Dziś jedynym w miarę obiektywnym kompasem dla osób cierpiących i poszukujących terapii są listy certyfikacyjne – na czele z tymi prowadzonymi przez istniejące od dekad Polskie Towarzystwo Psychologiczne i Polskie Towarzystwo Psychiatryczne. Tyle że system rozproszonych list, w dodatku należących do organizacji pozarządowych lub – co gorsza – do ośrodków prywatnych, nie gwarantuje odpowiedzialności terapeutów za nadużycia. Za to przynosi chaos.

– Zwłaszcza że w ostatnich latach lawinowo przybywa kolejnych certyfikatów wydawanych przez powoływane *ad hoc* stowarzyszenia i organizacje – mówi Milska-Wrzosińska. – Doskonale się prezentują w ramce, powieszone na ścianach gabinetów, a ich przyznawanie nie napotyka na ograniczenia. Tak jak może pan leczyć, tak może pan założyć „szkołę psychoterapii", a na zakończenie szkolenia przyznawać „certyfikaty psychoterapeuty". Dla przeciętnego pacjenta będą nie do odróżnienia od tych przyznawanych przez PTP.

– Czy ten chaos jest do opanowania?

Pilotaż nie z tej ziemi

BEZ SKIEROWANIA, bez płacenia, bez zapisów, natychmiast. Taką pomoc w kryzysie psychicznym dostaniesz, jeśli masz szczęście mieszkać w jednym z czterdziestu miejsc w Polsce. Chodzi o działające na razie na zasadzie pilotażu środowiskowe Centra Zdrowia Psychicznego. Jeśli więc mieszkasz na terenie powiatu bolesławieckiego, augustowskiego, jarosławskiego, łomżyńskiego, w Toruniu, Elblągu bądź w obszarze działania trzydziestu kilku pozostałych Centrów (pełną listę można znaleźć na stronie www.czp.org.pl) – masz prawo do natychmiastowego wsparcia. Wystarczy przyjść do punktu zgłoszeniowo-koordynacyjnego w godz. 8-18, a dyżurujący psycholog opracuje wstępny plan leczenia. W przypadkach pilnych dalsza pomoc zostanie udzielona w ciągu następnych 72 godzin.

WSPARCIE może być różne w zależności od potrzeb i stanu pacjenta: mogą to być regularne wizyty psychiatryczne, psychoterapia grupowa bądź indywidualna, pobyt na oddziale dziennym, leczenie w domu pacjenta. Idea, która stoi za Centrami, to nie tylko usprawnienie pomocy, ale też radykalna zmiana filozofii wsparcia – z anachronicznego, opartego głównie na szpitalach psychiatrycznych, na środowiskowe, akcentujące wagę codziennego funkcjonowania pacjenta w swoim otoczeniu (rodzinnym, zawodowym itd.).

PILOTAŻ ma się rozszerzyć – minister zdrowia podpisał rozporządzenie o uruchomieniu kolejnych 34 Centrów, które powinny ruszyć najpóźniej w lipcu – ale działa też od dawna w warunkach permanentnej niepewności. Na razie wiadomo jedno: program potrwa do końca tego roku.

©℗ PW

– Trudniej go zaprowadzić niż w przypadku zawodu psychologa. Ale chyba jest to konieczne, bo bałagan nie służy osobom cierpiącym.

Mieszkanka zbiorowej wyobraźni

Potoczna opinia, że po marcu 2020 r. cierpimy bardziej, nie znajduje jednoznacznego potwierdzenia. Ale są szczątkowe dane, które na to wskazują. Po pierwsze, drastyczny wzrost poważnych kryzysów wśród młodzieży – liczba ubiegłorocznych prób samobójczych w grupie do 18. roku życia wzrosła w stosunku do roku poprzedniego o 77 procent. Po drugie, zaostrzenie stanu tych, którzy cierpieli już wcześniej. Instytut Nenckiego PAN podał wyniki międzynarodowych badań, które objęły także Polskę. Pokazują, że ponad połowa ludzi, u których zdiagnozowano przed marcem 2020 r. zaburzenia nastroju, lękowe lub stres pourazowy, odczuła pogorszenie stanu na skutek pandemii.

Zmiany, spowodowane też innymi społecznymi kryzysami, widzą sami terapeuci. – Uruchamiają się traumy wojenne, i to wśród ludzi znających II wojnę tylko ze wspomnień rodziców czy dziadków – opowiada Milska-Wrzosińska. – Pacjentka powiedziała, że przestała wychodzić z domu. Była pewna, że jak wyjdzie na ulicę, to stanie się coś strasznego. Może łapanka, bo przecież jest wojna, a dziadek w czasie wojny trafił z łapanki do obozu i nie wrócił.

– Pamiętajmy, że żyją jeszcze ludzie, którzy jako dzieci musieli uciekać, np. z Wilna – dodaje Teresa Panas. – Tamte zdarzenia wryły im się w pamięć, a teraz

na ekranach telewizorów widzą bliźniacze sceny. Znam 97-latkę, u której wróciły tragiczne wspomnienia i nie może sobie z nimi poradzić.

Ten kryzys, a wcześniej pandemia i nasilające się wśród Polaków problemy finansowo-kredytowe nie mogły poprawić dostępności do specjalistów. Niedobory są wszędzie.

Po pierwsze: brakuje psychologów w publicznych placówkach. – Jeszcze kilka lat temu słyszeliśmy, że powinniśmy być zadowoleni, mając etat np. w ochronie zdrowia, bo na nasze miejsce czeka kolejka innych – komentuje Katarzyna Sarnicka – Teraz okazuje się, że np. w szpitalach psychologów czy psychoterapeutów brakuje. Do niedawna na etacie w ochronie zdrowia pobierało się pensję bliską minimalnej krajowej, teraz to ok. 4100 brutto, a od lipca 5400 brutto. Ale i to nie hamuje odpływu psychologów do sektora prywatnego.

Tu zarobić można znacznie więcej: 50 minut konsultacji psychologicznej bądź psychoterapii warte są zwykle między 150 a 200 złotych. Ale i tak kalendarze doświadczonych, certyfikowanych fachowców wypełnione są po brzegi. Znalezienie dobrej terapii dla dzieci i młodzieży graniczy w wielu miejscach z cudem. Niewiele lepiej jest z pomocą dla dorosłych.

– W Warszawie w miarę dyspozycyjny i elastyczny pacjent będzie czekał na terapię w dobrym prywatnym ośrodku trzy, cztery miesiące. Przed pandemią czekało się krócej – ocenia Milska-Wrzosińska. W Krakowie wielu certyfikowanych terapeutów przestało zapisywać na listy rezerwowe – znacznie łatwiej o dostęp do mniej doświadczonych fachowców.

> Kalendarze certyfikowanych terapeutów są wypełnione po brzegi. Znalezienie pomocy dla dzieci i młodzieży graniczy z cudem.

– Pamiętajmy, że duże miasta, zwłaszcza będące silnymi ośrodkami akademickimi, nie są reprezentatywne – mówi Teresa Panas. – Najtrudniej jest w średnich i małych miasteczkach, nie wspominając o wsiach. Bardzo często warunkiem uzyskania pomocy przez mieszkańców takich miejsc jest podróż do większego ośrodka. A z brakiem dostępności wiąże się ryzyko nadużyć przy różnego rodzaju nieprofesjonalnych ofertach pomocy online.

Niewiele lepiej jest z pomocą psychiatryczną – tu także najgorzej mają dzieci, choć dostęp do bezpłatnej pomocy jest utrudniony dla wszystkich: jeśli kryzys nie zagraża życiu lub zdrowiu albo jeśli pacjent nie ma szczęścia mieszkać w jednym z kilkudziesięciu powiatów objętych pilotażem Centrów Zdrowia Psychicznego [patrz: ramka], na wizytę u lekarza poczeka od kilkudziesięciu do kilkuset dni.

Tych problemów nie rozwiążą żadne próby regulowania zawodów – nie rozmnożą one przecież cudownie dobrych fachowców. Podaż nie nadąża za popytem, a państwo robi niewiele, by to zmienić.

– Szkolenia psychoterapeutów, odbywające się głównie w sektorze prywatnym, są bardzo kosztowne – mówi Zofia Milska-Wrzosińska. – Trzeba wydać na nie nawet 50 tysięcy zł, a państwo ich nie refunduje. Mogłoby np. zwracać połowę kwoty, w zamian za obietnicę przepracowania jakiegoś czasu w sektorze publicznym. Widzę działania stymulujące rozwój psychiatrii, ale w sektorze psychoterapeutycznym ich nie ma. Może dlatego, że psychoterapia nigdy nie cieszyła się zaufaniem decydentów. Wszyscy wiedzą, że leki pomagają na depresję, ale już niewielu uwierzy w coś, co jest naukowo zbadanym faktem: że profesjonalna psychoterapia skutecznie leczy różne zaburzenia psychiczne, w tym psychosomatyczne, a leki same w sobie na ogół nie są wystarczające.

Z pomocy psychologicznej odpadła w ostatnich latach duża część ciążącego na niej tabu. Psychoterapia stała się, jak mówi Milska-Wrzosińska, mieszkanką zbiorowej wyobraźni. Szkoda, że zjawisko to nie objęło jeszcze wyobraźni polityków. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Zawada

W JUDAIZMIE ŚWIĘTOŚĆ DOTYCZY NIE TYLKO wybrańców. Dążyć do niej winniśmy wszyscy tu i teraz, znajduje się ona w naszym zasięgu i za naszego życia jesteśmy w stanie ją osiągnąć. Najwyższy wzywa nas: „Świętymi bądźcie, bom święty Ja Wiekuisty Bóg wasz!" (Kpł 19, 2), po czym daje nam mnogość pouczeń, których przestrzeganie ułatwi nam osiągnięcie celu. Odnajdujemy wśród nich i takie: „Przed ślepym nie kładź zawady; ale obawiaj się Boga twojego: Jam Wiekuisty!" (wers 14).

Kłaść coś na drodze niewidomego, aby się potknął? Czyżby Tora napominała tutaj zwyrodnialców? A może to przykazanie niekoniecznie należy rozumieć dosłownie? Niektórzy egzegeci utrzymują, by dopatrywać się w nim czegoś innego, i wskazują alternatywne źródło pochodzenia zakazu: „Przeklęty, kto zwodzi ślepego z drogi!" (Pwt 27, 18) bądź „Gdy zbudujesz dom nowy, zrobisz poręcz wokoło dachu twojego, abyś nie sprowadził krwi na dom twój, gdyby kto spadł z niego" (Pwt 22, 8).

Jak więc można interpretować nasz wers metaforycznie? Midrasz z głębokiej starożytności mówi o złym doradzaniu w danej kwestii „niewidomemu", który przez naszą radę „się potknie". Podaje nam trzy przykłady: odpowiadanie komuś na pytanie, czy pewna kobieta może zostać żoną kapłana (a nie każda może) twierdząco, gdy tak nie jest, radzenie wyruszającemu w drogę, by zrobił to w konkretnej porze dnia, gdy wiąże się to z możliwością padnięcia ofiarą rabusiów bądź zmagania się z falą gorąca, oraz sugerowanie, by człowiek sprzedał pole i kupił osła, gdy my odniesiemy z tego korzyść. Moglibyśmy twierdzić, że daliśmy dobrą radę, ale Najwyższy zna człowiecze intencje i dlatego nasz wers kończy się słowami „ale obawiaj się Boga twojego: Jam Wiekuisty!".

Talmud poszerza nam pole znaczeniowe: „kładzenie przeszkody przed niewidomym" oznacza przyłożenie ręki do popełnienia wykroczenia przez inną osobę. Ilustruje to przykładem człowieka, który podaje nazirejczykowi kielich z winem (jeśli ten wypije, złamie swoje ślubowanie, zob. Lb 6, 4), następnie niuansuje sprawę: czy człowiek zawinił, zależy od tego, czy znajduje się z nazirejczykiem – dosłownie – „po tej samej stronie rzeki", czy też nie. Innymi słowy: kwalifikację czynu zmienia ewentualna dostępność wina z innego źródła. W innym traktacie Talmud idzie jeszcze dalej: nazywa „kładącym zawadę przed ślepym" ojca, który bije swojego nastoletniego syna. Wyjaśnijmy: rozzłoszczony nastolatek może się odwinąć, tymczasem Tora nakazuje karać uderzenie rodzica śmiercią (zob. Wj 21, 15). I tak oto z przykazania, które brzmi nieomal banalnie i na pierwszy rzut oka bardzo łatwo go przestrzegać, rabini uczynili kwestię złożoną, której wyzwaniom niejednokrotnie trudno sprostać. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Modlitwa na odwyrtkę

„ZOBACZYŁEM, ŻE Z NIEBA OD BOGA ZSTĘPUJE Miasto Święte, nowe Jeruzalem (...). Świątyni w mieście nie widziałem, gdyż jego świątynią jest Pan, Bóg Wszechmocny, i Baranek. Miastu nie potrzeba też słońca ani księżyca, bo oświetla je chwała Boża, a Baranek jest jego lampą" – mówi autor Apokalipsy. W Ewangelii Jana Jezus, który zstąpił z nieba, przed powrotem, wstąpieniem do nieba, mówi do apostołów: „Otrzymałem pełną władzę w niebie i na ziemi. Idźcie więc i pozyskujcie uczniów we wszystkich narodach! Udzielajcie im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Nauczajcie ich, aby zachowywali wszystko, co wam nakazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do końca świata". To znaczy, że u Boga przychodzić i odchodzić, wstępować i zstępować, być i nie być – znaczy jedno i to samo. Mojżesz, gdy zapytał Boga o imię, usłyszał: „Jestem tym, kim jestem. Tak masz powiedzieć Izraelitom: Jestem posyła mnie do was".

Oczywiście mowa o nowym Jeruzalem odnosi się do dnia wypełnienia się Bożego działania względem świata, ale dotyczy również dnia dzisiejszego. Jak Mojżesz był i jest „lampą" dla Izraelitów, tak Jezus jest dla nas, i obydwaj przypominają, że Bóg żyje zawsze w czasie teraźniejszym, jest tutaj i że całe tak zwane *profanum* pulsuje w rytm Jego serca, choć często wygląda na to, że jest przeciwnie, że Boży puls rzeczywistości zanikł. Wtedy, podobnie jak prorocy Baala za czasów Eliasza, zaczynamy „modlitewny szturm do nieba".

„Przygotowali więc cielca, którego im przyprowadzono, i modlili się do Baala od rana do południa, wołając: »Baalu, odpowiedz nam«. Nie było jednak żadnego głosu, żadnej odpowiedzi. Wtedy zaczęli podskakiwać wokół zbudowanego przez siebie ołtarza. Kiedy było już południe, Eliasz wyśmiewał się z nich: »Krzyczcie głośniej (...) przecież to jest bóg, więc może jest zamyślony albo zajęty swoimi sprawami, albo jest jeszcze w drodze. A może po prostu śpi i musi się obudzić?«. Oni zaś, krzycząc głośno, nacinali się według zwyczaju mieczami i włóczniami, aż się pokrwawili". Co było dalej, pamiętamy.

Powie ktoś: ależ w tym przypadku chodzi o fałszywego boga. Owszem, ale w Ewangelii Mateusza Jezus mówi: „Gdy się modlicie, nie mówcie wielu słów jak poganie. Wydaje się im, że dzięki gadulstwu będą wysłuchani. Nie naśladujcie ich, gdyż wasz Ojciec wie, czego potrzebujecie, zanim Go poprosicie". Z przytoczonych przykładów wynika jedno – błędem jest sądzić, że modlitwami można odmienić usposobienie Boga, ale takiej możliwości, a więc i potrzeby, nie ma. Bóg jest wszechmogący, dlatego nie zmienia swego usposobienia. Czasami, za pomocą modlitw osobistych i obrzędów, chcielibyśmy tę Jego wszechmoc zagarnąć i nią dysponować. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Zwycięzcy

„A oni zwyciężyli dzięki krwi Baranka i dzięki słowu swojego świadectwa" – mówi o zbawionych „braciach" św. Jan w Apokalipsie (zob. Ap 12, 11). Liturgia przypomniała nam ten tekst w święto św. Andrzeja Boboli.

Zwyciężyli – najpierw i przede wszystkim – dzięki krwi Baranka. To sformułowanie wywołuje z naszej pamięci inne, zapisane przez św. Pawła w Liście do Rzymian: „Lecz we wszystkim tym odnosimy zwycięstwo dzięki Temu, który nas umiłował" (zob. Rz 8, 37).

Zło zwyciężają ci, którzy znają Baranka, który ich umiłował – umiłował ich aż po przelanie swojej krwi. Doświadczywszy tej miłości, nie dają się pobić złu – nie dają sobie narzucić ani działania, ani (tym bardziej) myślenia swoich prześladowców. Nie kapitulują przed złem i nie przyznają mu racji. Nie żałują czynionego dobra i nie wyzywają swojego odbicia w lustrze od frajerów i nieznających życia, przetrąconych idealistów. Krew Baranka, która z Niego spłynęła na nich – tak, że oczyściła nie tylko ich szaty (zob. Ap 7, 14), ale również i dusze – krzyczy do nich głośniej niż krew Abla (Hbr 12, 24). Nie woła o pomstę, lecz o miłosierdzie. Wiedzą, jak bardzo zostali umiłowani, i chcą kochać podobnie.

Dlatego też zwyciężają „dzięki słowu swojego świadectwa". Nie ma mocniejszego ludzkiego „słowa" niż „słowo świadectwa" – tym bardziej że mamy tutaj w greckim tekście słowo martyria, które może oznaczać (i w naszym tekście zapewne oznacza) męczeństwo. Tak. Męczeństwo to bez wątpienia najmocniejsze słowo ucznia.

Kto wie, może nawet jest tak, że bez „słowa świadectwa" tak naprawdę jestem niemy? Nawet jeśli z moich ust (albo spod mego pióra) wylewają się wodospady słów. Bez „słowa świadectwa" są one jedynie dobrze wyuczoną i gładko wydeklamowaną lekcją.

Także i w tym przypadku dobrze jest nieco poszerzyć perspektywę i sięgnąć do słowa pogłębiającego rozumienie.

W Pierwszym Liście św. Jana czytamy: „Napisałem do was, młodzi, że jesteście mocni, i że słowo Boże trwa w was, i że zwyciężyliście złego" (1 J 2, 14).

Tak więc świadectwo zwyciężające złego zdolni są złożyć ci, w których trwa Słowo Boga. To Jemu ostatecznie – a nie swoim poglądom – dajemy świadectwo. I to Jego mocą zwyciężamy. To Słowo Boga – nie my – jest mocne. ©

Drogą, która prowadzi do poznania, jest panowanie nad namiętnościami i pokora.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU

Nie smuć się z powodu nachodzących cię złych myśli. To tylko je wzmacnia.

NACHMAN Z BRACŁAWIA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (29 V – 5 VI)

Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Hbr 9, 24-28; 10, 19-23; Łk 24, 46-53;
Poniedziałek: Dz 19, 1-8; Ps 68; J 16, 29-33;
Wtorek: So 3, 14-18 lub Rz 12, 9-16b; Ps: Iz 12, 2-6; Łk 1, 39-56;
Środa: Dz 20, 28-38; Ps 68; J 17, 11b-19;
Czwartek: Dz 22, 30; 23, 6-11; Ps 16; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 25, 13-21; Ps 103; J 21, 15-19;
Sobota: Dz 28, 16-20. 30-31; Ps 11; J 21, 20-25;
Niedziela Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11; Ps 104; Rz 8, 8-17; J 14, 15-16. 23b-26.

STALE NADAJE. ALE NIE ODBIERA

Adam Glapiński najlepiej liczył kasę, więc uznano, że da sobie radę w NBP. Ma tam realizować politykę rządu i przechowywać kadry wierne Kaczyńskiemu.

KAROLINA LEWICKA

Biuro Prasowe NBP zareagowało niemal natychmiast. „Dziękujemy Parlamentarzystom za głosowanie za Polską!" – napisali podwładni Adama Glapińskiego na Twitterze tuż po jego wyborze na drugą kadencję prezesa banku centralnego – tym samym stawiając pomiędzy swoim szefem a Polską znak równości.

Glapiński o powtórny wybór bił się długo, wszak już pod koniec stycznia prezydent zawnioskował do Sejmu o jego powołanie. Od tego czasu PiS usiłował uciułać większość, jednak opornie to szło, a głosowanie kilkukrotnie odraczano. Ostatecznie doszło do wymiany barterowej między Solidarną Polską a PiS-em: dwadzieścia szabel Zbigniewa Ziobry pozyskano w zamian za wybór zaprzyjaźnionych z nim sędziów do neo-KRS. Zielony guzik nacisnęli także pisowscy satelici – Mejza, Ajchler i Girzyński oraz trzech z czterech posłów koła Kukiz'15. Dzień wcześniej Paweł Kukiz nie wykluczył swojego startu w 2023 r. z list Zjednoczonej Prawicy. „Sam się do Sejmu nie dostanę" – stwierdził.

Dlaczego Jarosławowi Kaczyńskiemu aż tak zależało na Glapińskim? Mój rozmówca z PiS-u nie ma wątpliwości: – Bo jest lojalny. Raz, że zrobi to, co jest korzystne z punktu widzenia rządu, na pewno też pomoże w kampanii. Dwa, że jeśli przegramy wybory, to bank będzie miejscem zatrudnienia dla wielu naszych ludzi, wyrzuconych z państwowych spółek.

Dzień przed głosowaniem Glapiński pojawił się na Nowogrodzkiej i przemówił do parlamentarzystów – zaraz po Kaczyńskim, w stylu dobrze znanym z jego comiesięcznych konferencji po posiedzeniach Rady Polityki Pieniężnej: zachwalał swoją osobę i odpierał medialne ataki. Jednak na Wiejską, kiedy głosowano jego kandydaturę, już się nie pofatygował. Słowa wielu posłów mogłyby zepsuć mu atmosferę wyboru na kolejną, sześcioletnią kadencję.

Jakieś obłąkane teksty

Sześć lat to dużo. Glapińskiemu wystarczyło ostatnio zaledwie sześć miesięcy, by doprowadzić do bezprecedensowej erozji wiarygodności instytucji, którą zarządza od połowy 2016 r. Rynki patrzą dziś na prezesa z niedowierzaniem i nieufnością. Przed nami bardzo trudny czas, a jego poczynania ciężko przewidzieć.

Pierwsza podwyżka stóp procentowych, na początku października 2021 r., była wielkim zaskoczeniem, bo jeszcze 9 września Adam Glapiński zarzekał się, że „warunków do podwyżki stóp nie ma". Inflacja, jak wynikało z wypowiedzi prezesa NBP, była przejściowym problemem.

FILIP BŁAŻEJOWSKI / GAZETA POLSKA / FORUM

Przy drugiej podwyżce stóp, w listopadzie, Glapiński twierdził, że „inflacja wzięła się z naszego sukcesu". Jak dowodził, „jest wyższa w tych państwach, które skuteczniej ratowały gospodarkę, najszybciej i przy najmniejszych kosztach wyszły z kryzysu". Przy czwartej, w styczniu, dał upust swojej frustracji: „Zwracam się do dziennikarzy, proszę nie wyciągać tych prognoz w 2023 roku i komentować, że Adam Glapiński się na niczym nie zna. Bo to w sumie mówienie o prezesie NBP-u, że jest idiotą. A to tylko świadczy o mówiących". Przy szóstej zaprezentował się jako „jastrząb na czele jastrzębi", po czym pokusił się o socjologiczną analizę „młodych, wykształconych, z wielkich miast", którzy na początku wojny rosyjsko-ukraińskiej zaczęli wypłacać gotówkę z bankomatów. „Najbardziej niemądra, panikarska część naszego społeczeństwa – zżymał się prezes. – Siedzą cały dzień w internecie, grzebią coś, szukają, czytają jakieś obłąkane teksty". Na początku maja, ogłaszając ósmą podwyżkę, mówił przez ponad dwie godziny...

Po tych wszystkich występach zaczęto Glapińskiego nazywać stand-uperem. Adrian Zandberg z Partii Razem stwierdził nawet, że prezes pewnie „lepiej by się odnalazł na Mazurskiej Nocy Kabaretowej". O ten teatr jednego aktora pytam specjalistę od komunikacji, prof. Olgierda Annusewicza z UW.

– Nadawca komunikatu jest skuteczny, jeśli jest zrozumiały, sprawia wrażenie człowieka kompetentnego i potrafi wzbudzić sympatię wśród słuchaczy – tłumaczy mi politolog. – Prezes mówi w sposób przejrzysty i czytelny. To na pewno nie jest twardogłowy ekonomista, operujący hermetycznym językiem. Punkt dla niego. Nie oceniam, czy jest kompetentny, ale przeciętnemu obywatelowi może się takim wydawać. Kolejny plus. Natomiast Glapiński poległ kompletnie na polu zdobywania sympatii odbiorców. Sprawia wrażenie człowieka zadufanego i przekonanego o własnej nieomylności, wychodzi poza skalę samouwielbienia.

Zdaniem eksperta, Glapiński komunikuje się w sposób jednokierunkowy, stale nadaje, ale niczego nie odbiera. To wygodna strategia komunikacyjna, lecz tylko do czasu. W kryzysie ewidentnie zawodzi.

Prezes NBP Adam Glapiński. Warszawa, 25 listopada 2021 r.

↦ – Najważniejszą kompetencją każdego prezesa banku centralnego jest umiejętność kontaktowania się z rynkiem – mówi mi Jan Krzysztof Bielecki, były premier, w którego rządzie Glapiński był ministrem gospodarki przestrzennej i budownictwa. – Tymczasem prezes tym, co mówił, rozczarował rynek. Bo najpierw twardo deklarował, że stopy nie będą podnoszone, po czym dokonał zwrotu o 180 stopni. Nie bierze odpowiedzialności za swoje słowa, zachowuje się tak, jakby liczyło się tylko dziś.

Nieobecny albo spóźniony

Oprócz kiepskiej komunikacji, prezes ma też inne grzechy na sumieniu. Ekspertów bulwersowały np. interwencje na rynku walutowym, podjęte przez bank pod koniec 2020 r., których celem było osłabienie złotego, ponoć motywowane chęcią wsparcia polskiego eksportu. Podejrzewano jednak, że w ten sposób Glapiński usiłuje przede wszystkim zwiększyć zysk NBP, w lwiej części zasilający przecież budżet państwa. Temu samemu służyło długotrwałe utrzymywanie, przez niepodnoszenie stóp, stosunkowo wysokiej inflacji. To dzięki niej rosły wpływy z podatku PIT – w 2021 r. w budżecie pojawiło się dodatkowe 9 mld zł. Podniosły się też wpływy z VAT, i to aż o 31 mld.

– Przez większą część pierwszej kadencji prezes był raczej nieobecny, bo też nie działo się nic, co wymagałoby prowadzenia umiejętnej polityki monetarnej – uważa Janusz Jankowiak, główny ekonomista Polskiej Rady Biznesu. – Kiedy jednak nadszedł moment na wyjście z cienia i reakcję, okazała się spóźniona, a komunikacja niewłaściwa. Wtedy też wyszło na jaw wiele błędów w prowadzeniu samego banku i polityki monetarnej.

Zanim rzeczywistość zweryfikowała politykę szefostwa NBP, Glapiński zaistniał szerzej w przestrzeni publicznej i medialnej zaledwie dwukrotnie, za to każdorazowo w atmosferze skandalu.

Pierwsza sprawa to afera w Komisji Nadzoru Finansowego. Jej głównym bohaterem był szef KNF, Marek Chrzanowski, którego na to stanowisko polecił premier Beacie Szydło właśnie Glapiński – obaj znali się z SGH. W listopadzie 2018 r. „Gazeta Wyborcza" ujawniła rozmowę Chrzanowskiego z Leszkiem Czarneckim, właścicielem Getin Noble i Idea Banku z marca tego samego roku. Chrzanowski miał proponować nagrywającemu go potajemnie biznesmenowi ochronę jego banków w zamian za 40 mln zł. Proces Chrzanowskiego, oskarżanego o korupcję, rozpoczął się dopiero w marcu tego roku. A wątek potencjalnego udziału Glapińskiego w aferze (miał być wedle zeznań Chrzanowskiego inicjatorem spotkania obu panów) nie został podjęty przez śledczych. Sam prezes NBP już po ujawnieniu nagrania nazwał Chrzanowskiego „człowiekiem niezwykle uczciwym, szlachetnym, honorowym i wybitnym".

Kilka tygodni później na jaw wyszły zarobki współpracowniczek Adama Glapińskiego w NBP: Kamili Sukiennik i Martyny Wojciechowskiej. Okazały się wyższe niż pensja poprzedniego prezesa banku, prof. Marka Belki. Kompetencje i wykształcenie obu pań budziły spore wątpliwości, a PiS miał żądać od Glapińskiego, by obie zwolnił lub chociaż obniżył im uposażenia – bezskutecznie. Ostatecznie, by zażegnać wizerunkowy kryzys, partia znowelizowała ustawę o NBP, wprowadzając jawność i limity wynagrodzeń kierownictwa. Niedawno Onet doniósł, że jedna z podopiecznych prezesa NBP miała jednak pożegnać się ze stanowiskiem, ale przedtem „nagrała trochę taśm, o których plotki są żywe w PiS". Pozycji Glapińskiego to jednak nie zachwiało. Dlaczego? Bo to wierny żołnierz, jeszcze z „zakonu PC".

Wolał inne ministerstwo

Jest końcówka lat 80., kiedy Andrzej Halicki, student warszawskiej Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (dzisiejsza SGH) i jeden z liderów Niezależnego Zrzeszenia Studentów, organizuje obozy nad Jeziorem Kiełpińskim. Uczestniczy w nich także starszy o ponad dekadę Adam Glapiński, były działacz podziemnej Solidarności na uczelni, wówczas jej pracownik naukowy (na SGH zrobi doktorat i habilitację, a w 2013 r. otrzyma tytuł profesora).

– Adam nie chciał się wówczas bawić w politykę – wspomina Halicki, dziś europarlamentarzysta Koalicji Europejskiej. – Dopiero potem złapał bakcyla, chyba nawet przeze mnie. Kiedy startowała wolna Polska, był już częścią naszego środowiska liberałów, członkiem warszawskiego KLD, brał nawet udział w zjeździe założycielskim w 1990 r.

W grudniu tegoż roku Lech Wałęsa powierza misję utworzenia rządu Janowi Krzysztofowi Bieleckiemu. Od nowego roku ruszają rozmowy o personaliach. Wówczas Halicki rekomenduje Glapińskiego do resortu budownictwa. – W trakcie tych negocjacji okazało się, że Adam wolałby odpowiadać za współpracę gospodarczą z zagranicą. Wtedy też nawiązał kontakt z Porozumieniem Centrum – wspomina Halicki.

Choć ostatecznie Glapiński trafia do resortu gospodarki przestrzennej i budownictwa z ramienia KLD, to niemal od razu po nominacji przechodzi do koalicyjnego PC i – o czym wspomina prof. Antoni Dudek w „Historii politycznej Polski", nazywając to schizofrenicznym zachowaniem – „kilkukrotnie publicznie atakuje różne posunięcia własnego rządu". Sam Bielecki pamięta to inaczej: – Współpracowało mi się z nim dobrze, był ministrem w miarę zdyscyplinowanym.

Jak mówi mi jeden z ówczesnych współpracowników Glapińskiego, wołano na niego „klamka", bo do jego gabinetu w resorcie rzeczywiście nie było klamki. – Nikt z zewnątrz nie miał możliwości do niego wejść, on sam otwierał te drzwi kluczem. To wiele o nim mówi.

W 1991 r. Glapiński wystartuje do Sejmu z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum i zdobędzie mandat. – Byłem zaskoczony – przyznaje Halicki. – Nasze drogi się wówczas rozeszły. Adam twardo poszedł w stronę Kaczyńskich. Kiedy w 1993 r. Jarosław palił kukłę Wałęsy przed Belwederem, to on stał z nim w pierwszym szeregu.

Na uwieczniających tę demonstrację fotografiach Glapiński, ubrany w turecki kożuszek i w okularach, mocno trzyma pod ramię Jarosława Kaczyńskiego. Obaj stoją pod transparentem „Bolek do domu". Wcześniej, w rządzie Jana Olszewskiego Glapiński dostanie wreszcie to, o co wcześniej zabiegał, czyli resort współpracy z zagranicą. Na krótko, bo gabinet upadnie po pół roku.

W 1993 r. znów kandyduje, tym razem nie z Warszawy, lecz z Olsztyna, ale PC nie przekracza progu wyborczego. Cztery lata później jest lepiej, Glapiński dostaje się do Senatu z listy ROP, po czym przechodzi do ZChN. Z polityką żegna się w 2001 r., idzie w biznes. Kiedy w Polsce rządzi po raz pierwszy PiS, zostaje szefem rady nadzorczej KGHM Polska Miedź oraz prezesem Polkomtela. Wcześniej robi doktorat, a w 2004 r. habilitację na SGH. Jego prace badawcze dotyczą inspi-

rowanej marksizmem ekonomii schumpeterowskiej, stawiającej na innowacje.

Krótka ławka po Smoleńsku

Po przejęciu władzy przez PO Glapiński traci pracę w spółce i pojawia się w ścisłej orbicie prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Przez kilka miesięcy jest jego doradcą ekonomicznym (obok Ryszarda Bugaja), a w lutym 2010 r. Kaczyński nominuje go do Rady Polityki Pieniężnej. Już jako jej członek odbierze z rąk prezydenta Bronisława Komorowskiego tytuł profesorski.

Dlaczego to właśnie Glapiński został później wytypowany na szefa NBP? – Powody są dwa – uważa Stanisław Kostrzewski, były skarbnik PiS. – Po pierwsze, po katastrofie smoleńskiej znacząco skróciła się nasza ławka kadrowa. Zginęła Grażyna Gęsicka i Aleksandra Natalli-Świat. Zubożeliśmy nie tylko liczebnie, ale i intelektualnie. Po drugie kandydat do NBP musiał spełnić określoną rolę: być sprawnym wykonawcą zadań, choć nie tych, do których powołany jest bank, tylko tych wyznaczonych przez partię. Dziś, kiedy patrzę na działania prezesa, to myślę: tragedia!

Opinia publiczna podziela zdanie Kostrzewskiego, bo w ostatnim sondażu CBOS notowania banku są najgorsze w historii tych badań. Za to nieźle oceniają prezesa pracownicy banku. Glapiński nie przeprowadził bowiem czystek kadrowych. Posady zachowali nawet ci, których jednoznacznie kojarzono z opozycją czy ludzie z ekipy Marka Belki. Jedna z tych osób, poproszona o opinię o szefie, wysyła mi mailem swoistą laudację: „Adam Glapiński dba o pracowników. Wśród tych, z którymi pracuje, a nawet awansował, są ludzie z wielobarwnymi życiorysami i poglądami, także z różnymi korzeniami politycznymi. (...) Wydaje się, że większość pracowników NBP byłaby usatysfakcjonowana ponownym wyborem Adama Glapińskiego na Prezesa NBP." Ktoś inny zwraca mi uwagę na kilka gestów, jakie nowy prezes wykonał wobec podwładnych. Ot, choćby kawiarnia z darmową kawą i herbatą dla ponad 3 tysięcy osób zatrudnionych w centrali banku. To efekt umowy, jaką w 2017 r. Glapiński zawarł na cztery lata z popularną sieciówką. Koszt? 3 mln zł. Do kawiarni – jak słyszę – waliły tłumy, choć NIK uznał tę inwestycję za „bezcelową" i „niegospodarną".

Kiedy w 1993 r. palono kukłę Wałęsy pod Belwederem, Glapiński dał się uwiecznić na słynnym zdjęciu.

Ubrany w kożuszek, mocno trzymał pod rękę Jarosława Kaczyńskiego.

Z drugiej jednak strony, głośna była wśród pracowników i związkowców sprawa ewentualnego podsłuchiwania podwładnych – w budynku banku jest zamontowanych aż 600 kamer, które ponoć mogły rejestrować nie tylko obraz, ale i dźwięk. Bank, w oficjalnym oświadczeniu, zaprzeczył, by kamery „posiadały moduł mikrofonowy do nagrywania dźwięku".

Wielu bulwersuje też fakt, że bank stał się „przechowalnią" dla sporej liczby mało kompetentnych osób, powiązanych politycznie lub towarzysko z obozem władzy. Bo to, że Glapiński masowo nie zwalniał, nie znaczy, że przy okazji nie zatrudniał „swoich". Do banku trafił m.in. były wiceprezes PiS i wierny towarzysz Jarosława Kaczyńskiego – Adam Lipiński, były szef ABW Piotr Pogonowski oraz dawna pracownica sekretariatu klubu parlamentarnego PiS Magdalena Beyer. Kilka osób przeszło też z Kancelarii Prezydenta: Paweł Mucha, Marta Gajęcka czy Anna Kasprzyszak, prywatnie była żona Mariusza Kamińskiego. Swoje miejsce w NBP znaleźli również wypróbowani działacze jeszcze z czasów PC, choćby Andrzej Diakonow. I to właśnie za działalność Glapińskiego na rzecz swojej pierwszej partii prezes PiS ma być mu wdzięczny do dziś. Jeden z moich rozmówców, przed laty blisko braci Kaczyńskich, zarzeka się, że sam Jarosław powiedział mu kiedyś, iż Glapiński był wręcz kasjerem PC, który umożliwił zbudowanie finansowego imperium partii.

Apostoł miłosierdzia

Rzecz działa się w 1991 r., kiedy Glapiński jako minister budownictwa przygotowywał ustawę uwłaszczeniową. Wedle proponowanych przepisów, osoby prawne i fizyczne, posiadające w grudniu 1990 r. decyzje lokalizacyjne na danym terenie, miały zostać bez przetargu użytkownikami wieczystymi gruntu. To ważne dla ówczesnego środowiska Kaczyńskiego, które było beneficjentem podziału majątku dawnego koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch" między istniejące wówczas partie polityczne. Kaczyńskiemu, wskutek intensywnych starań, przypadł „Ekspress Wieczorny" z redakcją w Alejach Jerozolimskich oraz zakłady graficzne przy Nowogrodzkiej i Srebrnej. Dzięki przepisom Glapińskiego stworzona przez działaczy PC Fundacja Prasowa Solidarność uwłaszczyła się na tym majątku. W sumie było to 15 tys. m² powierzchni biurowej w centrum stolicy. Między innymi tę sprawę opisały w książce „Prezes i spółki" Iwona Szpala i Agata Kondzińska. Według Kondzińskiej Glapiński był też łącznikiem Kaczyńskiego ze światem biznesu.

– To były lata 90., wolnoamerykanka jeśli chodzi o finansowanie partii politycznych – mówi mi dziennikarka „GW". – Kaczyński nie miał znajomości wśród biznesmenów, a były one niezwykle cenne, Glapiński bardzo się tu przydawał.

Początki III RP to również afera defraudacji potężnych pieniędzy z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Tu też pojawia się nazwisko Glapińskiego, choć on sam twierdzi, że nie miał nigdy z ludźmi FOZZ do czynienia. Tyle że w trakcie procesu, który ruszył w 1993 r., pojawiły się zeznania czterech osób, w tym szefa zespołu analityków NIK Anatola Lawiny, który twierdził, że pieniądze z FOZZ trafiały także do PC. Działo się tak poprzez Macieja Zalewskiego i... Glapińskiego. Jednak wątek finansowania PC z FOZZ został ostatecznie umorzony z braku dowodów.

Adam Glapiński nie chciał udzielić wywiadu „Tygodnikowi Powszechnemu"; prośba skierowana w tej sprawie do Biura Prasowego NBP pozostała bez odpowiedzi. Prezes preferuje znane mu, bezpieczne środowisko. Przywileju rozmowy z nim dostąpił w ostatnich miesiącach należący do NBP „Obserwator Finansowy" oraz „Gazeta Bankowa", wydawana przez spółkę Fratria braci Karnowskich, która zresztą uhonorowała prezesa tytułem Bankowego Menedżera Roku 2020. Glapiński udzielił jeszcze jednego wywiadu: kwartalnikowi „Apostoł Miłosierdzia Bożego", wydawanemu przez księży pallotynów. W październiku 2021 r. przekonywał, że „najgorsze już za nami".

© KAROLINA LEWICKA

Wiraże pełne wirów

JAROSŁAW FLIS

Na razie groźby rozpadu koalicji i nowych wyborów są tylko chwytami negocjacyjnymi. Ale ten wrestling udający groźną walkę może się w końcu zamienić w pojedynek z bolesnymi ciosami.

Czas nadzwyczajnej mobilizacji minął. Ukrainie nie grozi już egzystencjalne niebezpieczeństwo. Choć droga ku zwycięstwu nad Rosją wydaje się daleka i bolesna, wiele wskazuje na to, że sukces może zapewnić determinacja i długotrwały wysiłek. Ta sytuacja zmienia też rodzimą politykę. W momencie pierwszego zrywu i zagrożenia upadkiem Kijowa powszechne były oczekiwania odłożenia sporów, połączenia sił i wyjścia naprzeciw dotychczasowym oponentom. Traktowanie międzypartyjnych podchodów jako ostatecznej walki dobra ze złem straciło na wiarygodności w obliczu tragedii za naszą wschodnią granicą. Choć od początku nie brakowało takich, którzy używali wojny jak kolejnej pałki na politycznych przeciwników, to jednak byli oni raczej ambarasującym marginesem. Teraz polska polityka zaczęła jednak wracać na znane nam tory.

Pięciu rozgrywających

Starej logice podlega zwłaszcza to, co dzieje się wewnątrz koalicji rządzącej. Toczy się tam rozgrywka pomiędzy prezydentem, premierem, prezesem i ministrem sprawiedliwości. Do tego dochodzi jeszcze jeden prezes: telewizji, którego wpływowi na atmosferę w kraju trudno zaprzeczyć. Z całej tej piątki trzej ostatni gracze nie są zainteresowani tym, by zmieniać logikę polskiej sceny, opartą na konflikcie. On jest oczywiście nieodłącznym elementem polityki, ale to, z czym mamy dziś do czynienia, zasługuje już na miano zacietrzewienia. Jego źródłem jest pozycja, jaką wypracował sobie Zbigniew Ziobro w relacjach z Jarosławem Kaczyńskim. W efekcie żaden z nich nie ma dziś serca do przejrzystej współpracy z traktowanym na równi partnerem, nie można mieć też złudzeń, że dojdzie tu do jakiegoś pozytywnego przesilenia.

To właśnie sprawia, że w kwestiach Izby Dyscyplinarnej SN i pieniędzy z KPO sytuacja ciągle jest niejasna. Utrzymała się sejmowa większość i rozstrzygnięte zostały losy dwóch problemów, czyli wyboru prezesa Narodowego Banku Polskiego i nominacji dla sędziów do neo-KRS. Tyle że właśnie te dwie decyzje pokazują, iż żadnej odmiany, na której skorzystałoby społeczeństwo, w obozie rządzącym nie będzie. Nie stara się on bowiem naprawiać swoich błędów, lecz woli udawać, że nigdy ich nie było. Trzymanie na stanowisku Adama Glapińskiego, który stał się uosobieniem wysokiej inflacji, nie jest na pewno politycznym majstersztykiem. Podobnie można ocenić środowisko Zbigniewa Ziobry i jego nieudolne próby reformy wymiaru sprawiedliwości. Widać tu wyraźnie, że dostrzeganie problemów trapiących społeczeństwo nie oznacza wcale umiejętności ich rozwiązywania.

Prezydent czy premier, nawet jeśli chcieliby coś zmienić w politycznym stylu swojego obozu, są na to za słabi. Nad ostatnią inicjatywą ustawodawczą Andrzeja Dudy, mającą zakończyć spór z UE, ciąży wspomnienie losów jego inicjatywy referendalnej w sprawie konstytucji czy kompromisu aborcyjnego, którego projekt utknął w parlamencie. Teraz też widać, że nikt specjalnie – a szczególnie Ziobro – nie zamierza mu się podporządkować tylko z tytułu stanowiska Dudy.

Premier też jest w pułapce. Odgrzewa dziś wszystkie spory z opozycją, żeby zachować wiarygodność w oczach pozostałych graczy swojego obozu, choć jednocześnie do sprawnego rządzenia potrzebuje narzędzi, w szczególności europejskich pieniędzy, których otrzymanie wymaga spuszczenia z tonu.

Jedna, dwie, trzy listy

Groźby ostatecznego rozpadu koalicji i przyspieszonych wyborów, pojawiające się w spekulacjach, na razie okazują się tylko chwytami negocjacyjnymi. Przy każdym nawrocie kryzysu rządowego na prawicy te teatralne gesty stają się jednak coraz bardziej wyraziste. Może się w którymś momencie okazać, że ten wrestling nie tylko udaje niezwykle groźną walkę, ale zamienia się w pojedynek z naprawdę bolesnymi ciosami. Zbigniew Ziobro może bowiem uznać, że warto się stawiać, bo można dzięki temu zachować tożsamość w obrębie obozu politycznego i znowu coś utargować – tak jak udało mu się to w przypadku KRS, do której wepchnął swoich ludzi.

Tak czy inaczej, nawet jeśli scenariusz przyspieszonych wyborów obecnie się oddalił, wciąż jest możliwy, i to już jesienią, gdyż emocje pomiędzy uczestnikami gry w koalicji rządzącej wcale się nie zmniejszyły. Nikt nie wyciągnął wniosku, że działania, które doprowadziły do dotychczasowych napięć, są złe. Dlatego można przypuszczać, że będą one wracać, nawet gdyby udało się osiągnąć sukces w sprawie przyznania pieniędzy z UE. Powinniśmy się przyzwyczajać do myśli, że każdy miesiąc może przynieść coś, czego wcześniej nie byliśmy sobie w stanie wyobrazić.

Przyspieszone wybory wymagają jednak kilku warunków. Przede wszystkim

RAFAŁ GUZ / PAP

Mateusz Morawiecki i Zbigniew Ziobro w ławach rządowych podczas posiedzenia Sejmu. Warszawa, 11 maja 2022 r.

zależą od sytuacji Ukrainy. Opozycja, chociaż jeszcze przed najazdem Rosji złożyła wniosek o samorozwiązanie Sejmu, dziś nie musi być już tak bardzo zainteresowana jego przegłosowaniem. Wybory w sytuacji wojny za granicą i milionów uchodźców goszczących w naszym kraju nie są dobrym pomysłem. Zwłaszcza dla Donalda Tuska, który wciąż liczy, że uda mu się zmontować jedną opozycyjną listę (choć nic od pół roku w tej sprawie się nie zmieniło i poza PO chętnych nie ma).

Po ostatnich sondażach widać, że na polskiej scenie panuje pewna stagnacja i równowaga z lekkim wskazaniem na opozycję. Atmosferę podgrzał ostatnio sondaż Ipsos sugerujący, że wybór jednej listy byłby jakościową zmianą i dawałby opozycji więcej, czyli 50 proc. głosów. Ten wynik wyłamuje się jednak z trendu pokazywanego przez wiele wcześniejszych badań opinii, które wskazują wyraźnie, że zbytnie zjednoczenie opozycji oznacza odpływ części wyborców do Konfederacji i PiS lub ich rezygnację z pójścia do urn. Powód: zbyt szerokie skrzydła przeszkadzają części elektoratu, który widzi na jednej liście ludzi nadmiernie różniących się poglądami.

Mamy zatem sytuację, w której cztery listy to na pewno za dużo, ale jedna może być celem wątpliwym. Pytanie, czy powinny powstać dwie, czy trzy listy, i w jakiej konfiguracji, ciągle pozostaje otwarte. Ostateczna decyzja zapadnie pewnie wtedy, kiedy będzie już jasny termin elekcji. Można się spodziewać, że gdyby kolejne konflikty w obozie rządzącym wywołały kryzys wymagający przecięcia go wyborami, opozycja może nie mieć wyjścia, jak poprzeć wniosek. Zwłaszcza że będzie to dla niej zawsze większa szansa niż dla partii władzy. W naszym systemie politycznym przyspieszone wybory są aktem desperacji i dowodem na kryzys polityczny. Trudno jest je sensownie i bezpiecznie uargumentować z perspektywy rządzących, którzy wygrali w poprzednich i zdobyli sejmową większość. Prawo i Sprawiedliwość otrzymało samodzielne rządy, do tego posiada swojego prezydenta. Nie ma zatem racjonalnego powodu, dla którego właśnie teraz powinny się odbyć wybory, kiedy Polacy mają na głowie tak wiele innych problemów.

Zajęci głównie sobą

Jedynym dobrym dla rządzących skutkiem ubocznym, który przyniosłoby wcześniejsze wysłanie obywateli na głosowanie, jest rozwiązanie problemu roku 2023. Na skutek wydłużenia kadencji samorządów do pięciu lat dojdzie do koincydencji pomiędzy wyborami sejmowymi i samorządowymi. Te drugie, zgodnie z prawem, mają od tygodnia do sześciu poprzedzać wybory do parlamentu. A to rozwiązanie bardzo kłopotliwe dla partii rządzącej. Wybory lokalne tuż przed sejmowymi zmobilizują bowiem wyborców opozycji, chcących ukarać lokalnych kandydatów PiS za błędy całego obozu władzy. Spektakularna porażka na miesiąc czy tydzień przed wyborami do parlamentu może podciąć skrzydła przegranym, zwycięzcom zaś dodać animuszu. Opcjonalne przesunięcie wyborów lokalnych na później może za to zmienić motywację po stronie samorządowców, czyli osób, które obecnie są radnymi i burmistrzami i które mogą poprzez osobisty start na listach opozycji, nawet z dalszych miejsc, wspierać ją dużo bardziej niż odpowiednicy z partii rządzącej.

Takich potencjalnych kandydatów opozycji jest przede wszystkim więcej. A jeśli nie wystartują tylko z jednej listy, będzie dla nich dodatkowa liczba pozycji do obsadzenia. Co prawda pojawiają się też pomysły zmiany ordynacji wyborczej na korzystniejszą dla obozu rządzącego, ale z nimi jest tak samo, jak z dywagacjami dotyczącymi terminu wyborów – dowodzą słabości obozu rządzącego. Powodem każdego z takich trików jest to, że władza ma poważny problem. Lecz zamiast próbować go rozwiązać poprzez zmianę strategii, próbuje zmienić reguły. Tworzy się w ten sposób wir – im bardziej rządzący wciągani są w swoje własne problemy, tym mniej uwagi poświęcają na rozwiązywanie kłopotów współobywateli. Zwiększa się przez to szansa, że Polacy odeślą ich do ław opozycji, żeby oddać swoje sprawy w ręce tych, którzy nie zajmują się wyłącznie sobą (inna rzecz, że pokusa zajmowania się głównie swoimi problemami nie jest też obca opozycji).

Obóz rządzący pokonał w ostatnich tygodniach kilka wiraży, ale nic nie wskazuje na to, żeby te manewry oznaczały wyjście na prostą. Co więcej, po każdym z tych ostrych zakrętów cały pojazd jest coraz bardziej rozklekotany i niesterowny. Nie musi się oczywiście od razu rozpaść, ale widać, że nikt nie ma pomysłu na to, jak – i czy w ogóle – go naprawić. ©

Bobrodzieje

ADAM ROBIŃSKI

Pocztówka z Polski? Proszę bardzo: chopinowska wierzba na miedzy, bocian w trawie i żeremie jak chałupa.

Brązowy zad wystawał spomiędzy dwóch kęp gęstej trawy. Nieruchomo, więc łatwo byłoby go wziąć za kamień, którym właścicielka domu ozdobiła oczko wodne w ogródku. Ale to właśnie ona zdecydowanym gestem wskazała na ów gąszcz. Szeptem wyjaśniła, że bóbr pojawił się u niej dwa dni wcześniej i w tym czasie podciął dwa egzotyczne drzewka. Ciąg zdarzeń był typowy: policja przekierowała ją do straży miejskiej, a ta do jednej z organizacji zajmujących się ratowaniem zwierząt. Ostatnie przekazanie pałeczki w tej sztafecie dotyczyło już wąskiej specjalizacji Stowarzyszenia Nasz Bóbr.

Staliśmy we trzech z podbierakiem nad schowanym w trawie gryzoniem i kombinowaliśmy, jak rozegrać tę partię. Dobry wist sprawiłby, że raz, dwa będzie po sprawie. Zły – że będziemy go łowić do późnej nocy. Wypłoszony bóbr zawsze próbuje uciec pod powierzchnię. Kiedy więc jeden z nas zaczął szeleścić trawą i wydawać z siebie serię nieartykułowanych dźwięków, podbierak czekał już na jedynej drodze ewakuacji. Sukces: wybudzone cielsko wytarabaniło się z gąszczu i chwilę później wisiało bezwładnie w siatce.

Wsadziliśmy go do klatki. Dużej i – zdawałoby się – solidnej, ale wściekłość uwięzionego zwierzęcia była tak duża, że musieliśmy jej pręty dla pewności parę razy obwiązać liną wspinaczkową. Dopiero tak zabezpieczony pakunek nadawał się do transportu. Droga była krótka, a miejsce, w którym planowaliśmy zwrócić gryzoniowi wolność, dobrze nam znane. Parokilometrowy dystans wystarczył, by zwierzę się uspokoiło. Można było klęknąć i na czworakach spojrzeć mu w oczy. Powiedzieć parę kojących słów, których i tak nie mogło zrozumieć. Życzyć spokoju na nowej drodze życia.

Kiedy już nad stawem otworzyliśmy klatkę, początkowo tego nie zauważył. Obrócony ogonem do wyjścia tylko się rozglądał, jakby obwąchiwał nowe otoczenie. A potem się zorientował, że partia się skończyła, i czmychnął w czarną toń. Wtedy dopiero zaczęliśmy się zastanawiać: czmychnął czy może czmychnęła? Łacina bywa przydatna, bo można powiedzieć po prostu on, *Castor fiber*, i nie martwić się już resztą. A więc bywaj, bobrze!

Sztućce z Ikei

Nie mamy pojęcia, ile bobrów żyje dziś w Polsce. Owszem, lubimy zgadywać. „100 tysięcy! 200! Bzdura, nie więcej niż 80”. 142 500 – wklepał z kamienną twarzą do rocznika za ubiegły rok skrupulatny pracownik Głównego Urzędu Statystycznego, bo tak mu wyszło z Excela. Tymczasem to wszystko bujdy na resorach. Skąd mamy wiedzieć, ile ich jest, skoro ich nie liczymy? Wzięliśmy starą liczbę, taką sprzed dwóch dekad i też tylko szacunkową, bo określoną na podstawie prowadzonych w nadleśnictwach i kołach łowieckich ankiet, a potem nanieśliśmy ją na efektowną krzywą wzrostu. I teraz hulaj dusza.

„Bobry mnożą się na potęgę”, może pisać lokalna prasa, gdy jakiś rolnik spostrzeże gryzonia w sąsiedztwie swojej uprawy. W jutrzejszym wydaniu namnożą się wilki, jelenie albo łosie. My, 38 milionów wstrzemięźliwych istot i one, niepohamowane w chuci zwierzęta zjadające Polskę.

Nie mamy więc pojęcia, ile bobrów przyznaje się do polskiego paszportu, bo też nie da się tego policzyć. Zaangażowani w sprawę bobrową przyrodnicy przez kilka dekad toczyli spory, ile zwierząt liczy przeciętna rodzina gryzoni. Kłócili się tak naprawdę o pierwszą liczbę po przecinku. Prof. Andrzej Bereszyński, poznański zoolog uczestniczący swego czasu w przesiedlaniu bobrów na terenie Wielkopolski, opowiadał podczas wykładów o sztućcach z Ikei, gdzie na komplet składają się cztery łyżki, widelce i noże. Bobrów w typowym gnieździe jest więc tyle, co członków szwedzkiej rodziny, brzmiała poprawna odpowiedź na egzaminie. Bo nawet jeśli w danym roku urodzi się ich więcej, to dorosłości dożyją nieliczne.

Typowy bobrzy dom to mama, tata, noworodek i potomek z rokiem na karku. Ten starszy, dwuletni, zwykle idzie już na swoje. Szuka partnera lub partnerki i nowego domu. Ktoś mógłby powiedzieć: skoro tak, to liczmy żeremia! Sumujmy nory! A potem pomnożmy to wszystko przez cztery i cieszmy się jeszcze jedną liczbą w roczniku statystycznym. Sęk w tym, że nory bywają puste, ale i niewidzialne. Żeremia – opuszczone. Są też rodziny, które mają po kilka domów. Rachunek wykolei się już w pierwszym powiecie.

Tak naprawdę liczba polskich bobrów nie jest nam do niczego potrzebna. Ważniejsza jest świadomość, że są wszędzie tam, gdzie znajdą wodę i pożywienie. Można je spotkać na bałtyckich plażach i pod samiusieńkimi Taterkami. To ostatnie to, jak przekonują zoolodzwy, mimo wszystko fenomen. W literaturze bobroznawczej jak wół stoi, że Tatry i Karkonosze to dla bobra jednak za wysoko. Osobnik znad Morskiego Oka, który wbrew wszelkiej logice postanowił tam w minionych miesiącach przezimować, i na dodatek dotrwał wiosny, najwyraźniej o tym nie słyszał (13 maja znaleziono go martwego pod Szpiglasową Przełęczą, skąd najprawdopodobniej spadł).

Ale ta wszechobecność bobra nie jest niczym szczególnym. To gatunek rodzimy, świetnie przystosowany do życia w strefie klimatów umiarkowanych, lubujący się w dwóch setkach lokalnych gatunków roślin. Dziwne więc nie jest to, że spotkać go można na Ostrowie Tumskim w Poznaniu czy w Wiśle nieopodal Stadionu Narodowego albo przy ruchliwej Dolinie Służewieckiej w Warszawie, ale raczej to, że tak bardzo nas to zaskakuje. Amerykańska geolożka Ellen Wohl nazywa to dziedzictwem nieobecności – wielopokoleniową amnezją. Bóbrpospolita Polska budzi szok i niedowierzanie, bo przez wiele lat – dla skrupulatnych napiszmy: mniej więcej dwa stulecia – nie istniała. Bóbr był gatunkiem występującym na rycinach i w przyrodniczych atlasach, a tylko sporadycznie w krajobrazie.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Bobry nad stawem w pobliżu Warty, 2013 r.

Ofiara Jagienki

Biografia polskiej populacji tego gryzonia to dobrze nam znana opowieść o znikaniu i powrocie. O zmartwychwstaniu. Opowiadamy ją sobie od zarania w przeróżnych konfiguracjach, bo najwyraźniej dobrze nam robi. Kończy się przecież czymś na kształt happy endu. Albo chociaż nowym rozdaniem, w którym przeszłość nie jest tak istotna jak to, co zrobimy z teraźniejszością.

Bóbr do XIX wieku zniknął z niemal całej Europy, bo był wszechstronnym surowcem, a każdy cal jego fizyczności do czegoś się nadawał. Ciepłe futro o świetnych właściwościach wodoodpornych, ostre zęby doskonałe przy konstruowaniu narzędzi, rezerwuar białka, sadło i to intrygujące kastoreum – zgromadzona w przyodbytniczych workach wydzielina, której przypisywano całe spektrum właściwości leczniczych.

To właśnie dla kastoreum, zwanego też „bobrowym strojem", Sienkiewiczowska Jagienka ustrzeliła bobra na oczach rozanielonego Zbyszka, tak sprawnie, że potem bardziej przejmował się wdziękami koleżanki niż rannym wujem. Żeby tuż po II wojnie światowej zrekonstruować tę scenę na potrzeby filmowej adaptacji „Krzyżaków", Aleksander Ford musiał zaciągnąć cały plan do gdańskiej Oliwy. Tylko w tamtejszym rezerwacie dało się w komfortowych warunkach sfilmować żywe zwierzę.

Presja – najpierw typowo łowiecka, później również siedliskowa – sprawiła, że w XX wiek weszliśmy z lichą populacją niedobitków, które żyły już tylko w dobrach Radziwiłłów nad Niemnem. To było parędziesiąt rodzin w kilku rezerwatach. Gustaw August Dehnel, wybitny przyrodnik, przyglądał się im i inwentaryzował aż do ostatnich dni sierpnia 1939 r. A potem przyszła wojna i ostatnie polskie bobry przestały być polskie. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie o historyczną ciągłość populacji w granicach Polski. Być może gdzieś na Suwalszczyźnie, w jakimś nadgranicznym uroczysku, z dala od ludzkich spojrzeń, które w latach 40. nakierowane były na zupełnie inne zjawiska i zdarzenia, gospodarowała niewidzialna rodzina bobrów, przenosząc gatunek na drugą stronę wojennej zawieruchy. Nie mamy na to żadnych dowodów.

Wiemy za to, że bobry zaczęły pojawiać się już po wojnie na Czarnej Hańczy i Marysze, transgranicznych rzekach, będących pomostem między dorzeczem Niemna a współczesną Polską. Migrowały samoistnie, nic sobie nie robiąc z geopolitycznych przetasowań. Bobruczek, Wołkuszanka, Klonek – kilka z pozoru anonimowych toponimów, które pisząc o bobrach trzeba by wyróżnić wersalikami i jeszcze podkreślić, jakby to były stolice państw. To w tych podsuwalskich ciekach i jeziorkach pierwszy raz obserwowano dzikie bobry w powojennej Polsce. Było też kilka stanowisk przez człowieka wyreżyserowanych.

W ramach odtwarzania populacji rodzimych gatunków kilka rodzin ściągnięto z radzieckiego Woroneża. Wypuszczono je do Biebrzy i – po tym jak nie poradziło sobie z nimi warszawskie zoo – do Doliny Radości we wspomnianych już Lasach Oliwskich. Przy odrobinie szczęścia gryzonie można było też spotkać na warmińskiej Pasłęce. ↦

↦ Do dziś nie wiemy jednak, czy były to bobry europejskie, czy też może bliźniaczy gatunek bobra kanadyjskiego, którego przedstawiciele w czasie powodzi uciekli z jednego z pruskich majątków.

Startup z PRL

Raczkująca wysypka – tak można opisać kształt i rozmiar polskiej populacji *Castor fiber* u progu drugiej połowy XX wieku. Wtedy, gdy do pracy biorą się Wirgiliusz Żurowski i jego współpracownicy ze stacji terenowej PAN w Popielnie na Mazurach. Wizja jest odziedziczona, bo wykiełkowała w głowie przedwcześnie zmarłego mentora Żurowskiego, Mieczysława Czai. Chodzi o coś, co z dzisiejszej perspektywy brzmi wstydliwie – żeby na bobrowym futrze zbić interes. Według jednego z pomysłów, czapki z polskich gryzoni można by sprzedawać straży brytyjskiej królowej, która na głowach nosi kanadyjskie baribale.

Ale Polska Rzeczpospolita Ludowa nie jest wylęgarnią startupów. Opisy pierwszych lat funkcjonowania fermy hodowlanej nad Śniardwami wyglądają na wyjęte z filmów Barei. Naukowcy nie mają dostępu do prądu i bieżącej wody, piszą przy świecach, a ich środkiem transportu jest jedna bryczka. Kilka razy dziennie trzeba zwierzęta ładować do miski, bo tylko w wodzie potrafią się wypróżnić. I wcale nie planują się rozmnażać, co dla placówki nastawionej na rozród brzmi jak wyrok. Wybitni fotograficy, którzy przyjeżdżają do Popielna z misją uwiecznienia bobrów, muszą więc wkładać wypchane zwierzęta do akwarium w pobliskim Rucianem-Nidzie, albo robić zdjęcia na wpół oswojonym zwierzętom w koleinach po traktorach.

Żurowski zbiera doświadczenie powoli, ale go nie trwoni. Parokrotnie przebudowuje fermę i z czasem osiąga rezultaty więcej niż zadowalające. Na początku noworodki można policzyć na palcach jednej ręki. W szóstym roku hodowla się rozkręca, a średnia młodych na miot sięga trzech. W 1971 r., rekordowym dla popielniańskiej placówki, rodzi się aż 30 bobrów, średnio prawie cztery i pół z jednej ciąży. Czterokrotnie zdarzają się sześcioraczki, co jest wynikiem w naturze niespotykanym.

Ale biznesplan Żurowskiego ma kilka mankamentów. Podstawowy brzmi: bóbr jest gatunkiem chronionym i nie wygląda na to, żeby to się miało prędko zmienić. Zootechnik Piotr Topiński, jeden z pracowników Popielna, nie boi się dziś nazwać rzeczy po imieniu. Szczytny cel, a więc reintrodukcja rodzimego dla Polski gatunku, bierze się z przypadku. Bobry się rozmnażają, w stacji PAN zaczyna brakować dla nich miejsca, więc kolejne osobniki są po prostu wypuszczane do mazurskich jezior. Obudowa ideologiczna – program aktywnej ochrony bobra europejskiego – być może nigdy nie została spisana i krąży tylko wśród współpracowników Żurowskiego jako ustne usprawiedliwienie. Tak czy inaczej, 30 lat po śmierci profesora nie da się jej już wytropić.

Ale co innego wypuszczać hodowlane zwierzęta do paru jezior, co innego zabobrzać Polskę. Kiedy na początku lat 70. Żurowski odbiera telefon z Maćkowej Rudy na Suwalszczyźnie, nie spodziewa się jeszcze, że biznesowy niewypał wkrótce przekuje w spektakularny sukces naukowo-przyrodniczy. Głos w słuchawce to Włodzimierz Łapiński, leśnik i fotograf, dawny znajomy z koła łowieckiego. Żurowski słyszy, że Puszcza Augustowska przeżywa inwazję bobrów zza wschodniej granicy, a każda dziura z wodą jest domem dla rodziny gryzoni. Dalej wydarzenia toczą się w tempie ekspresowym: Popielno daje *know-how* pracy z tymi zwierzętami, a suwalski oddział Polskiego Związku Łowieckiego środki i zaplecze logistyczne. W kolejnych dwóch dekadach z Suwalszczyzny wypływają tysiące bobrów, które są łapane i rozwożone w całe dorzecze Wisły. Z czasem do gry włącza się uznany poznański zoolog prof. Ryszard Graczyk, który zabobrza dorzecze Odry. Po latach Łapiński, który jako fotograf pracował w każdym polskim kompleksie leśnym, może z czystym sumieniem powiedzieć, że bobry są wszędzie. Nawet jeśli Lasy Państwowe, jego macierzysta firma, czasem twierdzą inaczej.

Teraz Polska

Ale Łapiński ma w zanadrzu jeszcze jedno cenne świadectwo. Przywołuje słowa Żurowskiego, który był przekonany, że odradzająca się polska populacja bobra pochodzi w linii prostej od tych parudziesięciu

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 483/20 toczy się postępowanie z wniosku Józefa Syrka o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jego rzecz własności działki ewid. nr 1988 o pow. 0,60 ha, położonej w Uściu Solnym gm. Szczurowa, powstałej z parcel gruntowych: 2979/1 i 2979/3.
Parcela grt. 2979/1 objęta jest lwh 881 gm. kat. Uście Solne, w którym jako właścicielka ujawniona jest Teresa Gadowska (wpis z 1911 r.).
Parcela grt. 2979/3 objęta jest lwh 882 gm. kat. Uście Solne, w którym jako właściciele ujawnieni są: Antoni Gadowski, Teresa Gadowska, Ludwik Gadowski, Maria z Wróblów Gadowska, Stanisław Gadowski, Franciszek Gadowski (wpisy z lat 1903-1930).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu, pod sygn. akt I Ns 543/20 toczy się postępowanie z wniosku Getin Noble Bank S.A. w Warszawie z udziałem Agnieszki Paczkowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Walerianie Paczkowskim, s. Justyna i Jadwigi, zmarłym 19 stycznia 2016 r. w Tarnobrzegu.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 680/21 toczy się postępowanie z wniosku Anny Baran o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Jarek, zmarłej 17 kwietnia 2012 r., ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców Stanisławy Jarek zd. Kawka, c. Franciszka i Józefy, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku po Stanisławie Jarek, pod rygorem ich pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

zwierząt znad Niemna, gdzie przetrwały co najmniej od średniowiecza. Dowodem tej ciągłości miał być kolor futra. Radziwiłłowie szczególnie cenili bobry czarne. Szacowali, że jest ich ok. 40 proc. w całej populacji. Według Żurowskiego właśnie w takim stanie gatunek przetrwał do dziś – niemal co drugi polski bóbr ma czarne futro. To ubarwienie to również coś na kształt logotypu „Teraz Polska!".

W latach 90. do Popielna zaczęli przyjeżdżać przyrodnicy z całej Europy. Kupowali polskie bobry, by zasiedlać nimi potoki w Wielkiej Brytanii, w Niemczech czy na Słowacji. Można więc zażartować, że na widok umaszczonego na czarno bobra gdzieś na północ od szkockiego Inverness trzeba prędko duszą utęsknioną wracać do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych.

„Do bobrów mam stosunek ambiwalentny. Obsadziłem staw wierzbą, a one przyszły i ją zjadły" – pisze ktoś w komentarzu pod artykułem. „Przez nie ucierpiał Liwiec, urocza mazowiecka rzeka" – mówi pani po spotkaniu autorskim. „Zabić szkodnika" – gotuje się internetowy troll, chyba tylko po to, żeby zasiać ferment. Tymczasem to tak, jakby utyskiwać na lipcową ulewę, marcowe roztopy albo dąb, który sypie żołędziami na chodnik. Bóbr jest tu u siebie, tak samo jak my i jak szereg innych zjawisk typowych dla tej części Europy. Bobrowa tama, rozlewisko, miękka jak gąbka gleba w jego sąsiedztwie i wierzbowy gąszcz, którym obrasta woda, to naturalny obraz każdego cieku na tej szerokości geograficznej. To nie bóbr jest aberracją, lecz jego kilkusetletni brak w nadwiślańskim krajobrazie. Pocztówka z Polski? Proszę bardzo: chopinowska wierzba na miedzy, bocian w trawie i żeremie jak chałupa.

„Bobry mnożą się na potęgę", pisze lokalna prasa. **W jutrzejszym wydaniu namnożą się wilki, jelenie albo łosie.** My, 38 milionów wstrzemięźliwych istot i one, niepohamowane w chuci, zjadające Polskę.

Dopiero kiedy uświadomimy sobie oczywistą prawdę, możemy przewrócić kolejną kartkę tej opowieści. Zacząć czytać drugi rozdział. Ten zatytułowany „Budowniczy i inżynier". Pochylić się nad wpływem, jaki niepozorny gryzoń – krewny chomika i świnki morskiej – ma na środowisko. Uznać, że wiele rzeczy, które robimy dziś sami – jak ogławianie drzew czy tamowanie rzek – to czynności podpatrzone u czworonoga. Cytować naukowe prace o bogactwie ekotonów – krajobrazów granicznych, łączących życie lądu i wody. Pisać o filtrowaniu wody i jej bezpłatnej retencji. O rybach, płazach, ptakach i ssakach, które lgną do bobrowych zapór, i o bezpieczeństwie powodziowym – tak, bezpieczeństwie! – które wiąże się z sąsiedztwem bobrowych siedlisk. Rozmawiać o ekonomicznych kosztach współistnienia z bobrami, o odszkodowaniach – a może i dotacjach – dla rolników oraz rozwiązaniach technologicznych czyniących to sąsiedztwo nieinwazyjnym. Możemy wreszcie rozmyślać o pięknie bobrowych stawów widzianych z lotu drona, bo z tej perspektywy wyglądają jak niezbadane jeszcze egzoplanety. I o kunszcie zgryzień godnych najsłynniejszych galerii rzeźbiarskich.

Na to wszystko jest oczywiście miejsce w opowieści o bobrze. Ale najpierw trzeba zrobić pierwszy krok. To musi być, na dodatek, krok wstecz. Taki, który wiąże się z ustąpieniem pola. Uznaniem prawa zwierzęcia do życia i realizowania swoich podstawowych życiowych czynności. Odstąpieniem mu przestrzeni. Tej, którą zajęliśmy, gdy kilkaset lat temu – za naszą sprawą – zniknął.

Bóbr wcale nie dokonał inwazji na Polskę. On tu był przed nami i teraz wrócił na swoje. Lubimy wzniosłe symbole, żeby więc było nam łatwiej się z tym pogodzić, możemy przystroić to zwierzę w czerwień i biel. Bielik w herbie, Wisła i Warta w hymnie, żubr w puszczy i bóbr na progu. © ADAM ROBIŃSKI

Autor opublikował właśnie w wydawnictwie Czarne książkę reporterską „Pałace na wodzie. Tropem polskich bobrów".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

Nasi Autorzy na festiwalu GRANATOWE GÓRY

W dniach **3-5 CZERWCA** zapraszamy na **festiwal Słowa im. Jerzego Pilcha Granatowe Góry** do Wisły. W bogatym programie literackim i artystycznym także nasi Autorzy:

- w piątek **3 CZERWCA** o godz. **15.00** spotkanie z **WOJCIECHEM JAGIELSKIM** „Zapalne strony świata"
- w sobotę **4 CZERWCA** o godz. **10.30** spotkanie „Pilch na łamach" z udziałem **PIOTRA MUCHARSKIEGO**, redaktora naczelnego „TP"

FOT. GRAŻYNA MAKARA X2

PEŁNY PROGRAM FESTIWALU NA **GRANATOWEGORY.PL** Zapraszamy do Wisły!

STRONA ŚWIATA:
podkast Wojciecha Jagielskiego

Co dwa tygodnie Wojciech Jagielski – pisarz, były korespondent wojenny, specjalista od spraw Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej, jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów – w rozmowie z **Krzysztofem Storym** opowiada o najciekawszych wydarzeniach na świecie.

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast** oraz na

Wspieraj na:

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ALBERT ZAWADA DLA „TP"

Literatura latynoamerykańska jest kobietą

LEKCJE CZYTANIA Z INSTYTUTEM CERVANTESA

Zapraszamy na spotkanie poświęcone powieści **„Czas huraganów" FERNANDY MELCHOR**.
Lekcję poprowadzi dziennikarka i reporterka **Aleksandra Lipczak**.

Spotkanie odbędzie się online we **wtorek 31 maja** o **godz. 12.00** na profilu **/ LekcjeCzytania**.

Współorganizatorami wydarzenia są Fundacja Tygodnika Powszechnego i Instytut Cervantesa w Krakowie.

MARCIN WICHA DLA „TP"

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Instituto Cervantes Cracovia

fanipay

CONRADFESTIVAL

Natura przyszłości
cykl rozmów Grzegorza Jankowicza

O kontrolowaniu natury. Spotkanie z ELIZABETH KOLBERT

- Jak zneutralizować skutki rozległych ingerencji człowieka w środowisko?
- Kto powinien decydować o realizacji takich projektów?
- Jak połączyć dwie perspektywy: naukową i polityczną?
- Jaki będzie koszt nowych rozwiązań?
- Czy będą one skuteczne?

FOT. BARRY GOLDSTEIN

transmisja: **czwartek | 26.05 | 19:00 | /TygodnikPowszechny**

dofinansowanie

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

partner strategiczny

allegro

DOROTA

Masłowska:
Dzieci

„Wojna!" – krzyknął chłopiec głosem małej antylopki, która, gdy zostaje sama, udaje w lustrze, że jest lwem. Mimochodem – tak jakby krzyknęło mu się, krzyknęło coś nim, a ciało zaimprowizowało do tego jakiś niezborny gest potęgi. To była niebezpieczna, straszna, ekscytująca, fajna wojna, która mu się nagle uwidziała, wszyscy najpierw po równo naparzali się krepą, potem każdy zwyciężył, a na koniec razem szli do McDonaldsa na Happy Meal, dołączone były do niego małe roześmiane rakiety i mini-bomby. Ogarnęła mnie dziwność: wojna prawdziwa, upiorny konkret martwych i okaleczonych ciał, bombardowań, okopów, tobołów ciągniętych przez uchodźców, odbijająca się w umysłach dzieci. Ich iPhone'y pełne najkoszmarniejszych, niecenzurowanych przez nikogo obrazów wolnego dostępu, a jednocześnie idea wojny zaszczepiana w nich od maleńkości: czekające na nich pod choinką plastikowe karabiny (zabawka od lat trzech, grozi ryzyko połknięcia) i gry komputerowe, obietnica przygody i uzasadnionej, sprawiedliwej, niereglamentowanej przemocy. „Wojna!" – wykrzyknięta podminowanym falsecikiem uświadamia mi, że od dłuższej chwili otaczają mnie duże ilości dzieci. Oznakowane odblaskowymi chusteczkami lub kamizelkami, trzymając, jak topniejące pochodnie, lody, nacierają na starówkę. Nadciągają kolejne ich autokary. Otwierają się i ciągnąc za sobą chmurę charakterystycznego zapachu rozgrzanej tapicerki i wanilii samochodowej, wylewają się z nich kolejne fale wycieczkowiczów.

Jest już za późno, by uciekać, dzieci odcinają mi drogę. Wszędzie wokół ich chaotyczne, żywotne rozlewiska, bezustannie przeliczane i sortowane przez nauczycielki. To defaultowo zdenerwowane kobiety w pastelowych polarach, wygodnych butach, plecakach z Decathlonu – same upodobnione już do dużych, strapionych dziewczynek. Tylko ich niezdyscyplinowane botoksem czoła żyją swoim życiem, schodzą się i rozchodzą jak akordeony, skupione, czujne, w tym ciągłym sprawdzaniu, przeliczaniu, monitorowaniu. To nie są niezmartwione twarze bezdzietnych, niepotrzebujących do niczego mimiki kobiet, gładkie jak tafle jezior w bezwietrzny dzień. To twarze, które ciągłe napięcie ścisnęło w zatroskane pięści. Zaciskają się na wszystkim, na co patrzą; przystosowane do życia w zamęcie, w wywoływanym przez dzieci huraganie, trzymają twarzami rzeczywistość. Głosy mają na stałe napięte, ostrzegawczo podniesione; ich ręce ciągle pracują, machają, poprawiają, przestawiają, wyciągają spod rowerów i hulajnóg.

Lody. Sklepiki i straganiki z tałatajstwem. Pamiątki. Magnesy. Kolumny Zygmunta. Syrenki. Każde dziecko ściska już pod pachą jakiś okropny przedmiot. Szpetne, tandetne, niedorzeczne rzeczy, fragmenty zbroi, flagi, karabiny, korony królów nie budzą jednak jakiegokolwiek zainteresowania czy przywiązania. Po nabyciu momentalnie zaczynają zalegać, ciążyć właścicielowi, ujawniając swoją bezsensowną naturę, podczas gdy znużone dzieci pilnie wodzą już palcami po ekranach smartfonów. Wiadomo, że byłoby wspaniale, gdyby czytały teraz dla odpoczynku od wrażeń Encyklopedię PWN, lecz skoro zajęły się czymkolwiek i na chwilę przestały się przemieszczać i wchodzić ze sobą w reakcje, dobre i to. Nauczycielki korzystają z chwili spokoju i same dają upragnionego nura w swoje smartfony. Ta nagła zbiorowa introwersja, przeniesienie się do przestrzeni wirtualnej, jest dla wszystkich chwilą ulgi, odzyskaniem intymności, regeneracją sił u wodopoju internetu. Ciała jakby porzucone, odłożone na ławkach, zdają się czekać na powrót swoich właścicieli.

Tylko jeden chłopiec pilnie gania ptaki. To prawdziwa, niemająca celu i niemogąca zakończyć się sukcesem, fizyczna zabawa: jej przedmiotem jest niełapalność gołębi. Nie żałując czasu ani kalorii, chłopiec pędzi za nimi w te i we wte („chodź tu, gołąb!"), radośnie wymachując swoimi szczenięco przydługimi, fajtłapowatymi kończynami. Ale już zauważa go nauczycielka, uniwersalnym głosem do krzyczenia „Nie biegaj!" tłumaczy mu, że gołąb zaraz zrobi mu na głowie w odwecie przykrą niespodziankę. Dzieci podnoszą znad ekranów główki. Tak biegłe w obsłudze elektroniki, tak oswojone z widokiem czołgów i zwłok, a stosunkowo nietrudno sprawić, by uwierzyły w niezwykłą mściwość i zdolność defekacji celowanej u gołębi. „Gołąb nasra na ciebie, nasra na ciebie!" – krzyczą wszyscy, ta potencjalność obciąża nieszczęśnika prawie jakby już to się zdarzyło, w związku z czym nauczycielka robi minę „a nie mówiłam? doigrałeś się!". Zabawa zostaje przerwana. „Brooklyn", „Autentic", „Paris", „Today" – obwieszczają bluzy znieruchomiałych na powrót z telefonami dzieci.

Takie jasne mają twarze, takie żywe, niesmutne jeszcze oczy, takie nieufarbowane włosy. Takie przez kogoś kochane, wyposażone, obwieszone tymi plecaczkami, saszetkami, wysmarowane kremami przeciwsłonecznymi, zadaszone daszkami. Patrzę, jak niosą do autokarów to swoje badziewie, te swoje chopiny, precle, pałace kultury i syrenki – wstrętne rzeczy, które będą ciągać się za nimi po mieszkaniu jeszcze całe dziesięciolecia, przypominając o wycieczce do Warszawy. I odjeżdżają z nimi do swoich miast, do swoich żyć, do swoich przyszłości, do prawdziwych, niefajnych, nieznanych jeszcze wojen. ©

WIARA

BÓL ŚWIATA

Kościół istnieje, by głosić Boga, który objawił się w Jezusie Chrystusie. To jedyna realna racja jego istnienia. Gdzie zanika misja, pojawia się stan śmierci.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

To było przesympatyczne spotkanie ponad podziałami. Usiedliśmy do kolacji – po jednej stronie lewicowy, raczej niewierzący intelektualista, po drugiej ja. Rozmawialiśmy o podróżach, by potem, ostrożnie, przejść na tematy kościelne. Diagnozowaliśmy kryzys, on dopytywał o moje oceny, a ja kreśliłem obraz „końca Kościoła, jaki znacie", głębokiego kryzysu wiarygodności, który powinien doprowadzić do uformowania się nowego kształtu katolickich instytucji, nowego rozumienia kapłaństwa, głębszego dostrzegania zakamuflowanej przemocy wewnątrz niektórych instytucji czy nawet form duchowości chrześcijańskiej. On słuchał, czasem coś dorzucał, czasem się spierał. A kiedy miał już

wezwać taksówkę, zadał mi pytanie, które sprawiło, że ostatecznie odjechał kilka godzin później: – Tomek, a w zasadzie, skoro to wszystko wiesz, skoro tak surowo diagnozujesz rzeczywistość, to czemu jesteś w Kościele?

Tak sformułowane pytanie słyszałem wielokrotnie. Ktoś zadał je złośliwie w mediach społecznościowych, by dowodzić, że w zasadzie jestem już poza Kościołem, ktoś inny z sympatią, by zasugerować, że właściwie Kościół nie jest mi do niczego potrzebny, że mogę przecież szukać gdzie indziej. Nigdy jednak nie wstrząsnęło mną tak mocno, jak tamtej nocy. Stanęło przede mną z całą oczywistością – i z całą mocą ukazała się odpowiedź.

Byłem już wtedy poobijany przez instytucję, a i sam poobijałem wielokrotnie innych, co powoli zaczynałem sobie uświadamiać. Już wiedziałem, że w części diecezji istnieje nieformalny, ale doskonale działający zakaz zapraszania mnie do parafii, że na książki moje i mojej żony w niektórych księgarniach katolickich założony jest szlaban. Już przerobiłem na własnej skórze listy zatroskanych o moje zbawienie księży i świeckich, nawet zerwane z powodu zaangażowania na rzecz pokrzywdzonych przyjaźnie, a także rozmaite formy przemocy – wobec mnie wyłącznie duchowej. Już poznałem osoby skrzywdzone nie tylko przez wykorzystanie seksualne przez księży, ale także przez niewiarę i odrzucenie kościelnych przełożonych. Od wielu lat nie byłem już związany zawodowo z katolickimi instytucjami, i choć Kościół był i jest moim domem, nie był moim miejscem pracy. Świetnie mógłbym sobie poradzić bez niego, gdyby nie jeden, ale za to zasadniczy fakt: to, że w nim i przez niego spotkałem w Jezusie Chrystusie żywego Boga. To był i jest jedyny powód, dla którego jestem w Kościele. Innego nie ma.

Na początku był Sens

Zabrzmi to jak herezja albo zuchwalstwo, ale od tamtego momentu mam głębokie przekonanie, że Kościół – z całą jego doczesną potęgą, z pięknem jego tradycji, ale i z ciężarem przeszłości, błędów, upadków, zaniedbań – istnieje wyłącznie po to, by stawać się przestrzenią, w której spotkać można żywego Boga. Nie prawdy wiary, nie dogmaty, nie instytucje, nie nauczanie i wychowanie, ale właśnie spotkanie z żywym Bogiem leży u jego podstaw. Jeśli instytucja go nie umożliwia, nie prowadzi do niego i nie pozwala go doświadczyć – umiera, przestaje mieć znaczenie. Jest żywym trupem, *zombie*, który może wprawdzie nadal zachwycać czy wypełniać jakieś funkcje społeczne, ale nie spełnia już swojego zasadniczego

↦

PAWEŁ MURZYN / EAST NEWS

23. pielgrzymka „Sursum Corda" z Krzeptówek do Ludźmierza. Zakopane, 6 czerwca 2020 r.

↦ celu. Wyjaśnianie, uobecnianie, głoszenie Słowa Bożego, sprawowanie sakramentów, struktury nauczania i władzy – to wszystko nie jest celem samym w sobie, a jedynie przestrzenią, w jakiej owo spotkanie się dokonuje, ewangelizacja jest zaś drogą, która je umożliwia i do niego przygotowuje.

Czym jest owo przygotowanie? Część katolickich (ale także protestanckich) środowisk uznaje, że to przede wszystkim głoszenie kerygmatu, zupełnie podstawowych prawd wiary, oraz prowadzenie do ich wewnętrznego przeżycia i doświadczenia. To bardzo dobra droga, ale nie moja. Nigdy jej nie przeszedłem, nie znam jej, nie potrafię docenić. Mnie bliższe jest postrzeganie ewangelizacji jako opowieści o Bogu, ukazania Jego obecności w świecie – jako Logosu/Sensu, fundamentu naszego istnienia. Prolog Ewangelii św. Jana jest dla mnie tekstem absolutnie fundamentalnym, i to nie tylko z perspektywy filozoficznej, ale egzystencjalnej i ewangelizacyjnej.

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało" (J 1, 1-3) – to najgłębsza prawda o świecie. Z pewnej perspektywy wcale nie wyłącznie religijna. Świat jest – takim się jawi człowiekowi – przeniknięty rozumnością, sensem, matematyką, czyli właśnie Logosem. Język, jakim opowiada nam o świecie nauka, jest właśnie językiem matematyki, najgłębszej logiki istnienia świata. Aż trudno nie zadać pytania: czy za tym sensem nie stoi głębszy Sens? Pięć Tomaszowych dróg prowadzących do przekonania o istnieniu Boga można wprawdzie uznać za oparte na paradygmacie myślenia o świecie podważonym już przez współczesną fizykę, ale zawierają one w sobie głęboką intuicję, która pozwala przejść od doświadczenia sensu świata i przyrody do pytania o istnienie źródła tego sensu. Ks. prof. Michał Heller ukazuje ten wymiar myślenia filozoficznego we współczesnej fizyce.

Współczesność, i tego także trzeba być świadomym, jest jednak przeniknięta głębokim poczuciem bezsensu ludzkiego losu, pytaniami o cierpienie niewinnych, o niesprawiedliwość czy ból, wymieranie całych gatunków wpisane w ewolucję życia. Pytania Fiodora Dostojewskiego z „Braci Karamazow", wzmocnione jeszcze przez doświadczenia wieku XX, w tym wielki krzyk Eliego Wiesela, który z serca Auschwitz woła: „gdzie jest Bóg?", chwieją optymistycznymi założeniami Tomasza z Akwinu, wiarą w ostateczny sens świata, jednostkowego życia czy wreszcie istnienia miłującego Boga.

> Zbyt często głoszenie miłosierdzia Bożego, które jest bezwarunkowe, rozpoczynamy od wskazania warunków, pod jakimi Bóg odpuszcza grzechy. **Mnie się to zdarzało aż nadto często.**

Odpowiedź na te wątpliwości, na pytania wciąż powracające także w obliczu cierpienia ofiar z Buczy czy Irpienia, również wpisane są w proces ewangelizacji. Głoszenie Boga nie może pomijać najmocniejszych zarzutów wobec Niego. Musi się stawać swoistą „teodyceą" – nie w duchu Leibniza, ale Kierkegaarda, Dostojewskiego, Hansa Ursa von Balthasara, Jürgena Moltmanna czy teologów kenotycznych, którzy ograniczając głoszenie wszechmocy i wszechwiedzy Boga, skupiają uwagę na współcierpieniu, towarzyszeniu stworzeniu, byciu razem i „szaleńczej miłości" (by zacytować Paula Evdokimova) Boga do człowieka. Z drugiej zaś strony trudno nie sięgać do Josepha Ratzingera i jego debaty z Jürgenem Habermasem, gdzie późniejszy papież wskazuje, że jeśli Boga nie ma, jeśli nie istnieje życie wieczne, to ostatecznie nasze istnienie na ziemi jest absurdem i nie ma żadnej, nawet najbardziej podstawowej sprawiedliwości. Czy to dowód istnienia Boga? Nie, to jedynie wskazanie na źródło nadziei, na postulat sprawiedliwości. I przygotowanie pola do odpowiedzi, jakiej może udzielić jedynie Absolutnie Inny, Bóg.

Opowiedzieć o Jezusie

Te pytania – ostrożna, bardzo już kenotyczna teodycea – to jednak tylko wstęp do głoszenia Boga, który objawił się w Jezusie Chrystusie. To ono jest w centrum chrześcijaństwa, co doskonale pokazują Dzieje Apostolskie, gdzie w kolejnych kazaniach Piotra powraca podstawowa prawda, że w centrum głoszenia jest Chrystus. „Niech więc cały dom Izraela wie z niewzruszoną pewnością, że tego Jezusa, którego wyście ukrzyżowali, uczynił Bóg i Panem, i Mesjaszem" – głosi w swoim pierwszym słowie Apostoł. Właśnie w postaci Jezusa, takiej, jaką znamy z Ewangelii, ale i z Tradycji, Bóg objawił swoją naturę w pełni. Ewangelizacja jest więc – ponawianym wciąż w kolejnych pokoleniach – trudem odczytania, odkrycia, zrozumienia tej właśnie Osoby na nowo, w nowych terminach, w nowych obrazach, w nowych interpretacjach.

Gdy Romano Guardini, Joseph Ratzinger, Peter Seewald, Henri Daniel-Rops, Roman Brandstaetter czy Eugenio Zolli opowiadają nam na nowo losy Chrystusa, posługując się współczesnym językiem, ale także współczesnym postrzeganiem Jego Osoby, wiedzą biblistyczną oraz intuicjami, których wcześniej nie było, to w istocie ewangelizują nas na nowo. A gdy my opowiadamy o swoim spotkaniu z Jezusem, o tym, jak On wszedł w nasze życie, ale także jak objawił się nam w „łamaniu chleba" i „wyjaśnianiu Pism" – dokonujemy absolutnie podstawowej ewangelizacji.

Za mało w naszym kaznodziejstwie opowiadania o tym kluczowym spotkaniu. Ewangelie są pełne takich świadectw, opowiadanych z drastyczną niekiedy szczerością, ale my pucujemy je, poprawiamy, byle tylko nie dostrzegać, że tam, wtedy ludzie byli tak samo grzeszni, tak samo skłonni do niewiary i tak samo mieli trudność w dostrzeżeniu w ogrodniku czy stojącym w oddali człowieku Zmartwychwstałego. Tamta dramatyczna opowieść o rodzącej się wierze zostaje przesłonięta rzewnym przekonaniem o tym, że wtedy było inaczej, bardziej bajkowo, mniej tragicznie, a już na pewno bez właściwych ludziom emocji.

Za mało też chyba jest w naszym głoszeniu Jezusa spokojnego pogodzenia się z ludzką naturą, z jej grzesznością. Zbyt często głoszenie miłosierdzia Bożego rozpoczynamy (mnie się to zdarzało aż nadto często) od wyliczenia grzechów, jakie Bóg może odpuścić, i przypomnienia warunków, pod jakimi się to może wydarzyć. Gdy jednak Jezus usiadł nad Jeziorem Galilejskim obok zawstydzonego Piotra, ani słowem nie wspominał o jego grzechach, nie wypominał mu zaparcia się, nie nawoływał do nawrócenia, a jedynie zadał

proste pytanie: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?" (J 21, 15). Ani słowa napomnienia, jedynie pełne miłości pytanie skierowane do tego, który już wie, że tak miłować, jak tego chce Pan, nie potrafi, że nie jest zdolny oddać życia i że inaczej niż Jan (o którego zaraz po tej rozmowie się spyta) on się zaparł i uciekł.

W tym dialogu ukryta jest najgłębsza prawda o skutecznej ewangelizacji, o jej warunkach, o spotkaniu, które może odmieniać. Głosić Miłosiernego może tylko ten, kto doświadczył bezwarunkowego miłosierdzia, kto doświadczył własnej słabości, grzechu, upadku, a później absolutnie bezwarunkowego przebaczenia. To istota ewangelizacji i Dobrej Nowiny. Kto sam tego nie doświadczył, nie jest w stanie być autentycznym świadkiem Miłosiernego Pana, który nie wypomina nam przeszłości ani nawet teraźniejszości, ale daje nam czas na chodzenie z Nim i Jego śladami, niekiedy bardzo powolną drogą. To, że scena ta niemal kończy Ewangelię św. Jana, po lekturze której można od razu przejść do podręcznika ewangelizacji, czyli Dziejów Apostolskich, pozwala jeszcze lepiej zrozumieć, co stoi za świadectwem Piotra. On sam doświadczył przebaczenia, miłosierdzia, spotkania, i dlatego może je głosić z taką pasją i mocą.

Tego doświadczenia nie da się nikomu przekazać. To bardzo trudne dla rodziców, stających wobec wyborów swoich wychowanych po katolicku dzieci, które nie doświadczyły tego osobistego spotkania, nie zostały dotknięte przez pełne czułości Boże miłosierdzie, i ostatecznie porzuciły wiarę. I w tym przypadku warto uważnie wczytać się w ewangelizacyjną rozmowę, jaką jest dialog Jezusa i Piotra. „Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz..." – mówi Mistrz do Apostoła. Przestrzenią ewangelizacji nie jest chwila, dany moment, ale całe nasze życie. Nikt z nas nie wie, kiedy usłyszane i może nieprzyjęte Słowo odegra swoją rolę, kiedy wezwany rzeczywiście „pójdzie za Panem" i jak owo pójście się dokona. Robotnicy ostatniej godziny, ale także „anonimowi chrześcijanie" mogą wyprzedzić nas w drodze do Królestwa. Pokora to także jest element ewangelizacji.

Milczmy i słuchajmy

Od jakiegoś czasu wraca do mnie ze szczególną mocą obraz filozofowania Edmunda Husserla, który po roku 1905 zdecydował się na „redukcję fenomenologiczną", na wzięcie w nawias zarówno pytania o istnienie, jak też poznanie – i na rozpoczęcie szukania poznania niewątpliwego, pewnego. Mam świadomość, że – co doskonale pokazał Leszek Kołakowski – to poszukiwanie pewności mu się nie udało, ale wiem też, że otworzyło zupełnie nowe perspektywy dla filozofii. Dlatego sądzę, że potrzebujemy analogicznej „redukcji ewangelizacyjnej", wzięcia w nawias metod głoszenia, schematów duszpasterskich, a nawet części bardzo dobrze uzasadnionych odpowiedzi na pytania, które zawsze zadawano – i rozpoczęcia szukania zupełnie nowych form i metod. Porzucenia tego, co było, na rzecz czegoś, czego jeszcze do końca nie znamy.

Metodą takiej ewangelizacyjnej redukcji powinna zaś stać się adoracja, milczenie i słuchanie. Nie tylko słuchanie Chrystusa (choć ono zawsze pozostaje na modlitwie kluczowe), także słuchanie realnego bólu świata. Gdzie go szukać? Franciszek powie, że na peryferiach, ale równie dobrze słychać go w szkołach naszych dzieci, w naszych miejscach pracy, w czytanych książkach i oglądanych serialach. Wsłuchanie się w to, co tam jest, dostrzeżenie autentycznego szukania w tym, co czasem nas irytuje, jest jedyną możliwą drogą usłyszenia pytań, na które chcemy odpowiadać. Trzeba na moment zawiesić to wszystko, co wiemy, co uważamy, co uznajemy za pewniki. Dopiero gdy weźmiemy to w nawias – możemy zetknąć się nie tylko z „innym" w pełni jego osobowości, ale także usłyszeć pytania, jakie on przed nami stawia. Nie te wyobrażone, nie te przypisane mu, ale te, które próbuje sobie i być może nam zadać.

Adoracja, milcząca modlitwa słuchania, ostatecznie ma jednak nie tylko prowadzić do przemiany myślenia, ale przede wszystkim do zmiany patrzenia. Oglądanie świata oczyma Jezusa prowadzi zaś do uświadomienia sobie podstawowego celu ewangelizacji, który w niezwykle mocny sposób wyraził kiedyś założyciel Wspólnoty Emmanuel, Pierre Goursat. „Świat, który z zimna szczęka zębami, potrzebuje świadectwa miłości, żeby się ogrzać" – pisał. I ostatecznie to właśnie świadectwo miłości, zaangażowania, odczuwania oraz odpowiadania na ból i cierpienie świata jest głównym celem ewangelizacji.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

JUŻ W KSIĘGARNIACH

NOWA KSIĄŻKA O TORZE

O pierwszych pięciu księgach Biblii z prof. dr. hab. Marcinem Majewskim rozmawia Paweł Biedziak.

Książka wprowadza w świat Tory i jest adresowana do każdej osoby, która chce poznawać Biblię.

Vocatio

www.vocatio.com.pl

REKLAMA

Pieśni kłopotliwe

KAROL KLECZKA

Utwory André Gouzes'a od wielu lat kształtują wrażliwość liturgiczną w licznych kościołach. Co z nimi zrobić, jeśli okaże się, że ich twórca wykorzystywał seksualnie nieletniego?

W mroku pojawia się pierwszy płomyk świecy. Za nim kolejne, światło płynie z rąk do rąk przez całą nawę kościoła. Chór z mocą wyśpiewuje „Radosna światłości", a ja wiem, że już zaczyna się Wielkanoc i Chrystus znów pokona śmierć. Przy niejednej Eucharystii modlę się do melodii „Panie mój, nie jestem godzien", z pewnym wstydem podchodząc do ołtarza, gdzie kapłan rozdaje komunię. Gdy wychodzę z mszy, w uszach brzmi nadal „Wielki jest Pan", bo wiem, że sakramentalna bliskość Boga zmienia mnie jako człowieka. A „Mądrość stół zastawiła obficie"? To akurat śpiewaliśmy z żoną na naszym ślubie. Nie jestem odosobniony ze swoimi doświadczeniami. Utwory André Gouzes'a, popularnego dominikańskiego kompozytora, to kamienie milowe w posoborowej reformie liturgii.

6 maja dziennik „La Croix" poinformował, że francuska prokuratura zamierza wszcząć śledztwo w sprawie Gouzes'a, który został oskarżony o gwałt. Miał się go dopuścić kilkanaście lat temu, a oskarżenie wniosła matka pokrzywdzonego – obecnie już dorosłego mężczyzny. Jak się okazuje, doniesienie złożyli jesienią zeszłego roku również sami francuscy dominikanie. Zgłoszenie wiązało się z innymi, potwierdzonymi sprawami z prowincji tuluskiej, a sprawa Gouzes'a – w momencie zawiadomienia jeszcze niepotwierdzona – stanowiła element większego procesu oczyszczenia trwającego wśród francuskich zakonników. Biorąc pod uwagę status i popularność dominikańskiego kompozytora, znalazła swoje reperkusje również w Polsce.

Nie śpiewajmy!

Fundacja Dominikański Ośrodek Liturgiczny (DOL) 11 maja opublikowała oświadczenie, w którym zaleca, aby do zapadnięcia wyroku nie wykonywać tych kompozycji. „Doceniamy zasługi o. André Gouzes'a w reformie muzyki liturgicznej, która miała wpływ także na nasze środowisko, ale równocześnie nie możemy przejść obojętnie wobec charakteru zarzutów postawionych naszemu współbratu. Naszą modlitwą obejmujemy poszkodowanego i jego rodzinę" – czytamy w oświadczeniu.

– O rozpoczęciu postępowania przez francuską prokuraturę dowiedziałem się w dniu publikacji w „La Croix" z korespondencji otrzymanej z podkomisji muzycznej w komisji liturgicznej zakonu, której jestem członkiem – mówi o. Łukasz Miśko OP, prezes Fundacji DOL. – Czułem się zobowiązany, by w jakiś sposób odnieść się do tej informacji i pomóc wspólnotom korzystającym na co dzień z dominikańskiej muzyki czy śpiewnika „Niepojęta Trójco" zawierającego pieśni Gouzes'a, zmierzyć się z pytaniami, jakie z pewnością w tym kontekście by się pojawiły: o autentyczną wartość muzyki naszego współbrata i jej miejsce w liturgii w świetle tak poważnych oskarżeń.

O. Miśko podkreśla, że „Gouzes to legenda". – Mnie osobiście jest teraz niezwykle ciężko i trudno w tej sytuacji, bo jestem w zakonie dzięki tej muzyce. Przez nią odkryłem dominikanów – wyznaje. – Dlatego doskonale rozumiem, jak ludziom może zabraknąć utworów Gouzes'a, jednak szacunek dla osób skrzywdzonych seksualnie wymaga, aby nabrać dystansu do jego twórczości. Nie dlatego, że muzyka sama w sobie jest zła, ale z uwagi na utożsamienie jej z twórcą.

Choć oświadczenie jest oszczędne w treści, a podane rozwiązania mają charakter sugestii, nie zakazu – decyzja DOL-u wywołała kontrowersje. – Pojawiały się wątpliwości: czy nasze działanie nie jest przedwczesne? Co jeśli okaże się, że André Gouzes jest niewinny? – relacjonuje dominikanin. Pod facebookową publikacją oświadczenia rozpętała się burzliwa dyskusja. Na część pytań o. Miśko odpowiedział w „dodatkowych wyjaśnieniach".

– Zdaję sobie sprawę, że dla niektórych osób nasza decyzja była niezrozumiała czy trudna: kochają muzykę dominikańską i utwory o. Gouzes'a, ich zdaniem jego biografia nie wpływa na jakość dzieła, wina nie została jeszcze udowodniona, a większość osób, które słuchają tych utworów podczas liturgii, nie wie, kto jest ich autorem. Z drugiej strony, w komentarzach pojawiły się też podziękowania za wrażliwość – mówi o. Miśko i podkreśla, że jego zamiarem nie jest zakazanie wykonywania utworów Gouzes'a; pozostawia decyzję roztropności wykonawców. – Chcę podkreślić, że Dominikański Ośrodek Liturgiczny wydał rekomendację, a nie zakaz. Nie chcę być cenzorem czy ideologiem.

Niemoralny twórca

Zagadnienie relacji dzieła do twórcy pozostaje jednak w mocy: czy rzeczywiście muzyka odzwierciedla charakter jej autora, czy też jest w jakimś sensie przezroczysta? O etyczny wymiar dzieła pytam jezuitę o. Dominika Dubiela, kompozytora. – Filozofowie, idąc za Tomaszem z Akwinu, powiedzieliby nam, że w dziele sztuki chodzi o to, by było zrobione moralnie, czyli według reguł, ale sama moralność artysty nie ma tu nic do rzeczy. Dzieło jest dobre samo w sobie – zaznacza jezuita. Klasyczne podejście

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Msza Wigilii Paschalnej w archikatedrze warszawskiej św. Jana Chrzciciela. Warszawa, 31 marca 2018 r.

filozoficzne znajduje swoje zastosowanie również w odniesieniu do pojęcia piękna. Przyjmując perspektywę Tomaszową, dzieło jest piękne, ponieważ jakoś uobecnia Boga. Co jednak z twórczością osób moralnie podejrzanych?

– Personalia i moralność twórcy wpędzają nas w kłopoty – podkreśla Dubiel i wylicza: – Czy powinniśmy z rzymskiego kościoła San Luigi dei Francesi wyrzucić obrazy Caravaggia? Przecież był mordercą. Jest wiele takich przykładów. Weźmy na przykład Gesualda da Venosa, renesansowego kompozytora włoskiego. Był księciem i nie potrzebował mecenasa, a to dawało mu artystyczną swobodę i tworzył dzieła absolutnie wizjonerskie. W Wielkim Tygodniu często śpiewa się jego poruszające „Tenebrae Responsoria". Gesualdo był też jednak człowiekiem niezrównoważonym, zabił swoją żonę i jej kochanka, później podejrzewano go o morderstwo własnego dziecka. Jako słuchacz doceniam jego wybitną muzykę, ale towarzyszy mi pewien zgrzyt etyczny, gdy tylko myślę nad jego postacią. Są osoby, które nie słuchają Wagnera, bo był antysemitą i ulubionym kompozytorem nazistów. Rozumiem, dlaczego tak się dzieje – zaznacza.

Sprawę niuansuje Ewa Kiedio, redaktorka „Więzi", autorka książek poświęconych sztuce „A piękno świeci w ciemności" i „Zostały mi słowa miłości". – Nawet jeśli mamy w sobie głębokie przekonanie o autonomiczności dzieła wobec swego twórcy, w momencie gdy wychodzi na jaw dokonane przez autora poważne przekroczenie zasad moralnych, przeżywamy szok. W kategoriach klasycznych powiedzielibyśmy: okazało się, że piękno dzieła nie koresponduje z pięknem wewnętrznym twórcy. Może jednak bliższe prawdy są współczesne kierunki myślenia, które zamiast ludzkiego dążenia do doskonałości akcentują ludzką niedoskonałość i kruchość jako fakt, z którym musimy się pogodzić? – pyta Kiedio.

Jej zdaniem ocena relacji dzieła do twórcy w przypadku sztuki sakralnej może stanowić punkt wyjścia do dalszej, bardziej pogłębionej refleksji. – W kontekście życia kościelnego i duchowego wychodzące na jaw szokujące fakty z biografii twórców mogą być punktem wyjścia do refleksji czy katechezy na temat skomplikowania i meandryczności ludzkiego życia. Wrażliwość, pragnienie dobra i piękna mieszają się w nim z tajemnicą zła i nikczemności, w niektórych przypadkach w iście przerażający sposób, w jakimś stopniu tyczy się to jednak każdego z nas – dodaje.

Dominik Dubiel również zwraca uwagę na szczególny aspekt relacji między etycznością a sakralnym kontekstem występowania dzieła. – Pomyślmy o współczesnych twórcach, których dzieła nieraz są fenomenalnymi przykładami muzyki liturgicznej, a którym daleko jest do Kościoła – mówi o. Dubiel. – Mimo to komponują piękną, porządną muzykę, która porusza w sensie duchowym. Czy taką muzykę, przeznaczoną do wykonywania w przestrzeni sakralnej, należałoby z niej wygonić ze względu na przekonania autora? – pyta retorycznie. – Jeśli mamy do czynienia z dziełem sztuki, które rzeczywiście jest piękne, dobre, to wierzę, że jest to odblask obecności Boga w świecie. Bóg działa w twórcy, nawet jeśli jego życie nie jest zgodne z nauczaniem Kościoła. Jest większy od kategorii, w których próbowalibyśmy Go zamknąć.

Wrażliwość skrzywdzonych

Czy powyższa ocena jeszcze bardziej nie komplikuje kwestii ewentualnego wykonywania dzieł Gouzes'a? – Potwierdzenie wartości dzieła sztuki sakralnej następuje wtedy, gdy wnosimy je w przestrzeń wydarzenia liturgicznego. I gdy jej znany z imienia autor jest obecnie oskarżony o tak poważne przestępstwa, to należy się od dawania takiej publicznej akceptacji powstrzymać. Dzieło może mieć swoje walory estetyczne, jednak problemem staje się wprowadzenie go do liturgii – twierdzi o. Łukasz Miśko. – Spróbuję przywołać przykład z nieco innej przestrzeni, choć również związanej z twórczością duchową i bliskiej dominikanom. Jeśli jakiś duchowy pisarz, taki jak na przykład Jean Vanier, okazuje się człowiekiem prowadzącym podwójne, etycznie nieautentyczne życie i krzywdzi innych, to raczej wszyscy zgodnie będziemy mieli trudność, by mu zaufać. Choć nie można przecenić dzieła jego życia, jakim jest L'Arche i tamtejszy model pracy z osobami z niepełnosprawnościami, to jego książek chyba już nikt ze spokojem nie czyta. Podobnie jest z jego duchowymi mistrzami, braćmi Philippe, którzy również dopuszczali się podobnych zbrodni – mówi prezes DOL-u.

Szczególny kontekst dominikański podkreśla również o. Dubiel. – Sprawa Gouzes'a stanowi kolejną trudność dla środowisk dominikańskich po głośnym przypadku Pawła M., a we Francji dominikanów braci Philippe oraz Vaniera. Wierni zgromadzeni w duszpasterstwach zakonu kaznodziejskiego śledzili te kwestie, dlatego obecnie zarzuty wobec kompozytora stają się tym bardziej widoczne – twierdzi jezuita.

W takiej optyce swoją decyzję uzasadnia sam o. Miśko, który proces powstawania raportu na temat przestępstw, jakich dopuszczał się wrocławski duszpasterz Paweł M., uważnie śledził. – Przez ostatni ↦

rok pracowałem jako przeor klasztoru wrocławskiego, więc naturalnie sprawa Pawła M. i pokrzywdzonych przez niego osób jest mi bardzo bliska. Słuchałem ich historii, rozmawialiśmy o tym, co czują, gdy ich rany są bagatelizowane... To jest filtr, przez który teraz patrzę na sprawę André Gouzes'a i który powoduje, że nie mogę być wobec niej obojętny.

– Wyobraźmy sobie, że spotykamy osobę, która zna tę muzykę i jej twórcę, może być na przykład w scholi dominikańskiej, i z drugiej strony jest ofiarą przemocy seksualnej. To oczywiste, że słuchanie tych pieśni albo ich wykonywanie może być wtórną traumatyzacją – uważa o. Dubiel. – Decyzja o zawieszeniu wykonywania utworu zawsze musi uwzględniać jakiś kolejny kontekst: wspólnoty, ale też mnie samego. Jeśli świadomość biografii twórcy utrudnia mi modlitwę daną pieśnią, to powinienem się z nią pożegnać.

Artystyczna kwarantanna

– Podjęcie tego typu rozważań jest na pewno łatwiejsze w przypadku artystów, od których dzieli nas spory dystans – mówi Ewa Kiedio. – Świeżość spraw będzie tu raczej blokująca, być może do tego stopnia, że licząc się z realiami, dzieła na pewien czas trzeba poddać „kwarantannie", „odstawić na bok" z szacunku dla ludzkich emocji.

Na kim jednak spoczywa odpowiedzialność za wykonywanie dzieł podejrzanych moralnie autorów? Przecież podobnych przypadków jest więcej. Nie tylko książę Gesualdo czy dominikanin Gouzes dopuszczali się przestępstw, ale również autorzy takich „sakrohitów" jak „Barka". Ledwie kilka miesięcy temu media obiegła informacja o licznych przypadkach molestowania, których sprawcą miał być ks. Cesáreo Gabaráin, autor jednej z najpopularniejszych w Polsce kościelnych pieśni. Pytam jezuitę, co by zrobił, gdyby usłyszał organistę, który ją gra.

– W pierwszej kolejności miałbym za złe samo granie „Barki", bo to jest piosenka, której ze względów czysto muzycznych nie powinno się wykonywać w kościele – odpowiada Dubiel. – Natomiast poważnie mówiąc, punktem odniesienia zawsze powinna być konkretna wspólnota. Proboszcz czy rektor kościoła powinien z jednej strony znać sytuację i wrażliwość parafian i wsłuchiwać się w ich głos, a z drugiej uwrażliwić wspólnotę na to, co się dzieje w Kościele, tym bardziej jeśli w parafii są osoby skrzywdzone. Pewnie warto też porozmawiać z organistą, zapytać, czy ma świadomość, jakich czynów dopuszczał się autor pieśni. Na tym, między innymi, polega rozeznanie w Kościele i synodalność: słuchać i rozmawiać, żeby organista czy proboszcz nie byli „panami życia i śmierci" w parafii.

– Na ile wykonawcy wiedzą, że śpiewają utwór osoby oskarżonej o pedofilię? Na ile wspólnota, która modli się takimi pieśniami, ma tego świadomość? – pyta o. Miśko. – Potraktujmy taką sytuację jako punkt wyjścia do rozmowy. To może być moment na odpowiednią formację. Mogę jakoś pomóc tym ludziom, pogłębić ich wrażliwość na zło w Kościele, na grzech, ale też podnieść świadomość liturgii, dając zachętę, by była ona bezpieczną przestrzenią spotkania z Bogiem.

© KAROL KLECZKA

REKLAMA

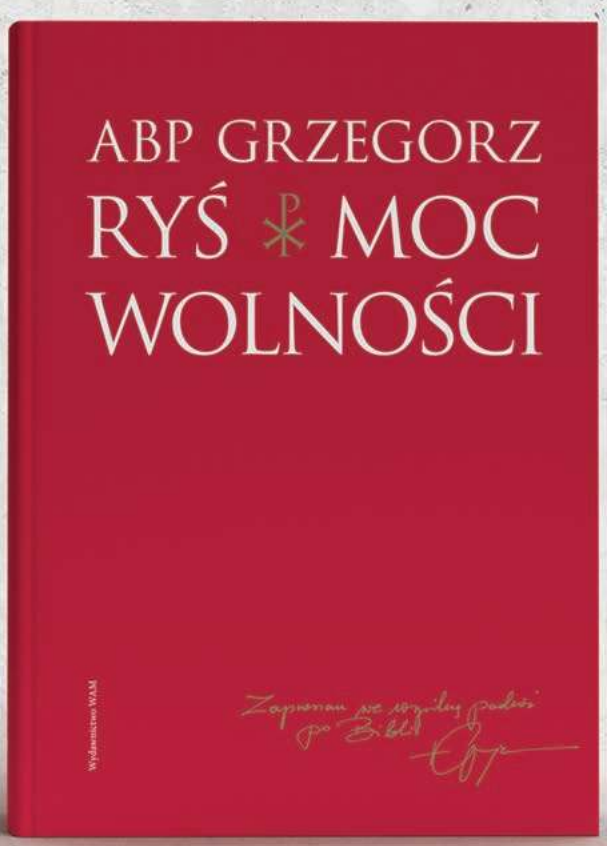

ABP GRZEGORZ RYŚ, MOC WOLNOŚCI

NIE MA WOLNOŚCI
BEZ MIŁOŚCI I MIŁOSIERDZIA

Arcybiskup Grzegorz Ryś głosi Słowo Boże z mocą,
bez efektownej retoryki
i z żywym doświadczeniem
bliskości Boga.

Z KODEM **TP122** 35% RABATU NA KSIĄŻKĘ "MOC WOLNOŚCI" W KSIĘGARNI STACJONARNEJ WAM I NA WWW.WYDAWNICTWOWAM.PL

O pożytkach z błądzenia

MACIEJ MÜLLER

To w ogniu polemiki z herezjarchami Kościół wykuwał pierwsze dogmaty i szukał odpowiedzi na pytanie, kim właściwie jest Chrystus.

ART MEDIA / EAST NEWS

Chrystus Pantokrator, mozaika z kopuły kościoła Świętego Zbawiciela. Stambuł, Turcja.

Błędnie prowadzona katecheza i kaznodziejstwo sprawiają, że wielu katolików okazuje się „praktycznymi monofizytami" – ostrzegał już wiele lat temu teolog ks. Grzegorz Strzelczyk. Że Jezus jest Synem Bożym, żył w I wieku, umarł i zmartwychwstał – temu nie zaprzeczą. Ale że nie miał pojęcia o atomach, że się pocił, a gdyby zachorował na grypę, można by się od niego zarazić? Jakoś nie wypada myśleć tak o Mesjaszu.

Tymczasem odejmowanie Mu cech ludzkich w celu obrony boskiego majestatu pozbawia Go ludzkiej natury – aż w końcu staje przed nami Bóg chodzący po ziemi. A to już jest herezja monofizytyzmu, czyli zaprzeczenia sformułowanego na soborze chalcedońskim w 451 r. dogmatu, że Chrystus ma dwie niezmieszane natury – boską i ludzką.

A przecież wydawałoby się, że jesteśmy w lepszej sytuacji niż chrześcijanie pierwszych pokoleń. „Pojęcia wzięte z tradycji biblijnej oraz z innych religii, w których się wychowali, okazywały się niewystarczające, poglądy potoczne, a także filozoficzne, nie pasowały do tego, w co uwierzyli" – pisze patrolog ks. Henryk Pietras SJ w swojej najnowszej książce „Ortodoksja i herezje".

Kim jest Jezus

Na pierwszy rzut oka wiara w Chrystusa i w działanie „mechanizmu" zbawienia, który dzięki Niemu zaczął działać, nie była skomplikowana. Ale tylko na pierwszy rzut. Chrześcijanie prędko stanęli przed pytaniem: ale kim On właściwie był/jest? I tu zaczynały się schody. Dla ewangelisty Marka Jezus nie był jeszcze Bogiem, dla Jana już było to oczywiste. Ale co to właściwie znaczyło? Jak można być jednocześnie Bogiem i człowiekiem?

Punktem dojścia był wspomniany dogmat, ale droga do niego była długa i kręta. Odpowiedzi szukano, sięgając po te narzędzia, które były dostępne, a więc przede wszystkim po kategorie filozofii greckiej (niektórzy teologowie, polemizując z postulatami „dehellenizacji" chrześcijaństwa, snują przypuszczenia, że nieprzypadkowo Bóg zdecydował o Wcieleniu w czasach rozkwitu tej filozofii). Chrystologia rodziła się dzięki ogromnym wysiłkom teologów pierwszych wieków, ale i nie bez błądzenia.

Justyn podkreślał, że Syn nie jest stworzeniem, nie potrafił jednak wytłumaczyć tego, że miałby On nie mieć początku. Orygenes starał się wyjaśnić bezgrzeszność Jezusa tym, że nie miał on ziemskiego ojca – ponieważ według ówczesnych koncepcji cały człowiek kształtował się z nasienia ojca, „tak więc również wszystko, co dobre i co złe". Apolinary porównywał naturę Chrystusa do natury... muła, który nie jest ani koniem, ani osłem.

Zbawienie w moich rękach

Pluralizm wczesnego Kościoła dzisiaj przywoływany jest jako skarb, który warto na nowo odkryć, sprzyjał on jednak także rodzeniu się herezji. Te pierwsze były, żeby użyć określenia innego patrologa, o. Damiana Mrugalskiego OP, raczej grubo ciosane. Doketyści na przykład uważali, że Chrystus nie jest człowiekiem, adopcjoniści – że nie jest Bogiem. Realny problem stworzyły dopiero herezje subtelniejsze – takie jak manicheizm. Głosił on, że cała cielesność pochodzi od Zła, przez co – pisze Pietras – „prawie niezauważenie zaczęło do Kościoła przenikać przekonanie, że seks jest zły, alkohol jest zły, ciało też jest z natury złe i tylko przeszkadza duszy w drodze do zbawienia". Przez długi czas Kościół zwalczał takie manichejskie zwyczaje, jak posty w niedzielę czy potępianie małżeństwa.

Inną subtelną herezją był pelagianizm. Pietras poświęca wiele miejsca, by obronić dobre imię Pelagiusza, który nie był winien temu, że jego zwolennicy zniekształcili jego nauki. Wysnuli z nich mianowicie tezę, że możliwe jest niepopełnianie grzechów, a w związku z tym łaska Boża nie jest potrzebna i można dojść do zbawienia o własnych siłach. W takim ujęciu życie Chrystusa stanowiło co najwyżej godny naśladowania przykład.

Pietras przypomina słowa papieża Franciszka, według którego herezja pelagiańska należy do najbardziej dziś rozpowszechnionych. I komentuje: „Pelagianie zasłaniają się niewinnymi skądinąd i ładnie brzmiącymi sloganami o humanizmie, liberalizmie, tolerancji, wolności, a nawet prawami człowieka (...) Pelagianizm przejawia się niestety również w homiletycznych zachętach w rodzaju: »Pójdziesz do nieba, jak będziesz grzeczny«, tak jakby własną grzecznością można było samemu się zbawić".

Żal, że tej ostatniej myśli autor bardziej nie rozwinął. Główny problem leży bowiem nie w ubóstwianiu praw człowieka, tylko znowu – jak w przypadku „praktycznego monofizytyzmu" – w mizernym poziomie katechezy, która niewiele mówi o zbawieniu przez łaskę, wiele za to o praktykach w rodzaju dziewięciu pierwszych piątków, które kształtują u słuchających wiarę „uczynkową". ↦

↦ Z kolei druga „prawda” spośród wciąż pokutujących w polskiej katechezie „Sześciu prawd wiary” (Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze) zniekształca biblijne nauczanie o miłosierdziu i sprawiedliwości, redukując je do czegoś na kształt sądu Ozyrysa, ważącego na szalach dobre i złe czyny. Młodemu chrześcijaninowi łatwo z tego wysnuć wniosek, że zbawienie zależy od jego własnych wysiłków... I oto jesteśmy z powrotem w herezji.

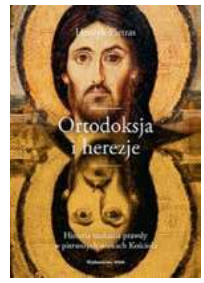

Henryk Pietras SJ, **ORTODOKSJA I HEREZJE. HISTORIA SZUKANIA PRAWDY W PIERWSZYCH WIEKACH KOŚCIOŁA,** *Wydawnictwo WAM, Kraków 2022.*

Wyklęci

Poważnego wyzwania dostarczył Kościołowi arianizm. Ariusz, kapłan z Aleksandrii, wszedł ze swoim biskupem w spór w temacie posłuszeństwa Chrystusa. Skoro Jezus zbawił nas dzięki temu, że był posłuszny Ojcu, oznacza to – rozumował – że był zdolny także do nieposłuszeństwa. A skoro tak, to miał zmienną wolę – nie mógł więc być Bogiem, bo Bóg jest niezmienny. Jezus był więc według Ariusza jedynie stworzeniem.

Spór skończył się potępieniem Ariusza i jego zwolenników, a w warstwie doktrynalnej wymusił kolejne doprecyzowania odpowiedzi na pytanie, kim jest Chrystus. Zadowalającej odpowiedzi na zagadnienie poruszone przez Ariusza dostarczył – po kilkuset latach sporów – dopiero sobór konstantynopolitański III w 680 r., który ostatecznie uznał wiarę w dwie wole (boską i zgodną z nią ludzką) w Chrystusie.

Nawiasem mówiąc, według Damiana Mrugalskiego problem herezji ariańskiej został sztucznie rozdęty z winy kolejnego biskupa Aleksandrii św. Atanazego. Był on gorliwym obrońcą zastosowanego w nicejskim wyznaniu wiary (325 r.) sformułowania „współistotny” i każdego, kto na to filozoficzne słowo w opisie Chrystusa się nie zgadzał, nazywał arianinem. Bez względu na to, czy przyjmował on bóstwo Chrystusa.

Inne doprecyzowania dogmatyczne wymusiła działalność biskupa Konstantynopola Nestoriusza, który – podobnie jak Pelagiusz – chcąc nie chcąc stał się ojcem chrzestnym herezji. Zabronił on nazywania Maryi tytułem *Theotokos* (Bożej Rodzicielki). W spór wmieszał się biskup Aleksandrii Cyryl, który wyczuł dobry moment na pognębienie rywala (biskupi Aleksandrii źle przyjęli wywyższenie hierarchów Konstantynopola przez cesarzy) i zaczął go pouczać w kwestii precyzji języka teologicznego.

Hierarchowie wymieniali listy coraz to agresywniejsze w tonie, a sprawa zakończyła się na soborze w Efezie w 431 r., który potępił Nestoriusza za „zbyt radykalne oddzielanie bóstwa i człowieczeństwa w Jezusie, tak daleko idące, że grożące wręcz rozdzielaniem Go na dwie osoby”. Problemem Nestoriusza była tak naprawdę – ocenia Pietras – „nieumiejętność takiego mówienia o dwóch naturach Chrystusa, by pozostał on jedną osobą”. Sobór odebrał Nestoriuszowi stolicę biskupią i nakazał spędzić resztę życia w klasztorze.

Trudne karty

Nie był to oczywiście koniec sporów o podstawy wiary. Pietras barwnie opowiada o poszukiwaniu odpowiedzi na pytania o Ducha Świętego (od kogo pochodzi i czy jest równy Ojcu i Synowi?), o to, na czym polegał grzech pierworodny, a także czym kończyło się mieszanie się cesarzy do sporów teologicznych (by nie zdradzić za wiele: m.in. soborem nieprzypadkowo nazwanym „zbójeckim”).

I wreszcie kwestia, czym właściwie jest Kościół i jaka jest jego rola w zbawieniu. To o tyle istotne, że także w tym temacie rodzą się dziś herezje. Kilka lat temu na jedną z nich wskazał abp Grzegorz Ryś, pytany o badanie mrocznych tematów z historii Kościoła. „Kościół jest święty, bo boski, ale jest też grzeszny, bo ludzki – mówił obecny metropolita łódzki. – Pomijanie w jego dziejach »trudnych kart« jest wręcz heretyckie: pachnie eklezjologicznym monofizytyzmem, czyli dostrzeganiem w Kościele jedynie boskiego pierwiastka”.

© ℗ MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY
Już w środę 1 czerwca w „Tygodniku”
Wakacyjny włóczykij kulturalny
a w nim:
- rower to jest świat, czyli o rowerach w sztuce
- przewodnik po festiwalach muzycznych i literackich
- przegląd wydarzeń i wakacyjne polecajki
Zapraszamy do lektury!
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZUZANNA

Radzik:
Na granicy życia

Grzebali je pod rynną, podobno. Pradawnym zwyczajem. Do trumny wkładano różne przedmioty: żelazne nożyce, by się odcięła. Płótno, naparstek i nici, by dziergała w zaświatach dla osieroconego niemowlęcia. Zbliżało to do pierwotnego przeznaczenia, miało ułatwić spełnienie w opiekuńczej roli. Bardziej niż z teologią nawet, kościelne zwyczaje bywały zgodne z pierwotną intuicją, że płyn, wydzieliny i krew to nieczystość. Bywało, że zwłok zmarłej w tym czasie nie wpuszczano do kościoła, w obawie przed zbezczeszczeniem świętej przestrzeni. To jednak niepokojące zjawisko, matka umierająca przy porodzie lub w połogu. Wierzono, że mogła być podatna na działanie sił nieczystych, które nie ustawało nawet po śmierci. Zakładano, że to powracająca na ziemię dusza, tęskniąca, niepokojąca, ale niegroźna.

Rodzącym, które przeżyły, organizowano po sześciu tygodniach wywód, religijny obrzęd z błogosławieństwem, którego zaniechał dopiero sobór w połowie XX w. Swoją drogą ciekawe. Zastanawiam się, czy wolę, że zwyczaj znikł, bo karmił się przekonaniem o nieczystości, czy żałuję, że nie towarzyszy teraz takim przejściom w kobiecym życiu specjalny zwyczaj i błogosławieństwo? I już katofeministyczna myśl pracuje w mojej głowie, że może nie trzeba do tego księdza i stuły, ale gdyby tak kobiety kobietom towarzyszyły i błogosławiły?

A może wywód kończył nie tyle okres nieczystości, co zamykał czas na granicy życia i śmierci? Biorąc pod uwagę wysoką śmiertelność położnic, było co świętować. Że rodzenie to rzecz niebezpieczna, nie trzeba było nikogo przekonywać. Tylko że nie było specjalnie wyboru, bo kontrolę i nad własną płodnością, i nad ciałem kobiety miały słabą.

Niejedna święta, dziewica, męczennica średniowieczna czy ascetka w głębi ducha drżała z lęku przed porodem i połogiem. Przed śmiercią, którą widziała, bo spotkała jej ciotkę, siostrę czy matkę. Wiadomo było, że się zdarza. Przed pierwszym ascetycznym zrywem Katarzyna ze Sieny straciła rodzącą siostrę. Przypadek, że głodziła się potem tak, iż zaniknęła jej miesiączka, a rodzice odpuścili wydawanie drugiej córki za mąż?

Rodzenie trudnej do skontrolowania liczby dzieci to może wtedy (czyli do całkiem niedawna) stawianie życia na szali bardziej niż wyniszczające posty. Tylko czy to już zamknięty rozdział herstorii świata? Żyjemy w czasach, gdy wiemy, że zagrożeniem dla położnic mogą być brudne ręce i narzędzia lekarzy. Umiemy zaradzić tylu sytuacjom. Więc czemu w „The Washington Post" znajduję któregoś ranka artykuł o mrożącym tytule: „Gdzie ciąża jest śmiertelnym hazardem"?

Zrobili to solidnie. Wracali do Sierra Leone parę razy, śledząc losy Susan Lebbie, siedemnastolatki, która sama została osierocona przez zmarłą przy jej porodzie matkę. Tym samym była zdana na niełaskę krewnych, naznaczona bezdomnością. Wreszcie związała się ze starszym mężczyzną, który w zamian oferował dach nad głową. Liczyła, że dzięki temu skończy szkołę. Zmarł, zostawiając ją w ciąży. Ale to nie samodzielnego macierzyństwa bała się Susan, lecz tego, czy przeżyje poród. Położna kazała jej przyjść do szpitala z krwią do transfuzji, załatwioną wśród krewnych i znajomych. Tylko że dziewczyna nie miała nawet takiego wsparcia. Wiedziała natomiast, z plakatu widzianego w klinice, że w kraju co 90 sekund umiera ciężarna kobieta. I zwyczajnie się bała.

Śmierci rodzących w Sierra Leone nie wynikają z tajemnych chorób, tylko ze zrujnowanej i zależnej od zagranicznych darczyńców służby zdrowia, przetrzebionego przez epidemię eboli personelu medycznego, biedy. Braku leków, pustych banków krwi. „The Washington Post" podkreśla, że w ciąży lub przy porodzie umiera jedna na dwadzieścia ciężarnych. Głównie z powodu utraty krwi. To jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc na ziemi, by mieć dziecko. Gorzej jest tylko w Czadzie i Sudanie.

Susan marzyła, by urodzić chłopca, bo chłopiec nie zajdzie w ciążę. Urodziła przez cesarkę małego Evana. Bóg jest łaskawy, stwierdziła. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, tego dnia szpital miał za mało krwi i leków, by jej pomóc. Po prostu miała szczęście. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

KATOWICE środa 25 maja
Spotkanie z prof. Ryszardem Koziołkiem, „Kłopoty z prawdą, kiedy już ją znamy" / hybrydowe /

TRÓJMIASTO czwartek 26 maja
Spotkanie z Henryką Dobosz-Kinaszewską, Władysławem Zawistowskim, Aleksandrem Hallem, Elżbietą Goetel, „Halina Winiarska-Kiszkis. Pro memoria" / hybrydowe /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

BÓJ O CHARKOWSZCZYZNĘ

Ukraińska armia odbija miejscowości w okolicach Charkowa. Wkrótce może odzyskać kontrolę nad kolejnymi odcinkami granicy.

TEKST I ZDJĘCIA: PAWEŁ PIENIĄŻEK Z PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ UKRAINY

Spalone działo samobieżne Goździk stoi pośród drogi przy zniszczonym domu, tuż przy leju po pocisku. Rozerwany kadłub, szczątki wieży z ciężką długą lufą, zerwane gąsienice i sterta łusek walają się po ziemi.

– To robota naszych chłopców – chwali żołnierzy generał Serhij Melnyk, pełniący funkcję dowódcy charkowskiego garnizonu, który odwiedził właśnie walczące na froncie oddziały.

Niedaleko w okopie leżą porzucone pociski kalibru 122 mm. To w nim chroni się część wojskowych, gdy rozlegają się następujące po sobie wystrzały, świsty i wybuchy w pobliżu.

W tej chwili ta okolica jest szarą strefą – do jej opuszczenia zostali zmuszeni Rosjanie, a ukraińskie wojska dopiero miały zająć tam pozycje. Rejon usłany jest lejami po bombach, wiele z pobliskich budynków zostało uszkodzonych. Z trudem można spotkać mieszkańców – przeważająca ich część ewakuowała się w bezpieczniejsze miejsca. Tak wygląda większość miejscowości w okolicach Charkowa, które trafiły pod rosyjską okupację, a teraz zostają wyzwolone.

Na północ i wschód od tego miasta, drugiego największego w kraju, ukraińscy żołnierze właśnie przeprowadzają kolejne udane operacje. Szybko zajmują pobliskie miejscowości, dzięki czemu

Ukraińscy żołnierze oglądają zniszczone rosyjskie działo samobieżne. Okolice Charkowa, 15 maja 2022 r.

oddalają zagrożenie od Charkowa. Miasto, znajdujące się 40 km od rosyjskiej granicy, przestały dewastować pociski, rakiety i bomby. Wróciła część mieszkańców, a ulice stopniowo odżywają. Na tym odcinku frontu rosyjscy żołnierze zajmują coraz mniejsze skrawki ziem i stopniowo są wypychani za granicę. Po nieudanym ataku m.in. na Charków, Rosjanie przerzucają siły do obwodu ługańskiego, gdzie prowadzą zmasowaną ofensywę [patrz „TP" nr 21 – red.].

Ułaskawiony na froncie

Rosyjska ofensywa na tę przygraniczną metropolię rozpoczęła się od razu 24 lutego, czyli wtedy, gdy Kreml ruszył z inwazją na pełną skalę. Tego samego dnia czołgi pojawiły się na charkowskiej obwodnicy, miasto ostrzelano, a miejscowości po drodze zostały zajęte przez rosyjskie wojska. Front usytuował się na północy i wschodzie od tego półtoramilionowego miasta, a dzielnice znajdujące się na obrzeżach stały się linią obrony – oraz ofiarą ostrzałów artyleryjskich.

– Dusza mnie boli. Kocham Charków. To jeden z kluczowych centrów kulturowych, przemysłowych i ekonomicznych, a co niesie mu rosyjski świat? – pyta retorycznie 36-letni Ołeh Szyriajew, dowódca kompanii obrony terytorialnej.

Biorąc pod uwagę jego burzliwą biografię, to dość nieoczekiwane stwierdzenie. Po tym, gdy w 2014 r. wybuchła wojna w Donbasie, Szyriajew walczył w okolicach Mariupola i był powiązany z nacjonalistami z Azowu. Jednak w ostatnich latach popadł w konflikt z azowcami i zbliżył się do Illi Kiwy – polityka cieszącego się złą reputacją, poplecznika Rosji, jeszcze jakiś czas temu deputowanego Rady Najwyższej.

W efekcie Szyriajew na dłuższy czas trafił do aresztu śledczego – oskarżono go o próbę siłowego przejęcia silosu ze zbożem w obwodzie charkowskim, podczas której doszło do strzelaniny i raniono sześć osób. Po 24 lutego prezydent Wołodymyr Zełenski ogłosił „niełatwą z moralnego punktu widzenia" inicjatywę, by zwolnić z aresztów wszystkich tych, którzy posiadają znaczące bojowe doświadczenie z wojny w Donbasie, aby zadośćuczynili za swoje złe uczynki, broniąc kraju. Dzięki temu także Szyriajew opuścił areszt.

Teraz walczy na froncie i wraz ze swoją kompanią odzyskują tereny zajęte przez Rosjan. Dzień przed tym, jak go spotkałem, wspólnie z jednostką wojsk powietrznodesantowych mieli zniszczyć rosyjski transporter opancerzony.

– Jestem dumny, że mamy takich ludzi jak chłopaki z mojego oddziału, których wychowuję i z którymi idę do walki – mówi Szyriajew. – Choć oczywiście rozumiem, że wojna będzie trwała jeszcze jakiś czas, a obok radości pojawi się też smutek.

Określenie „wychowuje" wydaje się na miejscu: Szyriajew wyjaśnia, że wielu członków obrony terytorialnej nie ma doświadczenia wojskowego. Jeszcze niedawno byli ślusarzami, kierowcami czy taksówkarzami. Właśnie te oddziały stanowią – obok regularnych wojsk – istotną siłę uderzeniową, która skutecznie wypycha rosyjską armię z okolic Charkowa.

Rewolucja w rekonesansie

46-letni Ołeh, dowódca dywizjonu artylerii samobieżnej, podkreśla, że to na barkach piechoty spoczywa odpowiedzialność za wyzwalanie terytoriów. – Pozycja czy miejscowość nie zostaje zajęta, dopóki nie stanie tam noga żołnierza piechoty – twierdzi.

To jednak artyleria, w tym jego dywizjon, umożliwiają ofensywę piechoty.

Ołeh wraz z kilkoma żołnierzami prowadzą właśnie powietrzny rekonesans przy użyciu bezzałogowych statków powietrznych, które powstały z myślą o działaniach komercyjnych. Wyposażeni w kontrolery, do których mają podpięte telefony lub tablety, żołnierze co chwilę wysyłają kolejne bzyczące maszyny. Ze skupieniem wypatrują na ekranach pozycji przeciwnika. W innych okolicznościach można by pomyśleć, że grają w grę wideo.

– O, znalazłem czołg! – wykrzykuje jeden z żołnierzy. Na ekranie tabletu ukazuje się potężna maszyna. Ołeh z żołnierzem określają koordynaty, przekazują je do jednego z plutonów artylerii samobieżnej. Ci po otrzymaniu rozkazu ostrzeliwują cel, który tylko co ukazał się na ekranie.

Ołeh, żołnierz z dużym doświadczeniem (na wojnie od roku 2014), podkreśla, że drony zrewolucjonizowały rekonesans, dzięki czemu znacząco wzrosła skuteczność artylerii. – Z powodu ukształtowania terenu i dużych odległości nie możemy prowadzić zwiadu optycznego – mówi.

Stosując drony, ukraińscy żołnierze niwelują te trudności na różnych odcinkach frontu. Ołeh zaznacza, że bezzałogowe statki powietrzne, które wyprodukowano dla innych celów niż wojskowe, mają poważne ograniczenia. To przede wszystkim bardzo krótki czas lotu, wynoszący do 30 minut. Dla porównania: drony wojskowe mogą znajdować się w powietrzu przez ponad dobę. Ponadto maszyny przeznaczone do celów cywilnych dużo łatwiej zakłócić czy wręcz przechwycić, co Rosjanie nagminnie próbują robić. Wreszcie, cywilne z założenia drony nie są w stanie unosić się wysoko w powietrzu, więc łatwo mogą zostać dosięgnięte z ziemi. ↦

Ukraińskie haubice ostrzeliwują pozycje Rosjan, 16 maja 2022 r.

↦ Mimo to ukraińska armia od lat rozwija użycie dronów komercyjnych i nie tylko do celów zwiadowczych, ale także bojowych – do maszyn doczepiane są granaty, które następnie są zrzucane na cel.

Już nikt się nie uśmiecha

Podobnie jak w latach 2014-15, także po 24 lutego wojnę z Rosją charakteryzują liczne pojedynki artyleryjskie. W tej odsłonie konfliktu toczą się one z jeszcze większą intensywnością. Haubice samobieżne 2S1 Goździk pod dowództwem Ołeha rażą cele w odległości 15 km.

– Prowadzimy ogień po przeciwniku, który znajduje się w okolicznych miejscowościach. W ten sposób zapewniamy wsparcie chłopcom z naszych batalionów zmechanizowanych – wyjaśnia Ołeh.

Dowodzone przez niego plutony haubic mają mnóstwo roboty. Jak zapewnia 37-letni Witalij, dowódca jednej z załóg haubicy samobieżnej, bywa, że dziennie wystrzeliwują ponad 150 pocisków. – Nie zawsze nas informują o rezultacie, ale zazwyczaj trafiamy. Niszczymy czołgi, moździerze czy cysterny – mówi Witalij.

Najpierw odbył służbę poborową, a potem podpisał kontrakt z armią. W maju tego roku miał się on skończyć, ale Witalij nawet nie rozważa, czy będzie go przedłużał. W obecnej sytuacji nikt nie pozwoli mu wrócić do cywila. Od samego początku trafił do załogi artylerii samobieżnej.

W tamten czwartek, 24 lutego, Witalij był skołowany. Pierwszego dnia inwazji panował chaos. Wysłano ich na pozycje w obwodzie charkowskim, ale nie mieli rozkazu, aby otworzyć ogień do ewentualnych celów. Po drodze minęła ich rosyjska kolumna. Żołnierze wrogiej armii uśmiechali się i machali do Witalija, spokojnie kontynuując drogę po wytyczonej trasie, jakby nie rozumieli, że trafili na wojnę do obcego kraju. Do dzisiaj Witalij zachodzi w głowę nad tym, co tego dnia zobaczył.

– Teraz już nikt się nie uśmiecha. Czeka ich wyłącznie porażka – jest przekonany.

Niedługo po tamtym wydarzeniu Witalij trafił pod pierwszy zmasowany ostrzał. Wciąż nie mieli rozkazu, żeby strzelać, tymczasem niebo jaśniało, jakby noc przedwcześnie się kończyła, a ziemia trzęsła się tak, że niemal 16-tonowy Goździk wydawał się nic nie ważyć. Przez pół nocy Witalij wraz z resztą załogi czekał na pozwolenie na otwarcie ognia, mając wrażenie, że zanim to się stanie, coś wreszcie w nich trafi.

Teraz już o rozkazy się nie martwi. Celowniczy namierza cel, ładowniczy umieszcza pocisk w zamku, dowódca nakazuje strzelać, rozlega się huk, pocisk tnie powietrze i leci gdzieś daleko, wznosi się dym, a kawałki ziemi rozbryzgują się dookoła. I tak raz za razem, dopóki załoga nie musi zmienić pozycji, żeby nie dosięgnął ich wrogi ostrzał. Przeciwnik stara się namierzyć ukraińskie działa i dosięgnąć je swoją artylerią. Dlatego Goździki pozostają w ciągłym ruchu.

Zwłoki w okopach

Niektóre z okupowanych miejscowości, które w ostatnich dniach trafiły najpierw pod ostrzał nacierających Ukraińców, a potem wycofujących się Rosjan, zostały zniszczone. W oczy rzucają się rozbite budynki i drogi usłane wrakami sprzętu wojskowego. Z kolei pola poryte są okopami

i pozostałościami po nieproszonych wojskach. Tak wygląda na przykład Mała Rohań tuż za Charkowem. Wieś została wyzwolona przez ukraińską armię w ostatnich dniach marca, jednak wielu mieszkańców wciąż nie wróciło do domów.

W okopach nadal znajdują się zwłoki rosyjskich wojskowych, niektóre przysypane ziemią. Wtedy ich obecność zdradza tylko słodkomdły odór rozkładającego się ludzkiego ciała.

Ukraiński żołnierz wraz z grupą ochotników i grabarzy z pobliskiego cmentarza zabrali się za ich wyciąganie. Jedno z ciał musiało należeć do rosłego człowieka, z trudem wyciągają je z okopu. Obwiązują zwłoki liną holowniczą i ciągną. Potem kładą na trawie i pakują do worka. Tego dnia znaleźli jeszcze kolejne cztery. Oprócz tego w wagonie chłodniczym, znajdującym się w Charkowie, znajdowało się ich 63. Ponad trzy czwarte to Rosjanie, a reszta – jak słyszę – to obywatele Ukrainy walczący po stronie Kremla (być może chodzi o prorosyjskich separatystów, członków tzw. milicji ludowych z Doniecka i Ługańska).

– Wszystkich znaleźliśmy w wyzwolonych wsiach. Ciała zostały opisane, pobrano im DNA, zarejestrowano w bazie danych. Jeśli ktoś kiedyś by ich szukał, są gotowe do wysłania. Będziemy wymieniać je na naszych żywych chłopców albo za naszych poległych – wyjaśnia kapitan Sił Zbrojnych Ukrainy Anton Iwannikow, który zajmuje się zbieraniem zwłok rosyjskich żołnierzy.

I powraca życie

Jak do tej pory Iwannikow działał tylko w kilku miejscowościach. Do wielu wciąż nie ma dostępu, bo toczą się tam działania zbrojne. O ciałach dowiaduje się albo bezpośrednio od wojskowych, którzy znajdują je na pozycjach, albo zgłaszają się do niego mieszkańcy wyzwolonych miejscowości. Większości nie da się zidentyfikować – są zbyt popalone, czasami nie mają głów.

Tymczasem kilkaset metrów dalej, niedaleko wraku czołgu, elektrycy naprawiają już linię wysokiego napięcia. Mieszkańcy przyjeżdżają oglądać, co zostało z ich domów, a ci, którzy nie wyjeżdżali, cieszą się, że w okolicy znowu zapanowuje pokój.

Życie wraca tam, gdzie wciąż są świeże ślady wojny.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Swiatosław Wakarczuk, lider zespołu Okean Elzy, gra dla żołnierzy na pozycji pod Charkowem. 14 maja 2022 r.

Żołnierze charkowskiej obrony terytorialnej, 15 maja 2022 r.

Ukraińscy żołnierze i ochotnicy zabezpieczają ciała poległych Rosjan, 17 maja 2022 r.

MAREK KOWALCZYK x2

Obiad w ośrodku w Teplej Horze, kwiecień 2022 r.

Jak długo można się kulić

ULA IDZIKOWSKA
Z ZAKARPACIA (UKRAINA)

W tej dolinie próbują dojść do siebie. Przyroda uspokaja, cisza jest kojąca. Ale pozostaje niepewność, co dalej.

Może nawet do domu pojadę, kto wie? – zastanawia się Bohdan, bez ironii w głosie. Dom jest w Charkowie. Z naciskiem na jest. – Budynki wokół zostały zbombardowane, ale nasz stoi.

Bohdan (to imię zmienione, na jego prośbę), mężczyzna ponad 30-letni, nie chciał wyjeżdżać. To żona nalegała, po bezsennej nocy z sześcioma atakami rakietowymi na początku rosyjskiej inwazji. Najpierw pojechali do przyjaciela na wieś. – Byliśmy odcięci od świata, nie było internetu, tylko konie i krowy – Bohdan uśmiecha się na to wspomnienie.

Z zadumy wyrywa go głos Tati, która czeka na niego w aucie. – Muszę lecieć, jedziemy do Iwano-Frankiwska. Potrzebuję butów.

Bohdan dostał właśnie powołanie do wojska, a w adidasach ciężko iść na wojnę. Wcześniej nie służył. Pracował w warsztacie rzemieślniczym, później przez kilka lat sprzedawał rozwiązania e-commerce. A przez ostatnie tygodnie majsterskował w szopie, w ekocentrum Tepla Hora (pol. Ciepła Góra).

PRZED ROSYJSKĄ INWAZJĄ założyciele tego ośrodka – położonego w dolinie na wschód od pasma górskiego Czarnohora, dwie godziny jazdy autem do Iwano-Frankiwska – organizowali warsztaty o zrównoważonym rozwoju i permakulturze (tj. podejściu do gospodarowania wzorowanym na naturalnych ekosystemach), z wypadami w góry i wegańskim jedzeniem. Teraz goszczą uchodźców i uchodźczynie. Zwykle nie więcej niż 20 osób. Większość śpi w hostelu: białym budynku z kilkoma pokojami. Odkąd zrobiło się cieplej, część przeniosła się do dawnej stodoły. Andrij, współzałożyciel Teplej Hory, liczy, że niedługo uda im się postawić też wolnostojące domki.

Stodoła służy też jako przestrzeń terapeutyczna. Właśnie zaczyna się sesja. Poprowadzi ją Ira, blondynka opatulona w ciepły sweter. Jako doświadczona psycholożka wspiera osoby, które tak jak ona musiały opuścić dom. Kolejni mieszkańcy wspinają się po drewnianej kładce i znikają w środku. Skończą za dwie godziny. Jako ostatnia do grupy dołącza Lubawa, nastolatka z ciemnymi włosami na jeżyka. Jeszcze nie wie, że jej mama nie żyje.

O śmierci mamy dowie się nazajutrz. Ojciec, który służy w kijowskiej obronie terytorialnej, zadzwoni do niej i do jej starszego brata Radomira. O złym stanie mamy wiedzieli już wcześniej. – Miała ostatnio problemy z równowagą i dziwnie się zachowywała. Sądziliśmy, że to jakieś uszkodzenie mózgu – wyjaśnia Radomir. Okazało się, że to guz.

RODZEŃSTWO JEST TERAZ pod opieką Nataszy i Ragnara: przyjaciół, którzy przed 24 lutego tworzyli małą komunę w 10-tysięcznym miasteczku Makarów, 50 km

na zachód od Kijowa. – Ojciec zawiózł nas tam z myślą, że będzie bezpieczniej. Nie było – Radomir wybucha nerwowym śmiechem.

Po miesięcznej okupacji Makarów leży w gruzach. Większość mieszkańców uciekła. Niektórzy zostali zamordowani przez rosyjskich żołnierzy. Po uruchomieniu telefonu zaufania ukraińska rzeczniczka praw człowieka Ludmiła Denisowa otrzymała liczne zgłoszenia o gwałtach dokonanych w Makarowie i okolicy, również na dzieciach. Zdaniem burmistrza Wadyma Tokara miasta nie sposób odbudować w tym momencie. Priorytetem jest pomoc mieszkańcom w zaspokojeniu podstawowych potrzeb i przygotowanie do ponownej obrony na wypadek, gdyby Rosjanie wrócili – opowiadał reporterom „Kyiv Independent".

Ragnar pojechał do domu dwukrotnie. Najpierw, by zasadzić czosnek, później rukolę. Na razie nie zamierza wracać na stałe: – Tam wciąż jest niebezpiecznie. Nawet lasy są zaminowane. Lepiej odczekać.

Natasza, drobna blondynka, też nie planuje powrotu. Wciąż wraca myślami do bombardowań. – Bum, bum, fraaast – naśladuje odgłosy rosyjskich rakiet, żywo gestykulując. – Dlatego uciekliśmy. Jak długo można kulić się ze strachu?

Dziewczyna sięga po kolejny kubek, to jej dyżur – zmywa po wspólnym śniadaniu. Ragnar parzy kawę. To jego rytuał. Otwiera kapsułki, szwajcarskie dary, i wsypuje zawartość do dżezwy, miedzianej kawiarki. – Zapomnieli tylko wysłać ekspres – uśmiecha się pod nosem. – Ale kawa nie najgorsza, więc używam.

ANNA, MIESZKANKA OŚRODKA, która zaprzyjaźniła się z makarowską wspólnotą, smaży serniki: placki z białego sera. – Wprawdzie to wegańskie ekocentrum, ale jedzenie nabiału nie jest zakazane. Po prostu lepiej się z tym nie afiszować – wyjaśnia Ragnar. Mleko i biały ser, łagodny w smaku, kupuje od sąsiadki.

Przy tworzeniu Teplej Hory Andrij i jego dwaj wspólnicy postawili na wegańskie menu, zakaz spożywania alkoholu i palenia tytoniu na terenie ośrodka. Wobec uciekinierów są bardziej wyrozumiali. – Trafiają do nas różni ludzie, nie tylko ci zainteresowani zdrowym trybem życia czy zrównoważonym rozwojem – mówi Andrij. – Najważniejsze, by nasi goście trochę do siebie doszli, zanim zaczną szukać

Radomir niedawno dowiedział się o śmierci matki

rozwiązania na dłuższą metę. Ira wspiera ich terapeutycznie, a samo przebywanie wśród przyrody już bardzo pomaga.

Przyroda budzi się do życia. Tylko na szczycie, który góruje nad doliną, wciąż leży śnieg. Radomir i Lubawa wspinają się tam z kilkoma mieszkańcami oraz Irą, studentką architektury ze Lwowa, która do Teplej Hory przyjechała z ciekawości na weekend.

WIECZORNE SPOTKANIA to chwila na refleksję. Wczoraj mieszkańcy zastanawiali się nad znaczeniem ekologii dla nich i ich otoczenia. Dziś opowiadają, dlaczego tu są. Z miłości do gór, pada kilkukrotnie. Bo los tak chciał – to Natasza. Radomir, w przeciwieństwie do swojej opiekunki, nie wierzy w przeznaczenie: – Jestem tu przez chaos.

Słowo „wojna" nie pada ani razu, ale to nie oznacza, że jej nie ma. Są bomby, emocje, strata, tęsknota. Nie tylko za bezpieczeństwem, także za normalnym jedzeniem. – W Makarowie najgorsza była potrawka z kurczaka ze słoika i zielona kasza gryczana. Fuj! To już lepsze było surowe jajko, które do niej dodawaliśmy – Radomir wzdryga się na wspomnienie śluzowatej konsystencji kaszy.

Gdy zniknął prąd, makarowska wspólnota gotowała najpierw w domowym kominku. – Ale przyszli do nas ukraińscy żołnierze. Byli oburzeni, że zdradzamy dymem naszą lokalizację. Kazali przestać. Wtedy dostaliśmy te straszne słoiki z pomocy humanitarnej.

W piwnicy, w której spali w Makarowie podczas najgorszych bombardowań, były materace, karty i książki. – Natasza czytała nam na głos „Jeźdźców smoków z Pern". To planeta, spadają na nią śmiercionośne nici z Czerwonej Gwiazdy. Smoki i ludzie walczą przeciwko nim. Są różne rodzaje smoków: zielone, niebieskie, a nawet złote. Ludzie porozumiewają się z nimi za pomocą telepatii – w głosie Radomira czuć ekscytację. Opowieści o smokach z Pern jest sporo, na razie są przy trzecim tomie. W „Białym smoku" Lord Jaxom wraz z przyjaciółmi buduje dom dla Mistrza Harfiarzy.

NA ZAKARPACIU trudno teraz o dom. – Ceny są wysokie, cały czas się rozglądamy, ale krucho tu z mieszkaniami – ubolewa Andrij.

Dlatego Bohdan eksperymentował z białoruską technologią stawiania domów z kostek sprasowanej słomy. – Konstrukcja jest lekka i dobrze izoluje – wyjaśnia Andrij, wskazując na dotychczasowy rezultat: skrzynkę z płyty budowlanej, wypchaną słomą. Stoi pośrodku szopy, w której Bohdan majsterkował. Kto przejmie jego dzieło, gdy on pójdzie do wojska? Nie wiadomo.

Podobnie jest ze szklarnią. Ragnar zobowiązał się, że zajmie się konstrukcją, ale zadanie okazało się trudniejsze, niż sądził: – Stawiałem już raz szklarnię na własny użytek i się udało. Nie miałem doświadczenia, ale dałem radę, bo się zawziąłem.

Teraz brak mu motywacji. Ostatecznie przekazał zadanie innym mieszkańcom: – Znają się na tym lepiej. Poza tym wciąż nie ma sadzonek, skąd mam wiedzieć, czy to w ogóle ruszy? To stresujące. Nie mogę wszystkiego doglądać, bo za tydzień mnie tu nie będzie.

Wtedy minie miesiąc – maksymalny czas na regenerację w Teplej Horze. Andrij regularnie przeprowadza trudne rozmowy. Przypomina, że to tymczasowe miejsce, nie do stałego zamieszkania. – To trudne, bo ci ludzie nie mają do czego wracać – przyznaje. Dlatego rozważa wprowadzenie zmian: – Osoby zaangażowane w zarządzanie ośrodkiem mogłyby zostać dłużej. No i dzieci. Myślę, że dla nich też zrobimy wyjątek.

Teraz jest ich w Teplej Horze szóstka: czworo nastolatków i dwoje kilkulatków. Ich beztroski śmiech słychać nawet z oddali, razem z poszczekiwaniem psów i śpiewem ptaków. – Są pogodne. Dla nich ta wojna to przedstawienie, coś abstrakcyjnego – sądzi Natasza.

EKSPERCI WIDZĄ TO INACZEJ. Wysoki komisarz ONZ ds. uchodźców stwierdza, że wojna w Ukrainie ma druzgocący wpływ na 7,5 mln dzieci w tym kraju: „Potrzeby humanitarne rosną z godziny na godzinę. ↦

↦ Dzieci nadal są zabijane, doznają obrażeń i są straumatyzowane wszechobecną przemocą. Rodziny są przerażone, desperacko potrzebują bezpieczeństwa".

Z kolei Aparna Mishra Tac, profesorka na Wydziale Edukacji kanadyjskiego Uniwersytetu w Yorku, wskazuje na portalu The Conversation, że dzieci są często ignorowane w trakcie konfliktów: „Mimo ich wojennych doświadczeń, ich głosy są ledwo słyszalne. Tymczasem często stanowią jedyne źródło informacji o tym, co stało się z ich rodzicami, społecznościami i ojczyznami".

W TEPLEJ HORZE język rosyjski miesza się z ukraińskim. – Nie mówi się *priviet*, tylko *pryvit*! *Priviet* to po rosyjsku! – mówi z naciskiem syn Nataszy. Dłuższe włosy wpadają mu do oczu, gdy walczy z miską kaszy gryczanej, którą matka ugotowała mu na śniadanie.

– Trudno się przestawić. Od zawsze myślę po rosyjsku, nawet jak mówię po ukraińsku i uczę w tym języku – stwierdza Tati, przed inwazją nauczycielka ekspresji i deklamacji w prywatnej szkole w Charkowie, teraz home menedżerka w Teplej Horze. W rozmowach z mężem, wojskowym lekarzem, Tati też często przechodzi na rosyjski. – Jego ukraiński jest znacznie gorszy niż mój rosyjski – wzrusza ramionami i śmieje się serdecznie.

Dochodzi godzina 23. Tati nastawia ostatnie pranie w domku, który służy za łazienkę, toaletę, pralnię i saunę jednocześnie. Opowiada o swoim życiu przed inwazją. – Bardzo dużo podróżowałam. Po Ukrainie, bo lubię mój kraj. Jest tu tyle do odkrycia: różne mentalności, dialekty. Zwiedziłam 15 z 24 obwodów. Trochę mi jeszcze zostało – Tati znów się śmieje.

Za kilka dni ma wyruszyć na objazd po różnych ekoinicjatywach w Ukrainie: – Jestem ciekawa, jak organizują się inne miejsca. Pojadę, zobaczę i zdam raport!

Właśnie minął jej miesiąc w Teplej Horze: – Nadszedł czas na nowy rozdział. Ale czuję, że teraz moje miejsce jest tutaj, więc prawdopodobnie wrócę. © ULA IDZIKOWSKA

Memy też są bronią

JOHN SPENCER, ANALITYK WOJSKOWY, EMERYTOWANY MAJOR ARMII USA:

Symbole i legendy są tym, o co ludzie walczą. Ukraińcy dali Rosji szkołę tego, co nazywamy wojną informacyjną.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Porozmawiajmy o sytuacji na froncie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Brytyjski wywiad twierdzi, że – pomijając okolice Charkowa – nastał impas bez wielkich postępów po żadnej ze stron. Jak długo może on trwać?

JOHN SPENCER: Niedługo. Gdy spojrzy się na mapę, widać, że ważne nie jest nawet to, jak bardzo Ukraińcy odepchnęli Rosjan od Charkowa, lecz jak daleko mogą przesunąć do przodu własną artylerię. Teraz może ona ostrzeliwać główną drogę, którą jadą rosyjskie konwoje zaopatrzeniowe z Biełgorodu na front pod Iziumem. A to bardzo ważne. Tamtejszy rosyjski przyczółek jest prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznym wyłomem na wschodnim froncie. Tymczasem dzięki postępom Ukraińców pod Charkowem siły rosyjskie wokół Iziumu potencjalnie mogą znaleźć się w okrążeniu. Nawet nie w okrążeniu przez ukraińskie wojsko, ale przez siłę jego ognia. Jeśli ukraińska artyleria będzie w stanie ostrzeliwać główne drogi do Iziumu, to będzie ogromne zwycięstwo: kontrola pola bitwy przez ukraińską siłę ognia. Rosjanie znajdą się w kryzysowej sytuacji. A jeśli oni nie idą do przodu, to znaczy, że przegrywają.

Co dalej?

Na wojnie czas jest decydujący. Pod Kijowem Rosjanom zabrakło czasu, dlatego zostali powstrzymani. Teraz Ukraińcy potrzebują czasu, żeby dostarczyć na front broń, którą wszyscy im wysyłają. Rosjanie o tym wiedzą, dlatego sądzę, że niedługo wyprowadzą mocne natarcie, zapewne przy pomocy ok. 15 batalionowych grup taktycznych zgromadzonych teraz w Biełgorodzie. Wykorzystają je do natarcia, ale to może przynieść odwrotny skutek.

Czy fakt, że kontrofensywy Ukraińców są jeszcze ograniczone, wynika z tego, że nie mają oni większych możliwości, czy też czekają, aż Rosjanie się wykrwawią?

Z jednego i drugiego. Ukraińcy prowadzą obronę manewrową. Front we wschodniej Ukrainie ma 900 km długości i nikt nie ma dość żołnierzy, by obstawić go w całości. Ale teraz Ukraińcy wprowadzają nowe jednostki. Szkolą świeże bataliony, które trafiają na ten front. Im dłużej to wszystko będzie trwało, tym więcej sił i uzbrojenia Ukraina będzie w stanie skupić w celu przeprowadzenia kontrataków. Ale jednocześnie utrzymują pozycje obronne, bo obrona jest od stuleci najskuteczniejszą formą walki. Obrońca zawsze jest silniejszy, jeśli jest w stanie zająć właściwą pozycję i ma wsparcie ogniowe. Artyleria wciąż jest królową pola bitwy.

Czytałem, że Ukraina stosuje niekonwencjonalne podejście do artylerii: zamiast rozstawiać ją w tradycyjnych bateriach, stosuje „taktykę roju" i koordynuje działania pojedynczych dział dzięki łączności satelitarnej, np. sieci satelitów Starlink. Jak ważna na tej wojnie jest nowoczesna technologia?

Bardzo. Gdy atakujesz jakiś kraj, próbujesz najpierw wyeliminować takie rzeczy jak sieci komunikacyjne, by armia nie mogła się komunikować, nie mówiąc o łączności z resztą świata. Tymczasem nawet podczas oblężenia Mariupola Ukraińcy nigdy nie stracili łączności: wykorzystując Starlink, nadawali na żywo z huty Azowstal. Ale istotne są też inne elementy, jak radary kontrbateryjne, które dostała Ukraina. Mogą namierzyć miejsce, z którego strzela rosyjska artyleria i pokierować ogniem artylerii ukraińskiej.

Od początku inwazji nie było chyba minuty, aby nad Morzem Czarnym czy wzdłuż granic Rosji nie latały

MATERIAŁY PRASOWE BIURA PREZYDENTA UKRAINY

Wołodymyr Zełenski na targu pod Kijowem, wkrótce po odwrocie Rosjan spod ukraińskiej stolicy. 4 kwietnia 2022 r.

zwiadowcze maszyny NATO. Nie sądzę, aby pasywnie przyglądały się sytuacji.

Zaskoczenie i zwiad są kluczowe w całej historii wojen. Jeśli wiesz, co zamierza wróg, łatwiej jest mu przeszkodzić. Od początku inwazji dostajemy precyzyjne informacje brytyjskiego i amerykańskiego wywiadu, podające choćby dokładną liczbę rosyjskich batalionowych grup taktycznych. Wiemy, ile wojsk trafia na front każdego dnia. To niesamowite i bardzo użyteczne dla Ukraińców, którzy mogą skupiać się na kluczowych punktach na polu bitwy.

9 maja prezydent Joe Biden podpisał Lend-Lease Act. Czy to zmienia obraz wojny?

To, w połączeniu z ustawą o przekazaniu Ukrainie wsparcia o wartości co najmniej 33 mld dolarów, zmienia bardzo wiele. Lend-Lease Act – nawiązujący do tego, który pozwolił Ameryce zaopatrywać sojuszników podczas II wojny światowej – umożliwia przekazywanie sprzętu i zaopatrzenia w zasadzie w sposób nieograniczony, bez biurokracji. To pozwoli zbudować zwycięską ukraińską armię i pozwoli też wesprzeć każde państwo, które zdecyduje się pomóc Ukrainie. To wiele zmienia zwłaszcza w kontekście faktu, że udało się zbudować koalicję kilkudziesięciu państw, które wspólnie pracują nad wsparciem dla Ukrainy.

Jaki sprzęt jest najważniejszy?

Artyleria dalekiego zasięgu, systemy rakietowe. To dałoby ukraińskiej armii ogromną przewagę. Przydałyby się im też większe i lepiej uzbrojone drony, jak Reaper czy Grey Eagle. Potrzebują również systemów przeciwlotniczych, takich jak S300, oraz więcej pocisków przeciwokrętowych. I oczywiście czołgów, bo one nadal są kluczowym elementem współczesnego pola bitwy.

Na łamach „Washington Post" przypominał Pan, że na wojnie zabijają nie tylko kule.

Choroby zabiły na wojnach więcej ludzi niż pociski. Przed stworzeniem współczesnej medycyny choroby pochłaniały nawet 80 proc. wszystkich ofiar wojny. Nawet brudne ręce i zanieczyszczona woda mogą zabić wielu ludzi. Dlatego na froncie ważne są też środki higieny, od środków do dezynfekcji dłoni po leki, jak antybiotyki zwalczające infekcje towarzyszące ranom. Ukraińcy mają dostęp do szpitali, ale nie wszędzie. To kluczowy problem, o którym wielu ludzi nie myśli.

Od praktycznie pierwszego dnia doradza Pan Ukraińcom, jak prowadzić walkę w miastach. To Pana specjalność. Ale czy teraz, kiedy mamy do czynienia z frontem liczącym niemal tysiąc kilometrów, wojna miejska nie straciła na znaczeniu?

Zdecydowanie nie. Miasta nadal są głównymi celami taktycznymi i operacyjnymi, dlatego ich utrzymanie jest krytycznie istotne dla przetrwania Ukrainy i dla wygranej w tej wojnie. Oczywiście walki toczą się też poza miastami, ale to one są nadal najważniejszymi celami.

Teraz w wielu miejscach to Ukraińcy będą musieli atakować i próbować odbijać swoje miasta z rąk Rosjan. Jak trudne będzie to zadanie?

Jak mówiłem, obrońca zawsze ma przewagę. Odbijanie miasta z rąk dobrego przeciwnika jest bardzo trudne. A z rąk przeciwnika złamanego, niezmotywowanego i niewyszkolonego? Nieco łatwiejsze. Ukraińcy będą zapewne odbijać miasta bez zmasowanych ataków na cywilne obiekty. Nie będą stosowali rakietowego terroryzmu, który widzieliśmy w wykonaniu Rosjan, bo to ich ludzie i ich miasta. Unikanie niewinnych ofiar, ochrona cywilnej infrastruktury, ważnych kulturowo obiektów to zawsze jedna z największych trudności w walkach miejskich, zwłaszcza jeśli atakujesz. Kontekst zawsze jest ważny: kto jest na terenie miejskim, jak długo tam był, jakie są jego pozycje obronne. Mam nadzieję, że Rosjanie nie czytali mojego podręcznika o tym, jak bronić miasta. Jestem przekonany, że Ukraińcy dadzą radę.

Mówiąc o motywacji: po obu stronach mamy wielu ludzi, którzy jeszcze trzy miesiące temu nie mieli nic wspólnego z wojną. Po stronie rosyjskiej poborowych, po ukraińskiej ludzi, którzy stanęli w obronie ojczyzny. Jak tacy ludzie odnajdują się na wojnie?

Od stuleci wiemy, że wola walki jest ważniejsza od tego, jak wielka jest twoja armia na papierze. Jeśli nie masz o co walczyć, to twoja sytuacja jest zła, zanim jeszcze padnie pierwszy strzał. Widzieliśmy, że Rosjanie nie mówili swoim żołnierzom, gdzie się udają, nie mówili im, o co walczą. Widzieliśmy rosyjskie jednostki, które odmawiały walki. Z drugiej strony mamy Ukraińców, którzy zaskoczyli cały świat wolą walki o swój kraj, o swoją sprawę, za swojego prezydenta, za swoje rodziny, za siebie nawzajem. To potężniejsze od jakiejkolwiek broni. Kluczowe dla ukraińskich sukcesów są motywacja i morale – to, co sprawia, że prą dalej bez względu na to, czy to cywile rzucający koktajlami Mołotowa, czy żołnierze, którzy są na froncie od ośmiu lat, od 2014 r.

Nie jest Pan teoretykiem, ma Pan duże doświadczenie z Iraku. Jak walka miejska wygląda z perspektywy żołnierza?

↦

Miasto jest nazywane „wielkim zrównywaczem", bo ogranicza możliwości wykorzystania niektórych broni. Byłem dowódcą plutonu i dowódcą kompanii, i wiem, że z perspektywy żołnierza miejskie środowisko jest przytłaczające. Widzisz wokół siebie okna, w każdym z nich może być snajper. Masz cywilów, których powinieneś chronić. Jako żołnierz przez 25 lat uczyłem się, jak kontrolować środowisko wokół mnie, jak kontrolować moich ludzi i to, co robimy. Kontrola jest elementem nieodzownym: sprawiającym, że żołnierz jest w stanie walczyć. Kiedy trafiasz w gęsto zabudowany teren, czujesz się, jakbyś stracił znaczną część tej kontroli, bo nie wiesz, gdzie jest wróg.

W opisie Pańskiej najnowszej książki czytamy, że charakter współczesnej wojny się zmienił, że „ściany" między żołnierzami na wojnie a ich rodzinami nie istnieją. To, co dziś widzimy na Ukrainie, to wojna w epoce mediów społecznościowych. Żołnierze zapewne są w stałym kontakcie z rodzinami, dostają informacje o tym, co dzieje się i na frontach, i na zapleczu. Jak to na nich wpływa?

Wpływa na fundamentalnym poziomie. W każdej wojnie biorą udział trzy grupy: wojsko, politycy i ludność po obu stronach. Fakt, że dziś wszyscy jesteśmy stale ze sobą połączeni, wpływa na wszystkie trzy grupy. Żołnierze są w stałym kontakcie z rodzinami, ale mają też dostęp do informacji z całego świata. Prezydent ma możliwość rozmawiania z każdym żołnierzem na polu bitwy, budowania woli walki. Ale również kiedy coś idzie nie tak, informacje rozchodzą się błyskawicznie. Wreszcie, stała komunikacja pozwala żyć historiom takim jak Wyspa Wężowa, Mariupol, jak nagrania ukraińskiego prezydenta, jak jego słynna odpowiedź, gdy w pierwszych dniach inwazji kraje zachodnie zaoferowały mu możliwość ewakuacji z Kijowa: „Potrzebuję amunicji, a nie podwózki". Te historie są potężniejsze od pocisków.

JONATHAN BETZ / MATERIAŁY PRASOWE

JOHN SPENCER, emerytowany major armii USA, jest jednym z czołowych specjalistów od prowadzenia wojny w miastach. Kieruje centrum badań nad wojną miejską w Madison Policy Forum. Od początku rosyjskiej inwazji doradza za pośrednictwem mediów społecznościowych i innych kanałów ukraińskim obrońcom, jak skutecznie odpierać rosyjskie ataki.

Jak ważne na wojnie są symbole?

Symbole, opowieści i legendy są tym, o co ludzie walczą. Jako ludzie, żeby walczyć, musimy przezwyciężyć strach, smutek i ból. Symbole są właśnie tym, o co walczymy. Ukraina dała Rosji mistrzowską szkołę tego, co nazywamy wojną informacyjną.

Memy o wojnie też są bronią?

Każda wojna to polityka prowadzona innymi środkami. Nie udałoby się wywalczyć poparcia kilkudziesięciu krajów dla Ukrainy bez precyzyjnych i bieżących informacji pokazujących, że Ukraińcy walczą o swój kraj, o demokrację, o Europę. To niezwykle istotne. To, co dzieje się w mediach społecznościowych, bezpośrednio przekłada się na takie wsparcie.

Rodziny wielu ukraińskich żołnierzy wyjechały z kraju, m.in. do Polski. Jak to wpływa na morale żołnierzy?

Każdy żołnierz walczy o to, co kocha. O to, na kim lub na czym mu zależy. Świadomość, że w takim momencie twoja rodzina jest bezpieczna, zrzuca z ciebie ogromne brzemię. Bez tego walka byłaby trudniejsza.

Czasem pojawiają się obawy, że Putin mógłby wydać rozkaz wykorzystania taktycznej broni jądrowej. Co by to zmieniło?

Nie sądzę, żeby ktokolwiek był w stanie wyobrazić sobie scenariusz, w którym coś takiego kończy się dobrze dla Rosji. Jeśli raz wykorzysta się taktyczną broń jądrową, nikt nie wie, co wydarzy się potem. Sądzę, że USA rysuje tutaj czerwoną linię. Nie mówią tego otwarcie, ale wykorzystanie broni jądrowej czy jakiejkolwiek innej broni masowego rażenia przeciwko Ukrainie oznaczałoby, że inne kraje wejdą do tej wojny, aby walczyć z globalnym jądrowym terroryzmem. Wykorzystanie taktycznej broni jądrowej przez Rosję nie byłoby pokazem jej siły, lecz oznaką porażki.

Czy Ukraina wygra tę wojnę?

Nie mam wątpliwości, że ją wygra. Zapewne zawsze będziemy mieli do czynienia z konfliktem na granicy Ukrainy i Rosji, bo Rosja nie uznaje prawa Ukrainy do istnienia. Ale sądzę, że obecna agresja wkrótce zostanie przezwyciężona. To prawdopodobnie kwestia miesięcy. Ukraina już wygrała na wielu poziomach. Świat także zwycięża, bo Rosja słabnie z każdym dniem, w którym jej siły pozostają na Ukrainie.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wywiad oddano do druku 20 maja

Pomoc dla walczącej Ukrainy

CZYTELNICY, którzy chcieliby wesprzeć obywateli Ukrainy – tych, którzy zostali w kraju i organizują jego obronę oraz troszczą się na miejscu o cierpiących – mogą to uczynić pomagając Fundacji, którą utworzyły środowiska polskich i ukraińskich wolontariuszy z Drohobycza i Krakowa (w jej zarządzie jest m.in. Wojciech Pięciak, kierownik działu zagranicznego „TP", a od 2014 r. także wolontariusz i organizator pomocy dla Ukrainy):
Fundacja S.O.S. Ukraina. Numer KRS: 0000962758. Adres: ul. Wspólna 2G, 35-205, Rzeszów. Numery kont (Bank PKO BP):

Złotówki: 28 1020 4391 0000 6102 0217 8408 **Euro:** PL 57 1020 4391 0000 6802 0217 8416
Dolary: PL 62 1020 4391 0000 6602 0217 8424 **Funty:** PL 67 1020 4391 0000 6402 0217 8432

Tytuł przelewu: **Czytelnicy „TP" dla Ukrainy**

STR / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Delegacja Naddniestrza na pochodzie w Moskwie, 9 maja 2022 r.

Naddniestrzańska beczka prochu

PIOTR OLEKSY

Czy mieszkańcy parapaństwa, które dotąd funkcjonowało spokojnie między Mołdawią a Ukrainą, zaryzykują życiem w walce przeciw Ukraińcom? I czy w razie rosyjskiej agresji Mołdawianie będą się bronić?

W Gagauzji nikt nie będzie umierać za *russkij mir* – powiedział mi w 2015 r. Michaił Sirkeli. Było to kilkanaście miesięcy po aneksji Krymu i rozpoczęciu przez Rosję wojny w Donbasie, a także po referendum konsultacyjnym, w którym 97 proc. Gagauzów opowiedziało się za integracją z Unią Celną, budowaną przez Rosję.

Gdy Sirkeli, gagauski działacz i publicysta, mówił te słowa, jasnym było, że putinowski projekt Noworosji, który miał objąć nie tylko zajętą już część Donbasu, lecz całą wschodnią i południową Ukrainę, spalił na panewce.

Na południu Mołdawii, gdzie leży Autonomia Gagauska, obserwowano te wydarzenia z ogromnym zainteresowaniem. Gagauzi to niewielki naród, liczący ok. 135 tys. ludzi, mówiący językiem zbliżonym do tureckiego, a przy tym prawosławny i prorosyjski. Politycy prokremlowscy mogą zawsze liczyć tu na masowe poparcie. Obecna szefowa Autonomii – Irina Vlah, pełniąca funkcję baszkana (odpowiednik prezydenta) – zbudowała swoją pozycję w dużej mierze dzięki kilku zdjęciom z Putinem.

Sirkeli przekonywał mnie jednak, że o ile dla jego rodaków język i kultura rosyjska są fundamentami tożsamości, to jednocześnie są oni pragmatyczni: nie będą pchać się w niepewne awantury i rozumieją, że to Zachód jest źródłem pieniędzy, których tak potrzebują. Zwłaszcza wspomniane na początku referendum tak wystraszyło Unię Europejską, że zaczęła pracować nad zmiękczeniem gagauskiej prorosyjskości – głównie przy pomocy obfitego wsparcia finansowego.

Awantura na 9 maja

W ostatnich latach Sirkeli na swoim kanale YouTube starał się regularnie tłumaczyć rosyjskojęzycznym mieszkańcom Mołdawii niuanse lokalnej i światowej polityki. Z uporem maniaka próbował ich przekonać, że im bardziej ktoś odwołuje się do pamięci i tożsamości, tym bardziej podejrzane są jego cele i interesy.

Przed 9 maja 2022 r. musiał zwiększyć swą aktywność. Zaraz po tym, jak mołdawski parlament zakazał używania „symboli wojennej agresji" – do których zaliczono używane przez rosyjską armię litery „Z" i „V" oraz czarno-pomarańczową tzw. wstążkę gieorgijewską – władze Autonomii Gagauskiej wprowadziły lokalne prawo, dopuszczające stosowanie tej ostatniej.

Ustawodawstwo autonomiczne nie może przeciwstawiać się państwowemu. Od aspektu prawnego ważniejsze było jednak, że na 9 maja – obchodzonego tu, podobnie jak w Rosji, jako Dzień Zwycięstwa – w regionie szykuje się poważna awantura. W miejscach publicznych w Gagauzji zaczęły pojawiać się rysunki przedstawiające zakazane symbole, a miejscowi politycy wzywali lokalną policję do nieprzestrzegania prawa państwowego w tej kwestii. Twierdzili, że byłby to zamach na gagauskie dziedzictwo.

Sirkelemu pozostało wytrwałe tłumaczenie, że wstążka jako symbol pojawiła się niedawno, a o gagauskim dziedzictwie tym trudniej mówić, że podczas II wojny światowej znakomita większość ich przodków walczyła w szeregach armii rumuńskiej, która była sojusznikiem III Rzeszy. W większości byli do niej wcielani pod przymusem, co jest jedną z przyczyn silnej rumunofobii w tym regionie.

Jednak hasło Pobiedy jest tu bardziej dwuznaczne, niż mogłoby się wydawać.

Strzały znikąd

Niepokój w Mołdawii przed 9 maja wzmagały odgłosy eksplozji, jakie miały miejsce na lewym brzegu Dniestru – czyli na terenie nieuznanego, separatystycznego, lecz istniejącego faktycznie już 30 lat parapaństwa: niespełna półmilionowego Naddniestrza.

Jak zwykle w tej części świata wyglądało to trochę śmiesznie, a trochę strasznie. Najpierw, w wielkanocny poniedziałek, przed opustoszałą siedzibę Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego – czyli lokalnej bezpieki – zajechał mikrobus, z którego wysiadło dwóch młodych mężczyzn z ręczną bronią przeciwpancerną. Wystrzelili kilka pocisków w stronę budynku, po czym odjechali w nieznanym kierunku. Wszystko zostało nagrane ↦

↦ przez kamerę monitoringu. Nikt nie ucierpiał. Nikt nie wie, kim byli.

Wkrótce doszło do kolejnych dziwnych wydarzeń: ktoś wysadził wieżę telekomunikacyjną niedaleko miasta Grigoropol, a na nieczynnym lotnisku wojskowym miały miejsce tajemnicze eksplozje.

Władze Naddniestrza stwierdziły, że sprawców należy szukać w Ukrainie. Maia Sandu, prezydentka Mołdawii – od której Naddniestrze się kiedyś odłączyło, z pomocą rosyjskich żołnierzy – oznajmiła, że to efekt tarć wewnętrznych w samym Naddniestrzu. Z kolei wśród ekspertów umacniało się przekonanie, że to działania rosyjskich służb, których celem jest wciągnięcie Naddniestrza, a może i całej Mołdawii, w wojnę.

Doniesienia zachodnich mediów, które powtarzały za ukraińskim wywiadem, że na 9 maja Rosja szykuje agresję przeciw Mołdawii, powodowały, iż „strasznie" zaczęło dominować nad „śmiesznie".

Pod parasolem Kremla

Gdy 24 lutego Rosja zaczęła inwazję przeciw Ukrainie, ludzie trzymający władzę w Naddniestrzu zapewne zrozumieli, że kończy się świat, w którym żyli jak pączki w maśle.

Ta separatystyczna republika powstała formalnie w imię obrony sowieckiej rzeczywistości oraz rosyjskiej kultury i języka. W to też wierzyła duża część jej mieszkańców. Jednocześnie parapaństwowość służyła jako gwarant rozwoju biznesowego lokalnej elity. Ten mechanizm trwał przez 30 lat, choć zmieniła się i elita, i źródła dochodów.

W 2016 r. pełną władzę w Naddniestrzu przejęli oligarchowie związani z firmą Scheriff. W tym samym czasie region, wraz z całą Mołdawią, został objęty „Umową o pogłębionej i kompleksowej strefie wolnego handlu" z Unią Europejską. Scheriff i cała republika zaczęła zarabiać głównie na handlu z Unią, a także z Mołdawią i Ukrainą. Ta ostatnia była kluczowa dla reeksportu towarów, co jest ważnym źródłem dochodu i często przykrywką dla przemytu.

W przeddzień rosyjskiej inwazji 37 proc. eksportu z Naddniestrza trafiało do Unii, 28 proc. do Mołdawii, 20 proc. do Ukrainy, a jedynie 7 proc. do kontrolowanej przez Rosję Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej. Jednocześnie to Rosja dostarczała gaz, za który Naddniestrze nie płaci, a także gwarantowała parasole ochronne: polityczny i militarny (w postaci półtora tysiąca stacjonujących tu rosyjskich żołnierzy).

Mołdawia jest całkowicie zależna od gazu z Rosji, na bazie którego produkuje się tu także energię elektryczną.

Ze względu na ten splot interesów, rządzący Naddniestrzem starają się nadal zachować dystans wobec wojny. Od początku podkreślają swoje pokojowe nastawienie i pomoc, którą oferowali uchodźcom, dopóki Ukraina nie zamknęła tego odcinka swej granicy. W społeczeństwie, znanym z silnej prorosyjskości, nie pojawiły się sygnały wsparcia dla agresji. Dominował strach przed wojną.

Jednocześnie Ukrainę coraz bardziej niepokoił fakt, że na południowo-wschodniej granicy, w pobliżu Odessy, Rosja ma swoje ważne aktywa.

Bastion czy wydmuszka?

Jak do tej pory, wszelkie doniesienia o agresywnych działaniach ze strony rosyjskich sił stacjonujących w Naddniestrzu były dementowane zarówno przez władze Mołdawii, jak i lokalne biuro OBWE. Jednak cały czas wybrzmiewa pytanie, w jaki sposób siła ta zostałaby wykorzystana w sytuacji, gdyby walki przeniosły się bliżej Odessy.

Mimo wszystko, siła ta jest mocno demonizowana. Wartość bojowa tamtejszych jednostek stoi pod dużym znakiem zapytania. Po pierwsze, dysponują raczej przestarzałym sprzętem. Po drugie, nie ma jasności w kwestii ich wyszkolenia. Po trzecie, niewiadomą są ich morale i gotowość do walki. Około 70 proc. tych oddziałów stanowią bowiem miejscowi mężczyźni, zwykle urodzeni i wychowani w Naddniestrzu. Dla nich Ukraina i Mołdawia są państwami dobrze znanymi. Rosję darzą ogromnym sentymentem, ale czy starczy im go, by ryzykować życiem w walce przeciw Ukrainie? Odpowiedzi na te pytania szuka też zapewne rosyjskie dowództwo.

W tym momencie Naddniestrze mogłoby posłużyć głównie jako zaplecze logistyczne (zaopatrzenie w amunicję i paliwo). Zwiększenie jego wartości bojowej do tego stopnia, by zaatakować Ukrainę od południowego zachodu, wymagałoby znaczącego wsparcia stacjonujących tam jednostek. Na razie nie jest to możliwe: ukraińska armia nie pozwoli ani na takie wsparcie drogą lotniczą, ani na desant na brzegu Morza Czarnego.

Powrót geopolityki

Prawdopodobnie dlatego pojawiły się pogłoski o możliwej rosyjskiej agresji na Mołdawię. Po pierwsze, Kreml na gwałt potrzebuje sukcesu. Przejęcie władzy nad niewielką, 2,5-milionową Mołdawią – państwem graniczącym z NATO – byłoby przedstawione jako taki sukces. Po drugie, objęcie kontroli nad Kiszyniowem i w ślad za tym zmiana nastawienia Mołdawii wobec wojny zmieniłaby strategiczną układankę: znalazłby się sposób na wzmocnienie wojsk w Naddniestrzu.

Jak do tej pory rosyjska agresja przeciw Ukrainie podważyła politykę mołdawskiego obozu władzy, nie zachwiała jednak jej wartościami. Od lipca 2021 r. w kraju tym rządzi samodzielnie proeuropejska Partia Działania i Aktywności, której faktyczną liderką jest prezydentka Maia Sandu, sprawująca ten urząd od listopada 2020 r.

W mołdawskiej polityce przez 30 lat istnienia państwa najważniejsze były spory o tożsamość narodową i geopolitykę. Sandu i jej partia dokonały w tej kwestii przełomu: w centrum uwagi postawiły kwestie uczciwości, rozwoju gospodarczego i budowy silnego społeczeństwa obywatelskiego. Zmęczeni kolejnymi reżimami kleptokratycznymi, które wymachiwały europejską lub rosyjską flagą, Mołdawianie oddali władzę w ich ręce.

Tymczasem teraz, jakby na przekór, geopolityka i idące za nią spory symboliczne powróciły z wielką siłą.

Mnogość kryzysów

Poważne problemy zaczęły się w Mołdawii już jesienią 2021 r., gdy Gazprom – w związku z końcem umowy na dostawy gazu – zażądał znacznie wyższej stawki w nowym kontrakcie. Mołdawia jest w stu procentach uzależniona od rosyjskiego surowca. A nawet więcej niż stu, bo na jego bazie wytwarza się też energię elektryczną. Nowa, wynegocjowana w ostatniej chwili umowa wydawała się bardziej korzystna od początkowych żądań Gazpromu, jednak i tak nadszarpnęła budżet. Wpływ na to miał również

wzrost cen gazu na światowych rynkach, powodowany wojną.

Jej wybuch postawił zaś Mołdawię przed kolejnym ogromnym wyzwaniem: państwo to przyjęło proporcjonalnie najwięcej uchodźców z Ukrainy (jeśli przeliczymy ich liczbę przez liczbę mieszkańców). Co prawda większość Ukraińców traktuje Mołdawię jako kraj tranzytowy, jednak wielu zostawało tam przynajmniej jakiś czas, a duża grupa zdecydowała się zostać na dłużej.

Tymczasem pomoc z Zachodu, choć obficie oferowana, nadchodzi powoli. W minionym tygodniu, 18 maja, przewodniczący parlamentu Igor Grosu zdecydował się nawet publicznie poskarżyć na ONZ, stwierdzając, że wśród 92 tys. uchodźców, którzy pozostali w kraju, obiecane wsparcie uzyskało jedynie 30 tys. osób. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja mołdawskich rodzin, które przyjęły uchodźców pod swój dach. Kolejnym problemem, przytłaczającym, jest zaś wzrost cen paliw – jedna z przyczyn rosnącej inflacji.

Mołdawskie władze mierzą się więc z dwoma kryzysami jednocześnie – w sferze ekonomicznej i bezpieczeństwa. Dlatego popierając Ukrainę w sferze politycznej i symbolicznej, Mołdawia nie mogła włączyć się do wszystkich sankcji nakładanych na Rosję.

Maia Sandu i rząd robią też wszystko, by nie wzbudzać paniki w społeczeństwie. Powtarzają, że dziś nie ma sygnałów o zagrożeniu. Jednocześnie przyznają, że mołdawska armia jest w opłakanym stanie: liczy niecałe 5 tys. żołnierzy, zwykle fatalnie wyposażonych. W kuluarach mówi się zresztą, że w razie agresji sami Mołdawianie nie będą bronić swego kraju, lecz tłumnie ruszą na Zachód, gdzie dołączą do swych rodzin, żyjących w Unii od lat.

Przekleństwo neutralności

Rozważania o możliwej rosyjskiej agresji stawiają w trudnym położeniu także Rumunię. Nie tylko dlatego, że to państwo sąsiednie i NATO-wskie, ale przede wszystkim ze względu na fakt, iż według tamtejszej narracji Mołdawia to historycznie rumuńska ziemia, a zamieszkująca ją ludność rumuńskojęzyczna jest częścią narodu rumuńskiego.

W sytuacji wojennej na niewiele się to jednak zda: Mołdawia jest formalnie neutralna i państwo członkowskie NATO nie będzie mogło zaangażować się w jej obronę. W przestrzeni publicznej pojawiają się sugestie, że Rumunia mogłaby profilaktycznie wysłać tam swe wojsko – formalnie w ramach wspólnych ćwiczeń – aby w ten sposób uniemożliwić Rosji decyzję o wtargnięciu. Realnie jednak nikt w Bukareszcie nie bierze tego scenariusza pod uwagę. NATO nie zdecyduje się na krok, który Rosja potraktowałaby jako naruszenie zasady neutralności.

Przedstawiciele rumuńskiego rządu oficjalnie przyznali zresztą, że w przypadku rosyjskiej agresji przeciw Mołdawii armia rumuńska nie będzie mogła zaangażować się w pomoc. Pozostanie jedynie szeroko otworzyć drzwi dla potencjalnych uchodźców, z których duża część już teraz ma rumuńskie obywatelstwo.

Podgrzewanie atmosfery

Wbrew obawom 9 maja przebiegł w Mołdawii dość spokojnie. Policja wręczyła 103 mandaty za posługiwanie się wstążką gieorgijewską. Wśród ukaranych znaleźli się czołowi politycy partii prorosyjskich. Niektórzy zapowiadają skargi do europejskich trybunałów. Gagauska baszkan Irina Vlah, która gra na trzy fronty – lawirując między Rosją, Turcją i Unią Europejską – nie zdecydowała się założyć wstążki, choć wcześniej podpisała lokalne prawo zezwalające na jej użycie. Jak mówił Sirkeli: w Gagauzji za *russkij mir* nikt umierać nie będzie.

Rosja nie ma obecnie narzędzi, by wzbudzić w Gagauzji zamieszki i niepokoje na tle symbolicznym. Możliwości wciągnięcia Naddniestrza w wojnę również są ograniczone. Choć tajemnicze zamachy nie ustają: 14 maja ktoś obrzucił koktajlami Mołotowa wojskowe składy paliwa. Atmosfera strachu jest podgrzewana, by wykorzystać ją w odpowiednim momencie.

Na końcu gazociągu

Nie oznacza to jednak, że Kreml nie ma wobec Mołdawii narzędzi nacisku.

Zaskakujące wyniki ostatnich sondaży pokazują, że rosyjska agresja nie spowodowała konsolidacji społeczeństwa wobec prozachodniego obozu władzy. Poparcie dla partii rządzącej spada, co wynika głównie z fatalnej sytuacji gospodarczej oraz z faktu, iż tempo reform jest mniejsze, niż oczekiwano.

Tymczasem Moskwa ma asa w rękawie: jesienią odkopano „historyczny" dług Mołdawii wobec Gazpromu i zażądano jego spłaty. Audytu zadłużenia, którego domagał się Kiszyniów, nie przeprowadzono w terminie, więc rosyjski dostawca formalnie ma prawo zakręcić kurek. A że gazociąg ten nie obsługuje już dalszych odbiorców na Bałkanach, jest to wykonalne i technicznie, i politycznie.

Pogłębianie się kryzysu gospodarczego będzie wyzwaniem dla Mai Sandu i jej partii. A także dla wspierającego ich Zachodu. Tutaj zarówno gospodarka, jak i symbolika okazują się mieć znaczenie strategiczne.

© PIOTR OLEKSY

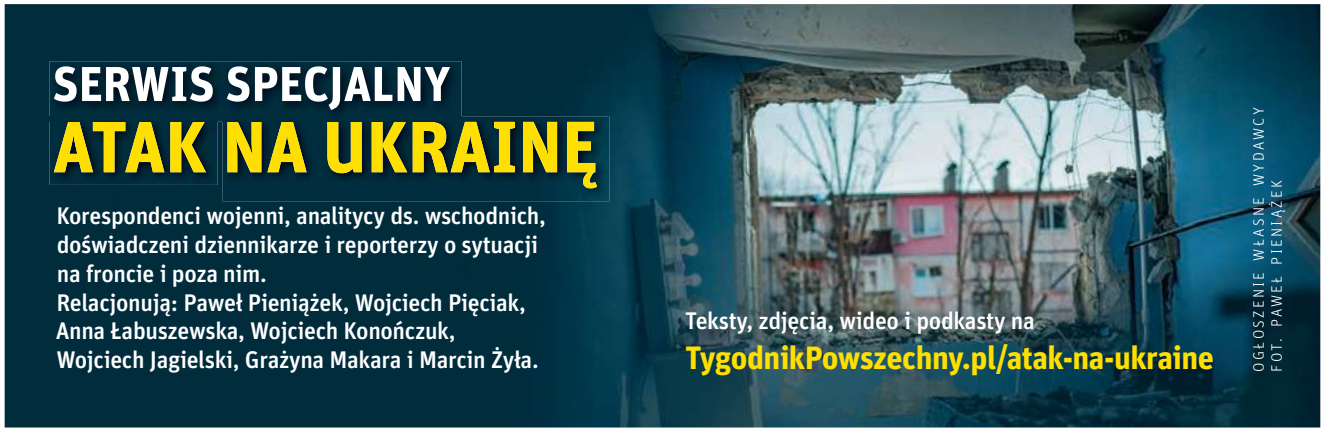

HISTORIA

Plakat propagandowy z czasów stalinowskich

TAKA CHOLERA

Stanisław Twardowski prowadził swoją osobistą wojnę najpierw z Niemcami, a potem z komunistami. Byłaby to ballada sowizdrzalska, gdyby nie jej finał.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Jego wyczyny mogłyby stać się legendą. Gdy zdawał się wszechobecny i nieuchwytny – najpierw funkcjonariuszom Gestapo, potem Urzędu Bezpieczeństwa – niektórzy skłonni byli wierzyć, iż ma nadprzyrodzoną moc. Dziś mało kto o nim wie. Byli tacy, którym na tym zależało.

W zachowanych w IPN aktach śledczych czytamy, że Stanisław Twardowski urodził się w 1901 r. w Łeknie, małej wsi pod Wągrowcem (Wielkopolska). Wyrastał bez ojca – ten wyjechał do Ameryki w poszukiwaniu zarobku.

Niepokorny był chyba zawsze. Po ukończeniu czterech klas szkoły powszechnej, najmował się jako parobek. Powołany w 1922 r. do wojska, do 65. Pułku Piechoty w Grudziądzu, zdezerterował. Powodem miało być, jak potem zeznał, złe traktowanie przez przełożonych. Skrył się w Prusach Wschodnich, a gdy po dwóch miesiącach wrócił do Polski, zgłosił się w Łodzi na posterunku policji, podając fałszywe nazwisko. Podał się za Polaka, który I wojnę światową spędził w Niemczech. W kolejnych latach pod fałszywym nazwiskiem imał się dorywczych prac.

W 1925 r. znów wezwano go do odbycia służby wojskowej. Przeszkolenie prze-

szedł we Wrześni w 68. Pułku Piechoty, po czym został skierowany do obrony wschodniej granicy przed bolszewikami: do 10. Baonu Korpusu Ochrony Pogranicza w miejscowości Krasne nad Uszą (dziś Białoruś). Tam ujawnił swą tożsamość i fakt, że był dezerterem. Skazano go na siedem miesięcy więzienia.

Radził sobie chyba nieźle, skoro w 1938 r. kupił w Olesznie koło Gołańczy (także Wielkopolska) cztery hektary. Trudnił się też wyrobem pustaków. W 1932 r. wstąpił do Stronnictwa Narodowego.

W niezgodzie z Niemcami

We wrześniu 1939 r. walczył, pod Kutnem trafił do niewoli. Przydzielony do pracy u niemieckiego gospodarza uciekł stamtąd w 1941 r. i przedostał się w rodzinne strony.

W międzyczasie znalazły się one w tzw. Kraju Warty (Warthegau), obejmującym także włączoną do Rzeszy Wielkopolskę. Arthur Greiser, namiestnik Warthegau, tak zdefiniował tutejsze stosunki: „Niemiec jest na tym terenie panem, a Polak niewolnikiem". Wobec Polaków stosowano drakońskie przepisy, a kilkaset tysięcy pozbawiono majątku i wysiedlono do Generalnej Guberni. Na ich miejsce sprowadzano Niemców z Łotwy, Wołynia i Besarabii.

W aktach sprawy, wszczętej przeciw Twardowskiemu po wojnie, funkcjonariusze UB pisali ogólnikowo, że podczas okupacji ukrywał się, gdyż „żył w niezgodzie z obywatelami niemieckimi", i że nie należał do konspiracji, lecz walkę prowadził samodzielnie. A także, że był poszukiwany przez Gestapo.

Skontaktowałem się ze Zbigniewem Grabowskim, znawcą historii z okolic Wągrowca. Niektóre z jego informacji, choć odnosiły się przecież do niemieckiego terroru, brzmiały, jakby wyjęto je z sowizdrzalskiej opowieści.

Grabowski udostępnił mi swą książkę „Stąpając po śladach ojców" i fragment książki „Kcynia. Szkice z historii miasta i okolic" autorstwa regionalisty Alojzego Szudrowicza. Przytoczone są tam relacje świadków, z którymi obaj autorzy prowadzili wywiady.

Szudrowicz pisze, że Twardowski był „niskim mężczyzną, około 160 cm wzrostu, o krępej budowie ciała. Jego czerstwa twarz, lekko zaczerwieniona, okrągła, trochę kanciasta głowa, z dość szerokimi

ARCHIWUM ZBIGNIEWA GRABOWSKIEGO / KOLOR TP

Jedyne zachowane zdjęcie Stanisława Twardowskiego

ustami i niebieskimi oczami – budziły zaufanie. (...) Był człowiekiem żywym, pełnym temperamentu i niezwykle zmyślnym. Cechował go przysłowiowy chłopski upór. Co postanowił, to zrobił".

Resztę zabrał Twardowski

Jak wynika ze świadectw, ten przystępny w obejściu, a przy tym stanowczy człowiek nie tylko nie miał zamiaru podporządkować się niemieckim zarządzeniom, lecz z fantazją przeciw nim występował. Jeden ze świadków wspomina, że widział kartkę, którą otrzymała Niemka pracująca w miejscowym sklepie: napisał, że jeśli będzie sprzedawać Polakom kości, a nie mięso, to się z nią policzy. Na dole widniał podpis: „Twardowski".

Szudrowicz pisze: „Kiedy indziej znów wyciągał w nocy z niemieckiego chlewa świniaka, którego bił na miejscu i patroszył. Mięso zabierał, a Niemcom zostawiał flaki i kartkę: »To, co zostało, to dla was, resztę zabrał Twardowski«".

Obszar, na którym działał, obejmował tereny między Wągrowcem, Gołańczą, Kcynią, Wapnem i Damasławkiem. Wszędzie tam występował w obronie Polaków. Gdy polska dziewczyna poskarżyła się na krzywdy doznawane od Niemek, u których przymusowo pracowała, Twardowski zakradł się nocą przez okno, przełożył obie Niemki przez poręcz łóżka i złoił im skórę. Niemiecka policja aresztowała wuja dziewczyny. W odpowiedzi Twardowski wysłał list, w którym wymienił nazwiska sześciu Niemców z groźbą, że ich zastrzeli, jeśli aresztant nie zostanie wypuszczony. Wuja uwolniono.

Rozsyłanie takich listów było stałym elementem działalności Twardowskiego. Jeśli nie skutkowały, podpalał niemieckie mienie. Zastraszani Niemcy bali się poruszać w pojedynkę. Czuli się bezradni: choć organizowano obławy i rozwieszano listy gończe z obietnicą nagrody, Twardowski krył się sprytnie, mylił tropy, wciąż był w ruchu i pozostawał nieuchwytny.

Ten diabeł

Zdolność do unikania pościgów i przekonanie, że zjawić może się w każdej chwili i miejscu, w dodatku w niespodziewanych postaciach, sprawiały, że zyskał u Niemców miano „Der Teufel" (diabeł). Świadkowie twierdzili, że widywano go w mundurze niemieckiego policjanta, a innym razem w mundurze SA.

Gdy do domu, gdzie się ukrywał, zbliżać się zaczęła obława i sytuacja zdawała się bez wyjścia, bo wokół rozciągały się puste pola, miał orzec: „Jak ja nie [ten] Twardowski, to księżyc nie dla mnie". Miał założyć spódnicę, głowę owinąć chustką, wskoczyć na wóz i spokojnie wyrównywać widłami załadowany tam gnój. Po odjeździe Niemców, którzy przestrząsnęli gospodarstwo, miał oznajmić: „No, teraz baba siądzie do śniadania".

Strój „baby" był, wedle świadectw, częstym jego przebraniem. Pewnego razu, jak opowiadano, przesłał Niemcom wieść, że mają go oczekiwać w Kcyni. Miasto otoczono. W czasie, gdy je przeszukiwano, przez rynek przeszła stara kobieta ciągnąca wózek z drewnem. W kolejnym liście Twardowski zawiadomił Niemców, że ową „babą" był właśnie on.

Ta kpiarska bezczelność powtarza się w relacjach. Podczas jednego z pościgów, przebrany w niemiecki mundur i otoczony żołnierzami, miał zbierać od nich do kwestarskiej puszki datki dla rodzin frontowców. Oddał je później przygodnej Polce, by mogła utrzymać dzieci. W czasie innego pościgu, kontynuowanego do nocy, gdy w celu rozpoznawczym ścigający ustalili hasło „Hohensalza", ścigany miał biegać w ciemnościach za plecami kordonu i wykrzykiwać: „Hohensalza! Hohensalza! Tu jest Twardowski!".

Niektóre z jego wyczynów budzą wątpliwość, czy nie są wytworami fantazji. Ale jeśli nawet przesadzone lub zmyślone, w warunkach terroru dawały Polakom siłę do przetrwania. Pewien świadek wspomina, że Twardowski „trzymał ↦

DOMENA PUBLICZNA / TP

↦ Niemców za lycki" (w gwarze: lejce). Inny dodaje: „Myśmy się bardzo cieszyli, że jeszcze jest ktoś taki, kogo Niemcy się boją".

Informacją istotną jest na koniec to, że Twardowski ograniczał się do gróźb, żadnego Niemca nie zabił. Gdyby tak postąpił, spowodowałby krwawy odwet.

Wyszydzałem ustrój

W pierwszych latach po wojnie nadal go podziwiano. Szudrowicz pisze, że gdy przyjeżdżał do mleczarni w Gołańczy, zasiadał na parapecie i wkrótce otaczał go krąg rolników. „W nieskończoność snuł barwne opowieści, w jaki sposób wyprowadzał Niemców w pole. Zasłuchani (...) ludzie »otwierali ze zdumienia gęby«".

Wstąpił do Polskiego Stronnictwa Ludowego, opozycyjnego wobec komunistów. Do tych ostatnich nastawiony był wrogo. Szczególnie do spółdzielczości na wsi, która dla komunistów była narzędziem budowania wpływów na wsi. „Dlatego też – zeznał później w śledztwie – już w grudniu 1946 będąc na zebraniu przedwyborczym (...) zabrałem głos i publicznie (...) wyszydzałem ustrój władzy ludowej w Polsce".

Po tym wystąpieniu został aresztowany, ale zwolniono go po trzech miesiącach, gdy po wyborach do Sejmu (sfałszowanych) ogłoszono amnestię. Odebrano mu jednak 14-hektarowe poniemieckie gospodarstwo w Łeknie, które zajął po wojnie. Przeniósł się do Oleszna, na posiadane tam cztery hektary, powiększone o kolejne cztery, które otrzymał w wyniku reformy rolnej, i jeszcze dwa, które wydzierżawił. „Był dobrym rolnikiem – pisze Szudrowicz. – Posiadał wspaniałe konie, którymi stojąc na gumowym wozie i trzymając w rękach lejce z radością lubił powozić. Konne wozy gumowe były wtedy rzadkością".

Szudrowicz opisuje szykany, jakim poddawano rolników, którzy nie chcieli wstępować do spółdzielni. Opornych poniżano w prasie, we wsiach pojawiały się samochody, z których przez głośniki wyzywano ich od „kułaków", a tych, którzy nie wywiązywali się z obowiązkowych dostaw, karano więzieniem lub obozem pracy.

Jak mnie KBW szukało

Co było dalej? Oddajmy głos Twardowskiemu.

„Na gospodarstwie swym pracowałem do lutego 1951 roku – zeznał potem w śledztwie. – W miesiącu lutym odbywał się planowy skup zboża (...). Ja ze swej odstawy wywiązałem się całkowicie (...). Do Oleszna przyjechał delegat do spraw skupu i (...) oznajmił nam, że to zboże, które odstawiliśmy, nie wchodzi w obecny plan, a gromada ma obecnie odstawić 340 ton. (...) Zacząłem kłótnię z delegatem (...). Po upływie kilku dni dowiedziałem się (...), że Siudmak Jan (...) przedstawił mnie jako wroga obecnego ustroju. (...) Po dwóch względnie trzech dniach (...) przyszedł do mnie (...) sołtys (...) i oznajmił mi, że mam się stawić do niego, gdyż Komendant MO z Szubina jest u niego i chce ze mną rozmawiać. Ja na jego słowa odpowiedziałem mu, że na pogawędki nie mam czasu (...). Następnego dnia (...) do mego gospodarstwa podjechał samochód osobowy i szofer (...) oznajmił mi, bym się zabrał z nim, gdyż Komen.[dant] MO Szubin czeka na mnie u sołtysa. (...) Po drodze zatrzymaliśmy się przed zabudowaniem Wachowiaka (...), gdzie szofer kazał mi wysiąść i wspólnie z nim udałem się do mieszkania (...). Myślałem, co ze mną zrobią, myśląc, że zostanę aresztowany (...) Powiedziałem do syna Wachowiaka (...), by ten wyprowadził mnie na podwórze do ustępu.(...) Po wyjściu (...) pożegnałem się (...), mówiąc przy tym »do widzenia Edziu, już się więcej nie będziemy widzieć«".

Opisane zdarzenie – wedle późniejszych relacji błędnie jakoby przez Twardowskiego rozpoznane, bo komendant MO zamierzał rzekomo nagrodzić go dwiema tonami węgla za wzorowe dostawy – zawiodło go po raz kolejny na drogę buntowniczych wyczynów.

Odtąd, podobnie jak podczas wojny, ukrywał się i straszył – tym razem tych, którzy czynnie wspierali komunistów. I znów kpił w listach, które wysyłał do miejscowych urzędów. „Jak K.B.W. mnie poszukiwało – pisze w jednym z nich – to ja w jednym posterunku M.O. sobie wygodnie siedziałem i z milicjantami grałem w »damki«, milicjanci idąc na służbę śmiali się i mówili, że idą szukać Twardowskiego".

Ubowców to mam w dupie

Aby nie dopuścić do utworzenia spółdzielni w Olesznie, Twardowski zjawił się z bronią na posiedzeniu komisji gromadzkiej, obradującej nad planami zasiewów. W tym samym Olesznie wtargnął, także z bronią, na gromadzkie zebranie i groził, że „kto pierwszy zapisze się do spółdzielni produkcyjnej to kula w łeb". A także, że „przewodniczącemu tej spółdzielni strzeli w łeb".

Podobnie jak podczas wojny, także i teraz nikogo nie zabił.

Partyjnym działaczom, którzy nakłaniali rolników do zakładania spółdzielni, wybijał szyby w oknach. Jednego odwiedził, aby go ostrzec, że jeśli nie zaprzestanie swej aktywności, to go zastrzeli. Janowi Siudmakowi, prezesowi miejscowego ZSL-u (partii konkurencyjnej do PSL i kontrolowanej przez komunistów), spalił stodołę.

„Te wszystkie plany skupu to wasza sprawka – napisał do niego w liście – ostatnio to chcieliście nawet w Olesznie ten przeklęty kołchoz założyć. (...) Myśleliście jeżeli was UB strzeże to wy możecie sobie na wszystko pozwolić. Taką stróżkę jak Ubowcy to ja mam w dupie, ja im się zbliżyłem na 15 kroków i przysłuchiwałem się ich rozmowie (...)".

Spalił też bibliotekę należącą do Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Łankowicach (były tam m.in. księgi podatkowe), podpalił nową stodołę należącą do spółdzielni w Rgielsku oraz stogi żyta spółdzielni w Retkowie i Żurawni.

„Na skutek działalności Twardowskiego – pisano w raporcie poznańskiego UB – część aktywu partyjnego i administracyjnego została zastraszona, w związku z czym nastąpiło pewne osła-

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 75/22 toczy się postępowanie z wniosku Małgorzaty Kawki z udziałem Damiana Kawki, Pawła Kawki, Tomasza Kawki o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Wojciechu Kawce, s. Jana i Marianny, zmarłym w dniu 23 października 2021 r. w Tarnobrzegu, jego ostatnim miejscu zwykłego pobytu.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, w tym w szczególności jego córkę Monikę *de domo* Kawkę, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

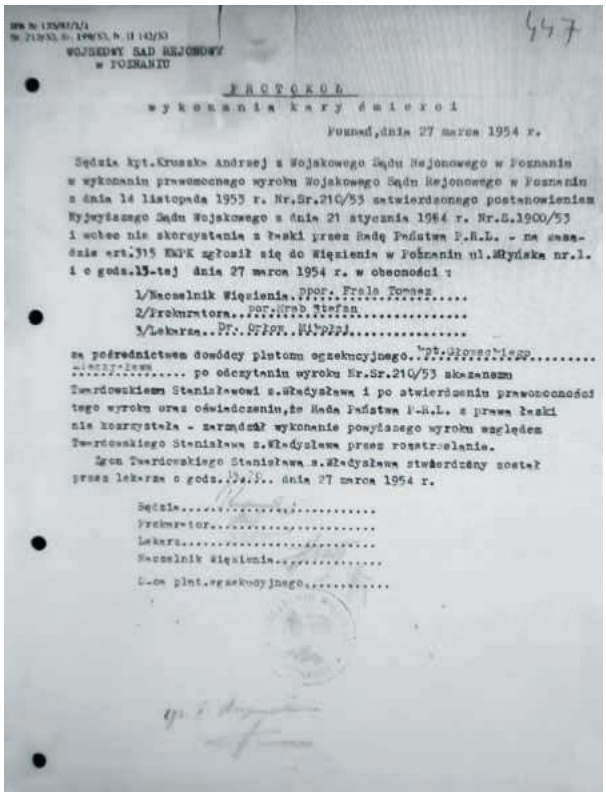
WOJSKOWY SĄD REJONOWY
w POZNANIU

PROTOKÓŁ
wykonania kary śmierci

Poznań, dnia 27 marca 1954 r.

Sędzia kpt. Kruszka Andrzej z Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu w wykonaniu prawomocnego wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego w Poznaniu z dnia 14 listopada 1953 r. Nr.Sr.210/53 zatwierdzonego postanowieniem Najwyższego Sądu Wojskowego z dnia 21 stycznia 1954 r. Nr.S.1900/53 i wobec nie skorzystania z łaski przez Radę Państwa P.R.L. - na zasadzie art.315 KKPK zgłosił się do Więzienia w Poznaniu ul.Młyńska nr.1. i o godz.15-tej dnia 27 marca 1954 r. w obecności:

1/Naczelnik Więzienia..por. Frala Tomasz.....
2/Prokuratora..por.Hrab Stefan.....
3/Lekarza..Dr. Grzyb Witold.....

za pośrednictwem dowódcy plutonu egzekucyjnego..kpt.Głowacki.....
..... po odczytaniu wyroku Nr.Sr.210/53 skazanemu Twardowskiemu Stanisławowi s.Władysława i po stwierdzeniu prawomocności tego wyroku oraz oświadczeniu, że Rada Państwa P.R.L. z prawa łaski nie korzystała - zarządził wykonanie powyższego wyroku względem Twardowskiego Stanisława s.Władysława przez rozstrzelanie.

Zgon Twardowskiego Stanisława s.Władysława stwierdzony został przez lekarza o godz.15.20 dnia 27 marca 1954 r.

Sędzia.....
Prokurator.....
Lekarz.....
Naczelnik więzienia.....
D-ca plut.egzekucyjnego.....

WŚRÓD SĘDZIÓW, *którzy sądzili Stanisława Twardowskiego, był słynny ppłk Roman Kryże – funkcjonariusz aparatu represji PRL, który wydał wiele wyroków śmierci, po 1989 r. uznanych za mordy sądowe (m.in. wobec Witolda Pileckiego). Mówiono o nim wtedy: „Sądzi Kryże, będą krzyże". Tymczasem w tej sprawie jako jedyny sędzia Kryże zgłosił zdanie odrębne wobec wyroku – uważał go za zbyt drakoński. Na ilustracji obok: protokół wykonania kary śmierci na 27 marca 1954 r. w poznańskim więzieniu. 37 lat później Sąd Najwyższy wolnej już Polski uniewinnił Twardowskiego od wszystkich zarzutów.*

bienie ich pracy, i z drugiej strony natrafiono na trudności w ściąganiu należności z obowiązkowych dostaw, w organizowaniu spółdzielni produkcyjnych. (...) Np. poborca podatkowy (...) bał się sam wieczorami jechać w teren".

Wróg będzie zlikwidowany

Aby pochwycić tego jednego człowieka, w lipcu 1952 r. utworzono specgrupę z funkcjonariuszy UB i MO, a do pomocy dodano im siły Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wzmożono obławy i aktywność konfidentów, przesłuchiwano podejrzanych o pomoc ściganemu, niektórych aresztowano.

Jeden z konfidentów cytuje zasłyszaną wypowiedź: „To jest taka cholera, że Niemcy go szukali (...), ja to bym go nie trzymał ani minuty, bo to jest fałszywa menda, z tobą będzie gadał, a za plecami gospodarstwo ci spali, ja to się dziwię, że ludzie mu jeszcze pomagają, tylko to jest to, że każdy się go boi, żeby on do mnie przyszedł, to bym go jednak uśmiercił".

Żona Twardowskiego, stale nękana, zaczęła ukrywać się wraz z nim, jednak po paru miesiącach, niespokojna o los oddanego rodzinie dziecka, a także na skutek konfliktu z mężem, zgłosiła się na MO. Przesłuchiwana przez UB wyjawiła miejsca kryjówek.

Inny konfident donosi o osobie sprzyjającej dotąd ściganemu: „Powiedział mi, że Twardowskiego by teraz nie przetrzymywał, bo z takimi co posiadają broń nie chce mieć nic do czynienia".

28 grudnia 1952 r. we wsi Kujawki Twardowski został podstępnie skrępowany i wydany UB przez jednego z gospodarzy, z którym współdziałały jeszcze dwie osoby.

Przesłuchania Twardowskiego prowadził poznański UB (m.in. znany z brutalności porucznik Henryk Nojhajt). Pod koniec stycznia 1953 r. aresztowano gospodarzy, którzy mu pomagali. Planowano pokazowy proces, który – jak pisano – pomoże ukrócić „rozwydrzenie kułactwa" i wykaże, że „każdy działający wróg będzie zlikwidowany".

Sprawę Twardowskiego nadzorowała Warszawa, w osobach podpułkownik Heleny Wolińskiej z Naczelnej Prokuratury Wojskowej i pułkownika Józefa Różańskiego, dyrektora Departamentu Śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

Różański polecił, aby „ponownie przeprowadzić śledztwo w kierunku pogłębienia i rozszerzenia zeznań podejrzanego (...) odnośnie jego działalności w ramach bojówek SN [Stronnictwa Narodowego – red.] do 1939 r. (udział w akcjach przeciwko Żydom)". Delegowano w tym celu śledczego z Warszawy.

Ten kierunek śledztwa nie wypalił. Przesłuchany ponownie (można sobie wyobrazić, jak wyglądało to przesłuchanie) Twardowski przytoczyć mógł jedną akcję „przeciw Żydom". W protokole zeznał: „Za kupno roweru w sklepie żydowskim wyzwałem moją żonę i powiedziałem jej, by w przyszłości tego nie robiła".

Wyrok wykonano

Pokazowy proces Stanisława Twardowskiego, sądzonego wraz z czterema innymi oskarżonymi (pozostałych ujętych w jego sprawie osądzono w osobnych procesach), odbył się przed Wojewódzkim Sądem Wojskowym w Poznaniu 12-14 listopada 1953 r., przy udziale dobranej publiczności, a także prasy i radia.

„Elementy kułacko-kapitalistyczne na wsi – brzmiał akt oskarżenia – podsycane przez imperializm amerykański i jego najmitów w kraju, poprzez stosowanie dywersji i terroru na działaczy społeczno-politycznych, rozpowszechnianie wrogiej i fałszywej propagandy, starają się zahamować budownictwo socjalizmu w Polsce, a w szczególności na odcinku wiejskim".

Wyobrażenie, jacy to byli „kułacy", może dać spis rzeczy z protokołu rewizji osobistej jednego z nich: „Pieniądze w ilości 20 groszy. (...) Pasek do spodni skórzany zniszczony. Rękawice wełniane o jednym palcu zniszczone cerowane białą wełną. (...) Wełniany przodek pod szyję koloru brąz wraz z krawatem zniszczone. Sznurki i kawał bata. Różaniec z krzyżykiem metalowym koloru żółtego".

Twardowskiego skazano na śmierć. Pozostałym oskarżonym wymierzono wysokie kary więzienia. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Wyrok wykonano 27 marca 1954 r. w poznańskim więzieniu.

37 lat później, w 1991 r., Sąd Najwyższy wolnej już Polski przychylił się do wniosku ministra sprawiedliwości i uniewinnił Stanisława Twardowskiego od wszystkich zarzutów.

Gospodarz, który go ujął i wydał, jakiś czas później się powiesił.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

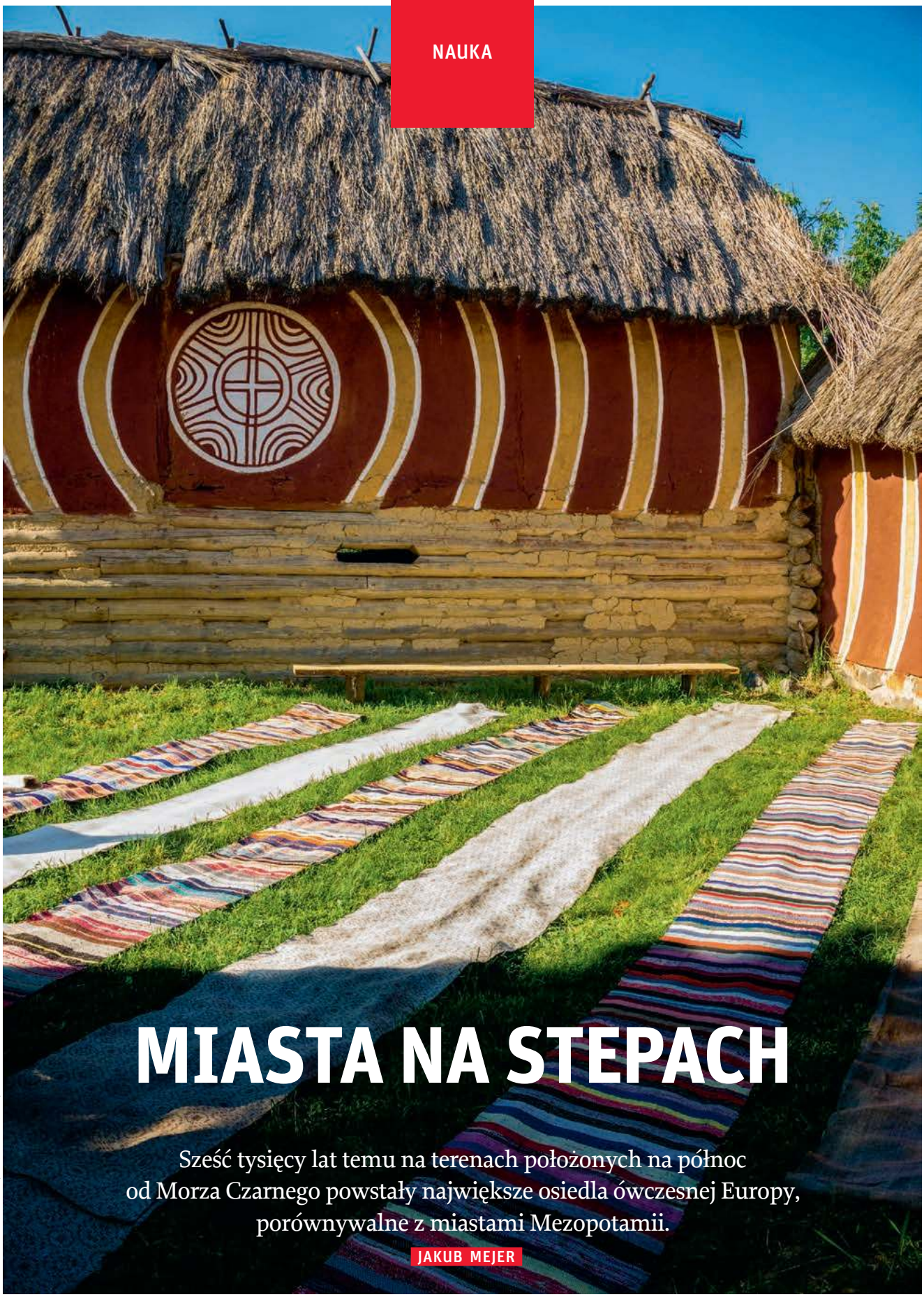

MIASTA NA STEPACH

Sześć tysięcy lat temu na terenach położonych na północ od Morza Czarnego powstały największe osiedla ówczesnej Europy, porównywalne z miastami Mezopotamii.

JAKUB MEJER

NATALIA GOLUBNYCHA / ALAMY STOCK / BE&W

Rekonstrukcja domów kultury Cucuteni-Trypole, Lehedzino, obwód czerkaski, Ukraina, czerwiec 2016 r.

Według spisu z początku tego wieku w Taljankach, wsi w obwodzie czerkaskim, położonej 240 km na południe od Kijowa, mieszkało nieco ponad 1,7 tys. osób. Pod tym względem niewiele się zmieniło od 150 lat. „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" notował, że w 1863 r. było tu 240 domów, gorzelnia, drewniana cerkiew i przeszło 1,5 tys. mieszkańców.

Nie zawsze tak było. Pod koniec neolitu znajdowało się tu osiedle o powierzchni 300-450 hektarów, z setkami piętrowych domów, placami, ulicami i liczbą ludności sięgającą 15-30 tys. Nawet niższe z tych liczb oznaczają, że było to wtedy największe skupisko ludzi w Europie, jakie znamy, porównywalne jedynie z azjatyckimi miastami między Tygrysem a Eufratem.

A wszystko to w społeczności nazywanej przez niektórych historyków „ostatnią wielką europejską cywilizacją epoki miedzi", która prawdopodobnie nawet nie korzystała z koła.

Historia pisana na nowo

Chociaż te osady są mało znane, przynajmniej w porównaniu z osiedlami z „Żyznego Półksiężyca", to wiedza o nich nie jest niczym nowym. W XIX w. i pierwszej dekadzie kolejnego stulecia głośno było o jaskini w Bilczu Złotym, gdzie prowadzili badania archeolodzy z Akademii Umiejętności, Muzeum Lubomirskich w Lwowie i krakowskiego Muzeum Archeologicznego (to ostatnie ma w zbiorach setki naczyń, figurek i narzędzi z tego stanowiska).

– Jednym z pierwszych archeologów, którzy badali te osady i odnotowali ich niezwykłą wielkość, był Polak Marian Himner, a stało się to w 1911 r. Zbiory z jego kolekcji, w tym słynny ceramiczny model domu Trypillia, są teraz w Państwowym Muzeum Archeologicznym w Warszawie – mówi „Tygodnikowi" prof. Mychajło Widejko z Uniwersytetu Kijowskiego im. Borysa Hrinczenki.

Badania w Rumunii i Ukrainie prowadzono osobno, jednak obecnie wielu naukowców uważa, że osady znajdowane w tych państwach są częścią jednej kultury Cucuteni-Trypole, ciągnącej się od Karpat po Dniepr, występującej od szóstego do trzeciego tysiąclecia p.n.e.

Nawet świadectwa ogromu niektórych z ich prehistorycznych osiedli nie są niczym nowym. Pierwsze wykopaliska w Taljankach miały miejsce przeszło 40 lat temu, trudno mówić, żeby w ostatnich latach nastąpił w nich jakiś wielki przełom. Mimo to ostatnio dyskutuje się o nich na całym świecie.

Bezpośrednim tego powodem jest dotychczas niewydana w naszym kraju książka – „The Dawn of Everything: A New History of Humanity" autorstwa archeologa Davida Wengrowa oraz antropologa i ekonomisty Davida Graebera (Krytyka Polityczna, która wydała poprzednią książkę tego ostatniego, używa tytułu „U zarania wszystkiego"). W USA debata na jej temat przewinęła się przez wszystkie ważniejsze tytuły, w Niemczech książka wskoczyła na pierwsze miejsce na liście sprzedaży. W Kopenhadze na spotkanie z Wengrowem przyszło tysiąc osób.

Jednym z powodów, dla których tyle uwagi poświęca się tej pozycji, jest barwna postać zmarłego we wrześniu 2020 r. w wieku 59 lat Graebera (książka ukazała się rok po jego śmierci). Tygodnik „Polityka" w nekrologu nazywał go „guru marksistów", chociaż bardziej odpowiednim tytułem byłoby chyba „najsłynniejszy anarchista świata akademickiego". Za swoje poglądy, otwarte wspieranie ruchów w stylu Occupy Wall Street albo związków zawodowych spotykał go ostracyzm w wielu rejonach akademii i uwielbienie w środowiskach lewicowych.

„U zarania wszystkiego" powstało na podstawie długich maili, jakie Graeber wymieniał przez miesiące z Wengrowem. Ten pierwszy nie jest historykiem, chociaż pisał na ten temat w swoich poprzednich, dobrze przyjętych dziełach, takich jak „Dług: pierwsze pięć tysięcy lat" (wydane w Polsce przez Krytykę Polityczną). Ten drugi jest dużo mniej obecnym medialnie, ale rozpoznawalnym w środowisku naukowcem.

Autorzy, jak sugeruje tytuł, próbują na nowo opowiedzieć historię początków ludzkiej cywilizacji. Jej tradycyjną wersję, dziś propagowaną m.in. w książkach Stevena Pinkera i Yuvala Noah Harariego, Graeber i Wengrow podsumowują tak: „Przez większą część dziejów ludzie żyli w małych, egalitarnych grupach łowiecko-zbierackich. Potem pojawiło się rolnictwo, a wraz z nim własność prywatna, i powstały pierwsze miasta, co utożsamiamy z narodzinami cywilizacji w ścisłym rozumieniu. Cywilizacja oznaczała wiele złych rzeczy (wojny, podatki, biurokracja, patriarchat, niewolnictwo), ale przy okazji umożliwiła powstanie literatury w formie pisanej, nauki, filozofii i wielu innych ważnych osiągnięć człowieka".

Ich zdaniem ta wizja nie jest do końca prawdziwa. Jak piszą: „Nie tylko w świecie akademickim panuje przekonanie, że struktury dominacji są nieodzownym rezultatem dużego wzrostu populacji. Cały czas spotykaliśmy się z poglądami, że tak szybko, jak znaczna liczba ludzi decyduje się na zamieszkanie w jednym miejscu, koniecznie muszą zrezygnować z innej wolności – obywatelskiego nieposłuszeństwa – i zastąpić je prawnymi mechanizmami regulującymi np. bicie i zamykanie tych, którzy się nie podporządkowują. Takie poglądy nie tylko nie mają sensownego uzasadnienia psychologicznego. Trudno je też połączyć ze znaleziskami archeologicznymi z wielu części świata: z miast, które były społecznymi eksperymentami na wielką skalę i często nie miały elementów administracji, hierarchii i autorytaryzmu".

Kto tu rządzi

Archeolodzy wiedzą o około dwustu osiedlach o powierzchni ponad 10 hektarów, z których większość założono między rzekami Boh i Dniepr, ale też pomiędzy Bugiem i Dniestrem oraz na terenach obecnej Mołdawii. W tym samym czasie większość znanych w Europie miejsc zamieszkania nie przekraczała 2,5 hektara i dwustu mieszkańców. Takie powyżej tysiąca osób były wielką rzadkością.

Największe z nich istniały w latach 4100-3400 p.n.e. Wengrow i Graeber nazywają je egalitarnymi. Jak twierdzą, składały się one z „autonomicznych gospodarstw domowych samodzielnie organizujących się w osiedla i obywatelskie stowarzyszenia".

Domy miały z reguły kilkadziesiąt metrów kwadratowych (chociaż odkryto też kilkusetmetrowe), niektóre były piętrowe – na parterze znajdowała się część gospodarcza, powyżej mieszkalna. Zbudowane były na drewnianym szkielecie wypełnionym gliną z roślinnością. Miały niewielkie, okrągłe okna, były ozdabiane np. białą, czerwoną i czarną farbą oraz drewnianymi płaskorzeźbami. ↦

↦ Kluczowym elementem było gliniane palenisko. Jako pierwsze w regionie miały meble takie jak stoły i krzesła, mnóstwo w nich było wyrobów ceramicznych i tkackich, a niektórzy mieszkańcy używali – poza krzemiennymi – narzędzi z miedzi.

Największe z osiedli powstawały w lasostepie – na pograniczu żyznego, bogatego w czarnoziemy stepu, piaszczystych terenów oraz lasów liściastych. Z reguły w miejscu łatwym do obrony, dobrze osłoniętym z wielu stron naturalnymi przeszkodami, np. na oddalonym od głównego nurtu cyplu. Niektóre otoczone były obronną palisadą lub fosą.

Zewnętrzny rząd zabudowań lub dwa miały owalny kształt, największe osiedla zaś składały się z więcej niż jednego okręgu. Pozostawiano wiele wolnej przestrzeni pomiędzy budynkami, a w centrum z reguły znajdował się duży plac. W niektórych osiedlach odkryto większe budynki, które archeologowie interpretują jako miejsca zebrań społeczności lub świątynie.

Mieszkańcy jedli głównie pszenicę i jęczmień, czasami na stołach pojawiało się mięso: wołowina, wieprzowina, baranina, dziczyzna, a nawet konie, żółwie i tury. Dietę uzupełniały grzyby i jagody z pobliskich lasów i stepów.

Istnieje wiele teorii próbujących wyjaśnić rozmiary tych miast. Niektóre z nich tłumaczą, że to normalny etap rozwoju „proto-miast". Są one jednak krytykowane przez wielu naukowców, według których zbyt mało w nich miejsc pełniących funkcje kluczowe dla miast. To właśnie ten element osad przyciągnął Wengrowa i Graebera.

„Nie ma dowodów na scentralizowaną władzę albo administrację, a w sumie na jakąkolwiek formę klasy rządzącej" – piszą autorzy. Ich zdaniem to jeden z głównych powodów, dlaczego wielu naukowców ignoruje miejsca takie jak Taljanki w swojej pracy. A przy okazji to znakomity dla nich argument, iż historia pokazuje nam, że duże społeczności mogą istnieć bez klasycznej hierarchii władzy. Ta i podobne obserwacje – ukraińskie megaosiedla to niejedyny przykład podawany przez autorów – spowodowały, że książka wywołuje tak duże zainteresowanie.

Spalone domy

Nie wszyscy zgadzają się z tą teorią, nawet bez dodanej przez Wengrowa i Graebera interpretacji. Inni naukowcy rozmiar osad wyjaśniają potrzebą obrony – przed pasterskimi ludami zamieszkującymi stepy lub mieszkańcami sąsiednich osad. Rzadziej pojawiają się jeszcze inne pomysły – np. że to efekt migracji z zachodu na wschód.

Charakterystycznym elementem tych miast jest palenie domostw. Według dominującej interpretacji miało to być zachowanie celowe, a nie efekt przypadkowych pożarów. Domy palono co kilkadziesiąt lat być może w celach rytualnych – w środku znajdowano całe dzbany, które można interpretować jako rodzaj ofiary. Zjawisko było powszechne – badanie w latach 2010-11 obejmujące 70 proc. osady Majdanetskoje wykryło blisko 2 tys. domów, z których trzy czwarte całkowicie spłonęły. Palenie budynków mogło mieć także związek z wyczerpaniem zasobów naturalnych. Kilkunastotysięczne osady wymagały dużych ilości drewna, a prymitywne rolnictwo szybko wyjaławiało żyzne czarnoziemy. Największe z osad musiały po jakimś czasie wykorzystywać zasoby znajdujące się nawet 9 km od domów. Swoje mieszkania paliły też inne kultury w okolicy – było to powszechne od 6,5 do 2 tys. lat p.n.e. w południowo-wschodniej Europie.

W połowie czwartego tysiąclecia p.n.e. te wielkie osady zaczynają znikać. Archeolodzy nie są zgodni, czy możemy mówić o ich upadku, utracie znaczenia, czy transformacji. Faktem jest, że przez następne tysiące lat ze świecą szukać równie wielkich skupisk ludności. Najczęściej przyjmuje się, że wynika to ze specjalizacji ludności, rozwoju społeczeństwa i grupowania się w mniejsze plemiona; zmiany te mogły być wywołane czynnikami środowiskowymi – m.in. ochłodzeniem klimatu.

Ukraińców nikt nie pytał

Książka Wengrowa i Graebera zbiera mieszane recenzje. Filozof Kwame Appiah w „The New York Review of Books" nazwał ją „prowokacyjną" i „utopijną". Odnosząc się do kwestii Taljanek, powołuje się na badaczy twierdzących, że nie były one stale zamieszkane, i nie jest przekonany, czy rzeczywiście możemy je nazwać miastem. „To bardziej Burning Man (festiwal kulturalny w USA) niż Birmingham" – stwierdza Appiah.

A jak „U zarania wszystkiego" odebrano u naszych wschodnich sąsiadów?

– Ta książka przeszła niezauważona wśród ukraińskich archeologów. Podobnie jak książki ukraińskich archeologów nie zostały zauważone przez jej autorów. Ich fantazje, jak pokazuje nie tylko ta publikacja, nie mają granic – mówił jeszcze przed wojną prof. Mychajło Widejko, jeden z największych autorytetów w dziedzinie badania kultury Cucuteni-Trypole w Ukrainie.

– Oto nadchodzą Brytyjczycy, którzy wierzą, że są pionierami w wykopaliskach w osadach Trypola i mogą nauczyć Aborygenów, jak to zrobić. Tak powstaje nowy mit. Tylko osoba, która nigdy nie mieszkała na wsi, może uwierzyć, że może ona istnieć przez długi czas na zasadzie anarchii. Mój dziadek mieszkał na ukraińskiej wsi i brał udział w podobnym eksperymencie w latach 1918-20. Nie bardzo mu się to podobało – dodaje prof. Widejko. Przekonuje też, że wiele jeszcze pozostaje do zbadania.

– Gospodarka tych dużych osad opierała się na rolnictwie, ale miała też inne elementy – kontynuuje ukraiński naukowiec. – Tylko w jednej osadzie znajdują się pozostałości kilkudziesięciu pieców garncarskich. Ich konstrukcja nawiązuje do pieców garncarskich z Krety z epoki brązu i jest dowodem wysoko rozwiniętego rzemiosła. Mówimy o obróbce metali i krzemu. To właśnie obecność wszystkich tych rękodzieł na dużą skalę odróżnia megaosady od ich poprzedników. Musiał istnieć system handlu, bo mamy ślady wielu surowców, od soli po metale, których odbiór i tranzyt należy uzgodnić z innymi społecznościami. Powstaje więc pytanie: kto powinien reprezentować interesy społeczności, czy każda rodzina powinna negocjować samodzielnie?

Rosyjska inwazja wstrzymała dyskusję akademicką na ten temat. Nazwy związane z regionem, w którym znajdują się pozostałości megaosiedli – Biała Cerkiew, Czerkasy – kojarzymy z relacji korespondentów wojennych. Nawet jednak teraz nowa popularność tego tematu może być wykorzystana. Europejskie Stowarzyszenie Antropologów Społecznych we współpracy z innymi organizacjami przygotowuje na lipiec internetowy wykład połączony ze zbiórką, zatytułowany: „Megaosiedla Trypola: nauka i pamięć o ukraińskim dziedzictwie w czasie niebezpieczeństwa". Jednym z uczestników ma być Wengrow. © JAKUB MEJER

TOMASZ

Stawiszyński: *Wiwisekcja*

Niezależnie od tego, jaka jest prawda, niezależnie od tego, jaki ostatecznie zapadnie wyrok – transmitowany na cały świat i przez cały świat z zapartym tchem oglądany (o czym świadczą rekordowe liczby odsłon na YouTubie) proces sądowy o zniesławienie, jaki Johnny Depp wytoczył Amber Heard, jest bez wątpienia wydarzeniem przełomowym. Trudno tylko stwierdzić – przynajmniej na razie – w jakiej dokładnie sferze ten przełom zachodzi. Medialnej? Psychologicznej? A może jeszcze innej?

Z jednej strony, wydawać by się mogło, że nie ma już na tym świecie niczego, co nie zostałoby pokazane i spieniężone. Żadnej niewywleczonej na światło dzienne tajemnicy, żadnej nierozebranej na cząstki elementarne intymności. Najpierw tabloidy, później programy typu *reality shows*, wreszcie powszechna dostępność smartfonów oraz cyfrowa infrastruktura informacyjna sprawiły, że – zarówno w odniesieniu do ludzi znanych, jak i tych zupełnie nieznanych, którzy w pewnym momencie znaleźli się z takich czy innych powodów w polu zbiorowego zainteresowania – sformułowanie „prywatność" straciło rację bytu. Z drugiej strony, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w sprawie Depp vs Heard została przekroczona jakaś kolejna granica.

Owszem, współczesna kultura od dawna bywa określana mianem „emocjonalnej", „konfesyjnej" czy „terapeutycznej" – zasadniczym bowiem środkiem stylistycznym stała się w niej publiczna ekspozycja kameralnych aspektów życia uczuciowego, seksualnego i rodzinnego. Niejedną książkę poświęciła temu Eva Illouz, izraelska socjolożka, specjalizująca się w dekonstruowaniu pułapek i iluzji, jakie tego typu konfiguracja generuje. Z tą zasadniczą iluzją na czele: że ekshibicjonistyczna koncentracja na sobie wiedzie prostą drogą do szczęścia, wolności i samorealizacji.

W tej trwającej od kilku tygodni (na 27 maja zaplanowane są mowy końcowe) bezlitosnej wiwisekcji, jakiej, w asyście prawników i psychologów, na oczach milionów ludzi dokonują na własnych życiorysach byli małżonkowie, jest jednak coś jakościowo różnego od wszystkiego, czego świadkami byliśmy wcześniej. Może dlatego, że to całkowite obnażenie, wystawienie na powszechny widok najbardziej dramatycznych, ciemnych, powikłanych i wstydliwych historii dokonuje się w ramach sądowej batalii. Nie chodzi więc tylko o to, że oglądamy drugą stronę czyjegoś życia. Na co dzień niewidoczną, skrytą za fasadą społecznych ról, wielkich pieniędzy, pięknych stylizacji. A przy tym niewiarygodnie brutalną, przerażającą, radykalnie różną od kostiumu, w jaki się ją na potrzeby spektaklu przyobleka. Chodzi także – a może przede wszystkim – o to, że metodyczne rozmontowywanie fasady odbywa się w trybie okrutnej walki, której uczestnicy mają już tylko jeden cel: zniszczyć się nawzajem, zmieszać z błotem, pozbawić całkowicie resztek wiarygodności.

To prawda: nic, co się dzieje na tej sądowej sali w amerykańskim stanie Virginia, nie dziwi zapewne prawników wyspecjalizowanych w sprawach rodzinnych. Ich praca daje im możliwość szczególnego wglądu w to, co stanowi pewną ciemną możliwość, pewien tragiczny wariant bliskiej relacji, o którym każdy zazwyczaj sądzi, że nigdy nie stanie się jego udziałem.

Więc może to jest właśnie faktycznie przełomowe? Prezentacja – w *prime time*, w milionach odsłon – opowieści tak radykalnie różnej od cukierkowego obrazu celebryckiej miłości dominującego w przekazach medialnych. Będącego – co przekonująco pokazała wspomniana Illouz w świetnej książce „Dlaczego miłość rani?" – dźwignią gigantycznego przemysłu żerującego na naszych tyleż naiwnych, co idealistycznych pragnieniach i wyobrażeniach. Prezentacja opowieści pełnej krwi, przemocy, upodlenia, łez, ekskrementów, rozpaczy, destrukcji i nienawiści. Bez żadnego znieczulenia, bez żadnego łagodzącego komentarza. Bezlitosna, metodyczna, chirurgiczna wiwisekcja tego, co przecież nie tylko u Heard i Deppa działo i dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Tym bardziej drastyczna, że dokonywana na wizerunkach współczesnych półbogów – bajecznie pięknych, bajecznie bogatych, wiodących życia, o jakich wszyscy marzą. A w każdym razie marzyli jeszcze do niedawna...

Istotnie, to precedens i w tym sensie przełom. A jednak – i to jest w tym wszystkim najbardziej chyba przygnębiające – nie przyniesie on najprawdopodobniej żadnego *katharsis*. Przyniesie tylko złamane kariery, zniszczone życia, doszczętne ogołocenie z prywatności i intymności, niemożność wypowiedzenia i dowiedzenia jakiejkolwiek prawdy. Bo przecież tłumy śledzące ten proces z zapartym tchem nie czekają na żadne rozstrzygnięcie, na ustalenie, jak to rzeczywiście było. Same wydadzą i ogłoszą swoje własne wyroki. Ba, już je przecież wydały i ogłosiły – w niezliczonych tweetach, postach i komentarzach. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 217/21 toczy się sprawa z wniosku Urszuli Strzałkowskiej z udziałem Barbary Pałczyńskiej, Haliny Muchy, Adama Kapusty, Stanisława Kapusty, Ewy Rygalskiej, Barbary Podsiadło, Renaty Lustig, Anety Zygmunt i innych o zasiedzenie nieruchomości położonej w Jabłonicy gm. Wieniawa, składającej się z m in. działki nr 336 o pow. 0,39 ha przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. GK.I.6621.1766.202, przez Urszulę Strzałkowską.

Wzywa się osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ROZBIERANIE

Olga Tokarczuk sięgnęła po klejnot literacki w postaci Sokołowska, wsi i sanatorium, które było rzeczywistym prototypem Berghofu z „Czarodziejskiej góry".

RYSZARD KOZIOŁEK

Chodzimy razem
Po tym wielkim wnętrzu
Ona w smołowej
Ja w błękitnej sukni

(Stanisław Grochowiak
„Rozbieranie do snu")

Tomasz Mann wymyślił pierwszy rozdział „Czarodziejskiej góry", kiedy w maju i czerwcu 1912 r. odwiedzał żonę leczącą płuca w sanatorium doktora Friedricha Jensena w Davos. Wybuch pierwszej wojny światowej przerwał pracę nad powieścią, a przede wszystkim zasadniczo zmienił jej projekt. Początkowo Mann chciał napisać duże opowiadanie w stylu „Śmierci w Wenecji"; tragikomiczną miksturę śmieszności i śmierci. Efekt końcowy, który ujrzał świat w 1924 r., był czymś zupełnie innym – wielką powieścią portretującą inteligencję europejską w przededniu wojny.

W mały światek sanatorium przeciwgruźliczego wprowadził Mann studenta Hansa Castorpa, który przeżyje tam siedmioletnią inicjację, uwięziony w czworoboku uwodzących go postaci, który tworzą: Lodovico Settembrini – Włoch, wielbiciel oświecenia; Leo Naphta – Żyd i jezuita zafascynowany tyranią; Mynheer Peeperkorn – Holender, witalistyczny miłośnik życia; wreszcie Madame Kławdia Chauchat, którą pokocha. Samobójstwo Peeperkorna, wyjazd pani Chauchat i pojedynek Settembriniego z Naphtą, podczas którego Włoch strzeli w powietrze, a jezuita odbierze sobie życie, będą kulminacją i końcem edukacji Hansa.

Mann uczynił ze śmierci główny temat powieści i próg właściwego wtajemniczenia w istotę życia, a jest nią ponownie śmierć, tyle że przyjmowana świadomie, a nawet z ekstatyczną gotowością. W finale powieści widzimy Hansa, jak biegnie do ataku podczas bitwy, nie zwracając uwagi na śmierć kolegów i ryzyko, że zginie. Ta zagadkowa fascynacja bliskością śmierci jako kwintesencją życia nie była wymysłem Manna. Tysiące młodych ludzi, przedstawicieli inteligencji, masowo zaciągało się do wojska nie tylko z powodów patriotycznych, ale w uniesieniu ekstatycznym poczuciem, że wreszcie przeżyją coś mocnego i prawdziwego, co powie im, kim są naprawdę.

Wybuch wojny kończy u Manna powieściowy spór o sens powszechnego oświecenia wszystkich ludów, jaki prowadzą na oczach Hansa Settembrini z Naphtą. Czy wojna jest w epilogu ostatecznym argumentem Naphty zza grobu? Czy należy zawierzyć rozumowi, jasności, ludzkiej wolności, jako siłom, które winny kierować historią, czy raczej ulec przemocy siły i autorytetu dominującej jednostki, która i tak narzuci nam swoją wolę? Ten temat nie przestanie fascynować Manna, a historia zmusi go do napisania kolejnej powieści na ten temat, czyli „Doktora Faustusa". Tymczasem jednak jesteśmy u schyłku *belle époque*, demony jeszcze śpią, a bohater z całą niewinną naiwnością powierza swoją duszę kolejnym zwodzicielom.

U siebie

Nas do powrotu na Czarodziejską Górę zmusza właśnie Olga Tokarczuk, bowiem jej najnowsza wyczekiwana powieść „Empuzjon" oparta jest na wzorcu powieści Manna. Stanowi jawną z nią rozmowę, spór, uzupełnienie, modyfikację i alternatywę zarazem.

W najbardziej lapidarny – sugerowany przez podtytuł – sposób można ująć „Empuzjon" jako feministyczno-ekologiczny horror na motywach „Czarodziejskiej góry". Nie ma jednak nic wysilonego w tym pomyśle. Jest całkowicie naturalny za sprawą miejsca akcji, które należy od początku pisarstwa Olgi Tokarczuk do jej rzeczywistego i fantastycznego świata. Powiat wałbrzyski, Góry Suche, uzdrowisko w miejscowości Sokołowsko (dawniej i w powieści Görbersdorf) – uzdrowisko, które zapoczątkowało metodę górskiego leczenia objawów gruźlicy. Zachwyt i twórczą zazdrość budzić może łatwość i wdzięk, z jakimi Tokarczuk sięgnęła po klejnot literacki, który leżał przed naszymi oczami w postaci Sokołowska, wsi i sanatorium będącego rzeczywistym prototypem Berghofu w Davos.

Skoro tu bowiem zaczęła się historia opowiedziana przez Tomasza Manna, to oczywiście należy ją opowiedzieć ↦

Olga Tokarczuk.
Wrocław, listopad 2019 r.

ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ na nowo w ścisłym powiązaniu z miejscem, które zainspirowało pisarza i pisarkę. Hans Castorp naprawdę nazywa się Mieczysław Wojnicz i przybywa do Görbersdorfu wczesną jesienią 1913 r. z Lwowa, gdzie studiuje na politechnice. Akcja powiedzie nas zatem na Dolny Śląsk, gdzie kuracjuszy leczących gruźlicę prześladują dziwne, mroczne siły. Niezwykły, dziwny tytuł powieści okazuje się nazwą miejsca, gdzie przebywają „empuzy", jak nazywa czarownice Arystofanes w „Żabach". W powieści są to lasy okalające Görbersdorf, do których miały uciec bezpowrotnie (i żyć w nich nadal) kobiety oskarżane o czary w czasach inkwizycji. Od tamtych czasów mszczą się na mężczyznach.

Dla wielbicieli „Czarodziejskiej góry" rozpoczyna się od tej chwili ekscytująca gra w znajdowanie podobieństw i różnic, ale nie o zabawę z dziadkiem Mannem idzie, jak sądzę, autorce. Wielka klasyczna powieść jest jak matryca, macierz, *matrix*, która bierze w posiadanie naszą wyobraźnię, aby ta w pokorze potwierdziła: tak, taki jest świat. Pojemność tych powieści jest nieskończona, kolejne pokolenia czytelników lokują w niej swoje wyobrażenia o świecie i okazuje się, że tam pasują; że i my jesteśmy ludźmi, których wymyślił Szekspir – według słynnego powiedzenia Harolda Blooma. Mistrzowsko rozpoznała Tokarczuk aktualną siłę powieści Manna, przejęła tę klasyczną opowieść i napisała ją swoim oryginalnym, doskonale wyczulonym na współczesność głosem.

Bez kobiet

Pierwsze zdziwienie, dlaczego teraz, dlaczego tu – w Polsce i Europie – przepisywać wielką powieść Manna, szybko ustępuje. Gruźlica była u Manna metaforą choroby liberalnego Zachodu, która doprowadziła nas do dwóch potwornych wojen. Dla nas metafora zmieniła się w rzeczywistość. Świat naprawdę zachorował na covid, mapa skleiła się z terytorium, metafora się urzeczywistniła, a potem przyszła wojna, czyli inwazja Rosji na Ukrainę. Oby sztuka znów nie okazała się mimowolnym proroctwem, ale dziejąca się wojna już złowrogo potakuje nowej powieści Tokarczuk. To nie ekologiczne metafory łączą kobiece ciało z naturą; ziemia i kobieta są dosłownie podbijane, gwałcone, traktowane jak trofeum wojenne.

Od starożytności wielu widziało w kobiecości siłę, będącą zarazem naszym przeklenstwem i nadzieją na powstrzymanie śmierci przez rozmnażanie się i potomstwo.

Dlatego już się nie będziemy dziwić, że bodaj najbardziej aktualnym tematem „Empuzjonu" jest płeć, kwestia, która dla Manna nie miała pierwszorzędnego znaczenia. U Tokarczuk zostaje postawiona w sposób paradoksalny, ponieważ „Empuzjon" to właściwie opowieść o świecie bez kobiet, choć od zbrodni popełnionej na kobiecie zaczyna się akcja powieści, a „kwestia kobieca" jest najgoręcej dyskutowanym zagadnieniem. Męscy bohaterowie mieszkający razem w pensjonacie toczą dyskusje na temat kobiecości, mieszając mizoginistyczne cytaty z literatury i filozofii modernistycznej z knajpianymi mądrościami na temat kobiecości i męskości głoszonymi przez męskich szowinistów wszystkich epok. Antologię źródeł dostaje czytelnik na końcu powieści.

W pierwszej lekturze antykobiece postawy i poglądy pleniące się w głowach i słowach męskich mizoginów wydają się wyciągnięte z antyfeministycznej rupieciarni XIX w. Ale kiedy podniosłem wzrok znad książki, uświadomiłem sobie, jak wiele z nich wciąż funkcjonuje w publicznej debacie. Na czele z przekonaniem o narodowej własności ciała kobiety, gdyż „jej ciało, a więc i ona sama, należy do wszystkich, gdyż jest naczyniem, z którego biorą się ludzie, więc ciało kobiety, jej brzuch, jej macica należą do ludzkości". Kuriozalne, ale jak widać po współczesnej Polsce, wnuki Otto Weiningera trzymają się mocno.

Kąpiel płci

Wobec rzeczywistego i symbolicznego zniknięcia kobiet męskim bohaterom „Empuzjonu" pozostają fantazmaty lub groteskowe lalki Tuntschi, obiekty do erotycznego zaspokajania się pasterzy i węglarzy, spędzających tygodnie w górach lub lasach. Mimo to nowa powieść Tokarczuk nie jest tylko feministycznym pamfletem na dziaderski maskulinizm czy powieścią zemsty za historyczne prześladowania kobiet. „Empuzjon" okazuje się również powieścią o udręce męskości. Galeria męskich bohaterów zamieszkujących pensjonat dla panów, na czele z jego gospodarzem, reprezentuje całe spektrum męskości uformowanej przemocowo przez pedagogiczne wzorce mieszczańskie XIX w., które stają się pułapką bez wyjścia.

Groźna fikcja „selfmademana" rujnuje ich życie, redukując złożone bogactwo osobowości do stereotypu siły i techniczno-racjonalnej dominacji. U większości męskich bohaterów widać lęk przed naturą, kobietą, czułością, lepką czy ziemistą substancją, splątaniem, chaosem. Przenika ich obronne pragnienie prostych rozwiązań, struktury przecinającej złożoność i komplikacje. Na tym tle, jak chwila ulgi, pojawiają się retrospekcje uroków kąpieli, której doświadczał Mieczysław, otulany pieszczotami i czułymi słowami przez wiejską opiekunkę. Fenomenalna scena oparta jest głównie na pieszczocie języka, której poddaje się bohater.

Paradoksalnie – ulgą dla mężczyzn jest przebywanie w świecie śmiertelnie chorych. Choroba daje im wreszcie prawo do słabości i przyznania się do potrzeby czułości; do przyznania się, że nikt nie jest niezależny, że się nawzajem potrzebujemy.

Spór o płeć i jej prawa to główna różnica między powieścią Manna i Tokarczuk. Dla tej ostatniej ideologiczna i polityczna interpretacja różnicy między płciami jest fundamentalną przyczyną całego pasma dramatów, jakie gotujemy sobie wzajem, jak również naturze. Opanować naturę oznacza bowiem ostatecznie zapanować nad śmiercią. Stąd w „Empuzjonie" Olga Tokarczuk reaktywuje stary lęk przed różnicą płciową i pokazuje go wprost jako lęk przed losem wszystkiego, co żyje. Od starożytności po dziś dzień wielu widziało w kobiecości siłę, która jest zarazem naszym przekleństwem i nadzieją na powstrzymanie śmierci przez rozmnażanie się i potomstwo. Zarówno mizogini wszystkich epok widzą w kobiecie podstęp natury, którym ta odwraca uwagę od ideału i wieczności, jak i wyznawcy świętości każdego życia starają się zapanować nad grozą „kobiecości". Wszyscy, z wyjątkiem Mieczysława, który posiada tajemniczą, wewnętrzną siłę.

Już Mann pozostawił swojego bohatera w dziwnym uśpieniu, swoistym śnie przed przebudzeniem do dojrzałości. Jedną z najbardziej intrygujących cech Hansa Castorpa jest pewien rodzaj moralnej siły i odporności na manipulację innych, starszych, sprytniejszych, mądrzejszych.

Castorp, wcielenie inteligencji mieszczańskiej, wychodzi cało z czterech prób duchowego uwiedzenia, jakim poddaje go Mann. I co najbardziej tajemnicze, żadnemu ostatecznie nie ulega. Dziwna odporność na ideologię i metafizykę, hedonistyczną zachłanność i pożądanie jest szczególną zagadką tej postaci. Czy jest to rozsądna prawość, czy zdolność odgadywania skrytych intencji, czy może przeciwnie – swoiste lenistwo umysłowe sytego mieszczańskiego chłopca, który ceni prawo, społeczny ład, dobre posiłki i cygara bardziej niż wycieczki na szczyty ducha?

Olga Tokarczuk dopełnia w fascynujący sposób puste miejsce w bohaterze Manna. W jaki sposób to czyni, nie należy ujawniać przed premierą powieści, niemniej w przypadku Wojnicza źródłem siły okaże się, paradoksalnie, jego słabość – wstydliwy dla niego, choć jednocześnie fascynujący dla wszystkich sekret, który poznamy pod koniec powieści.

Przez to też radykalnie inny wydźwięk ma zakończenie obu powieści. Klęskę humanistycznej edukacji na froncie I wojny obrazuje biegnący do ataku Hans, wdeptujący w błoto dłoń poległego towarzysza. Wojnicz znika ze strasznego, szykującego się do wojny świata podobnie, jak znikają w legendzie kobiety oskarżane o czary.

Nie jesteśmy sami

„Empuzjon" to nie tylko świat bez kobiet, ale również świat bez Polski, co zrozumiałe, zważywszy na trwające wciąż w okresie akcji rozbiory. Oferuje nam autorka ćwiczenie się w spojrzeniu na świat, w którym nie dominuje własna – zwłaszcza męska i narodowa – perspektywa. Lekcja patrzenia, jakiej udziela ta powieść, dotyczy w pierwszym rzędzie tożsamości etnicznej, a konkretnie – jej chronicznej niejednorodności. Bohaterowie powieści to rasowi i kulturowi mieszańcy, typowi przedstawiciele Europy Środkowej. Wśród ich rodziców i krewnych są Rumuni, Rosjanie, Węgrzy, Niemcy, Polacy, Czesi, Żydzi. Wiemy, że to nasze dziedzictwo, a jednak jesteśmy wraz z bohaterami na progu dwóch wielkich wojen wywołanych przez wyparcie tej wiedzy w imię czystości rasy narodowej.

> Jesteśmy podpatrywani przez coś, co się nie ujawnia, ale jest obecne w powieści na wiele sposobów. Wymusza uznanie **obecności innego życia niż ludzkie i zrobienia mu miejsca obok.**

Tu dokonuje się ważna humanistyczna praca autorki. Powieść jest bowiem eksperymentem rozbijania antropocentrycznej i etnicznej pychy człowieka, zwłaszcza mężczyzny w jego historyczno-kulturowej kulminacji, jaką jest przełom wieków XIX i XX. Wszyscy okazujemy się spadkobiercami i więźniami tamtego czasu, który nie chce się skończyć wbrew koszmarom dwóch wojen światowych.

W „Empuzjonie" do rozbijania stereotypów służy zmiana sposobu widzenia rzeczywistości. Pomaga w tym nalewka z grzybów pita w nadmiarze przez bohaterów. Tajemniczy trunek, rzecz jasna, jest tylko literackim symbolem, ilustrującym proces przełamywania podmiotowo-przedmiotowej pozycji człowieka w świecie przebogatym w inne istnienia. Można też nalewkę potraktować jako alegorię koncepcji literatury tworzonej przez Olgę Tokarczuk. W uproszczeniu, dzięki tej literackiej nalewce czytelnik może odbyć podróż ze świata płaskiego, ograniczonego do dwóch wymiarów kartki papieru (Flatlandia), do świata wielu wymiarów (Empuzjon). Drzwi do niego otwierają wyobraźnia i przenikliwe widzenie, które powstaje, kiedy próbujemy opuścić perspektywę czysto ludzką.

Tę naukę innej percepcji Tokarczuk prowadzi na kilka sposobów. Przede wszystkim wprowadzając „nie-ludzkiego" narratora. Zabieg jest intrygujący i nowatorski, nadaje też zupełnie inny wymiar ironicznej narracji przejętej od Manna. Od pierwszej sceny główny bohater jest opowiadany przez istotę, a raczej istoty, których tożsamości nie poznamy – „wszystko mu się przyglądało". To główne źródło aury niepokoju, która spowija ten świat. Razem z bohaterem jesteśmy podpatrywani przez „coś", co się nie ujawnia, ale jest obecne w powieści na wiele sposobów. Nastrój dający bohaterom i czytelnikowi wrażenie, że nie jesteśmy sami, ma pożytek epistemologiczny i pedagogiczny, wymusza bowiem uznanie obecności innego życia niż ludzkie i zrobienia mu miejsca obok.

Antidotum

„Empuzjon" jest gęsty od literackich gier i ważkich tematów, ważnych od lat dla autorki i jej czytelników. Ale powieść, przy całym jej nowatorstwie, jest jak powrót do domu. Spotykamy dawnych znajomych, ulubione miejsca nasycone historią i magią, nalewki z grzybów i mrówek, erudycyjne szarady, a przede wszystkim – powieściowy dialog z naszym życiem współczesnym, które wspólnie wiedziemy jako ludzie, Europejczycy, Polacy. W tej powieści tajemnic powrócą kluczowe problemy prozy Tokarczuk: holistyczne widzenie rzeczywistości, konsekwencje uprzedmiotowienia natury, świadomość zbiorowa, afirmacja wyobraźni i współczucia. W pewnym sensie powróci nawet słynny mnich Paschalis z „Domu dziennego, domu nocnego".

Gatunkowa konwencja horroru, gry historii, topografii, wypisów z rozmaitych ksiąg użytecznych i nieużytecznych wytwarzają specyficzną i znaną przyjemność obcowania z prozą Tokarczuk, czyniąc z tej powieści wielofunkcyjny aparat dla refleksji i wyobraźni – antidotum na poczucie bezradności jednostki wobec wielkich sił historii.

Skromne moce zadrukowanej fikcją strony dają nam znów do zrozumienia, że nie musiało być tak, jak było, a więc nie musi być tak, jak jest.

© RYSZARD KOZIOŁEK

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

FRANCISZEK MYSZKOWSKI / INSTYTUT TEATRALNY

Ignacy Gogolewski w roli Konrada w „Dziadach", Teatr Polski w Warszawie, 1955 r.

WOJCIECH PLEWIŃSKI / STARY TEATR

Jerzy Trela jako Konrad w inscenizacji „Dziadów", Stary Teatr, Kraków, 1973 r.

Każdy w swoją drogę

DARIUSZ KOSIŃSKI

Ignacy Gogolewski i Jerzy Trela – aktorzy, którzy ucieleśnili wyobrażenia romantyczne, choć z ich jednoznacznością walczyli – zmarli tego samego dnia, 15 maja w Roku Romantyzmu. Obaj byli Konradami.

Rzeczywistość potrafi wymyślać scenariusze tak niewiarygodne, że gdyby ktokolwiek je napisał, zostałyby odrzucone jako zbyt naciągane. Bo pomyśleć tylko – tego samego majowego dnia umiera dwóch wielkich aktorów, którzy stworzyli więcej niż wybitne kreacje w roli Gustawa/Konrada w niezwykle ważnych inscenizacjach „Dziadów" Adama Mickiewicza.

Najpierw przyszła wiadomość, że odszedł Ignacy Gogolewski (urodzony 16 czerwca 1931), który był jednym z dwóch wykonawców tej roli w pierwszej postalinowskiej inscenizacji wyreżyserowanej przez Aleksandra Bardiniego (Teatr Polski w Warszawie, 26 listopada 1955). Niedługo potem dowiedzieliśmy się, że zmarł Jerzy Trela (urodzony 14 marca 1942), legendarny Gustaw/Konrad w legendarnej inscenizacji Konrada Swinarskiego (Stary Teatr w Krakowie, 18 lutego 1973). Obie śmierci zdarzyły się w Roku Romantyzmu.

Nic dziwnego, że natychmiast pojawiły się komentarze wieszczące koniec, jeśli nie romantyzmu w ogóle, to przynajmniej jakiejś jego wyrazistej, łatwo rozpoznawalnej, nie tylko dlatego, że teatralnej, formuły. Wojciech Malajkat w komentarzu dla PAP powiedział nawet coś mocniejszego – że oto zerwana zostaje ostatnia nić łącząca nas „ze światem, do którego już nigdy nie będziemy mieli dostępu, ze światem romantyzmu". Gdzieniegdzie znów dały się słyszeć westchnienia ulgi, że nareszcie.

I one, i wieszczenia końca wydają się jednak przedwczesne i przesadzone, a co gorsza, fałszują obraz dokonań obu wybitnych artystów w sposób niemal równy temu, jak już pojawiające się w medialnych nekrologach opisywanie Ignacego Gogolewskiego jako „niezapomnianego Antka w »Chłopach«". Sprowadzanie wielu lat twórczego życia do takich formułek to krzywda gorsza niż milczenie.

Piękny dwudziestoletni na czworakach

Kiedy Ignacy Gogolewski zagrał Gustawa/Konrada, miał 24 lata i odpowiedział na wyobrażenie o powrocie romantycznego bohatera, wygnanego ze sceny teatralnej i społecznej przez socrealizm. Ukazująca go w tej roli fotografia Franciszka Mysz-

kowskiego nawet dzisiaj robi wrażenie archetypowej ikony młodego buntownika niesionego czymś, co porywa jego ciało, zamieniając w znak przekroczenia siebie i wyzwania przeciwko światu. Gdybym miał wybrać jeden wizerunek romantycznej energii, buntu i uniesienia, to wybrałbym właśnie to zdjęcie Gogolewskiego ruszającego z rozrzuconymi ramionami przeciwko bryle świata.

Trudno chyba o przykład bardziej harmonijnego połączenia społecznych wyobrażeń i warunków fizycznych aktora. Jeśli do tego dodać świetny głos i znakomitą technikę, której wówczas od wykonawcy ról wielkiego repertuaru bezwzględnie wymagano, to nie można się dziwić, że Gogolewski łączył romantyzm odzyskiwany jako utracony skarb z buntem młodego pokolenia postalinowskiej odwilży. Zbigniew Majchrowski, który w swojej „Celi Konrada" powiązał Mickiewiczowskiego bohatera w wykonaniu Gogolewskiego z „pięknymi dwudziestoletnimi", dowodzi, że został on przez rówieśników przyjęty jako swój. Gogolewski był Konradem pięknym i dwudziestokilkuletnim, nie tyle budującym jakąś wyrazistą interpretację romantyzmu, ile dającym mu ciało i głos, przywracającym życie.

Sukces „Dziadów" i polityczna zgoda na kolejne inscenizacje romantyczne sprawiły, że aktor uznany został za uosobienie romantycznego ideału i w następnych latach grał kolejne role w dramatach Słowackiego: Rizzia w „Marii Stuart" (1958) i Mazepę (1958) – obu na scenie Teatru Polskiego w Warszawie w przedstawieniach Romana Zawistowskiego, Gianniego w „Beatrix Cenci" (1959), a w końcu Kordiana (1965). To, że jako Kordian i Mazepa, a także jako Fantazy (odpowiednio 1963, 1969 i 1965) pojawił się też w mającym wówczas rzeczywiście masową widownię Teatrze Telewizji i że nagrał płytę „Wielkie monologi romantyczne" (Muza 1966), umocniło i upowszechniło skojarzenie Gogolewskiego z postaciami romantycznych bohaterów. A przecież już wówczas grał całkiem sporo ról o zupełnie innym charakterze – od Sofoklesa po Dürrenmatta – i można było nawet odnieść wrażenie, że chce się z romantycznej szufladki wydobyć. Być może właśnie dlatego w potencjalnie najpopularniejszym przedsięwzięciu, w jakim przyszło mu uczestniczyć – powtarzanym do dziś telewizyjnym serialu „Chłopi" – zdecydował się zagrać postać najdalszą od romantycznych wyobrażeń.

Jeśli spojrzeć na aktorski repertuar i biografię Gogolewskiego, bez trudu można zauważyć, że był ich uosobieniem stosunkowo krótko. Z chłopcem w białej koszuli buntowniczo rozrzucającym ramiona niewiele miała wspólnego jego postawa na początku lat 80., kiedy udzielił poparcia stanowi wojennemu i łamał aktorski bojkot TVP. Gdy w roku 2005 został wybrany prezesem ZASP, wielu protestowało.

Także ze sceny, na której widziałem go głównie w ostatnim okresie kariery, pamiętam najmocniej kogoś zupełnie innego – radykalnie nieromantyczną, a może wręcz antyromantyczną postać podsiąkniętego niemal desperacką autoironią starego dżentelmena, który trzyma fason, ale zarazem ma do tego fasonu stosunek krytyczny i prześmiewczy. Nie wydaje mi się, by ta odmienność wynikała tylko z wieku i nie sądzę, by to przypadek sprawił, że po latach różnych zawirowań na stanowiskach dyrektorskich w Katowicach, Lublinie i warszawskich Rozmaitościach, po okresie zasłużonego „gwiazdowania" w kulturalnym nad wyraz i na wysokościach Teatrze Polskim, Gogolewski zdecydował się przenieść do Teatru Narodowego pod dyrekcją Jerzego Grzegorzewskiego. Nie tylko przenieść, ale znakomicie grać tam takie postacie jak stary Szarm w „Operetce" Gombrowicza (2000) czy Laurenty w „Na czworakach" Tadeusza Różewicza w reżyserii Kazimierza Kutza (2001).

Aktor, który nosił wciąż – jak to się ładnie mówi – ślady dawnej urody romantycznego amanta i zachowywał wielkopański rys jakiegoś zagubionego w siermiężnej rzeczywistości arystokraty, zdawał się mieć w tych rolach niemal drapieżnie groteskowy stosunek i do siebie bohatersko-pańskiego, i do kontrastowo odmiennego otoczenia. Pogarda i obrzydzenie to może za mocne słowa, ale na pewno nie była to łączność z apoteozowanym romantyzmem i uwielbienie dla wielkiej tradycji polskiej sceny. W „Operetce" grał Szarma, ale wydawało się, że jego podstawową kwestią powinien być raczej profesorski „rzyg!" – oczywiście wygłoszony z nienaganną emisją i eleganckim skrętem całego ciała.

Zmęczenie

Cukrująca przeszłość ideologia „wielkiej tradycji" sprawiła, że niemal zapomniano, dlaczego Konrad Swinarski wybrał Jerzego Trelę, drugoplanowego aktora charakterystycznego, do roli Bohatera Polaków. A przecież szykował w swoich „Dziadach" atak wymierzony w podniośle pomnikowy romantyzm patriotycznego dziedzictwa. Tak jak w innych swoich przedstawieniach, chciał wydobyć ze zbyt już uleżałego (a po marcu 1968 r. na dodatek uwieńczonego kombatancką koroną) arcydramatu wewnętrzne sprzeczności, dwuznaczności, ciemne strony i destrukcyjne szaleństwo, którymi romantyczna postawa zawsze jest zagrożona.

Jerzy Trela grający Gustawa/Konrada nie miał być żadnym „uosobieniem romantyzmu" – raczej człowiekiem współczesnym pochwyconym przez jego wir i – na czym chyba zależało reżyserowi najbardziej – poznającym go na nowo, patrzącym nań świeżym okiem jak na coś nieznanego. Trela – przedwcześnie osierocony syn kolejarza – ze swoją biografią przypominającą raczej Wokulskiego niż Konrada, z bolesną wiedzą o trudach życia ludzi ciężko pracujących, z jakąś niemal pepeesowską etyką rzetelnej pracy, punktualności i usługowości, z twarzą młodą, a już naznaczoną bruzdami doświadczenia, wydawał się już w momencie obejmowania roli zaprzeczeniem tej młodziankowatej uroczej pasji, jaka bije ze zdjęcia Gogolewskiego.

A jednak przedstawienie – choć pisano o nim, że fascynuje i męczy – nie stało się prowokacją i szokiem, ale weszło do kanonu, a po przedwczesnej śmierci reżysera zostało wręcz uświęcone. Trela, który postać Konrada przedłużył, pogłębił i jeszcze bardziej udwuznacznił grając ją w „Wyzwoleniu" (Stary Teatr w Krakowie, 30 maja 1974), został mimo to przybity do tablicy z napisem „Romantyczni herosi naszej chwalebnej przeszłości scenicznej". Dziś już nawet współtwórcy tamtych przedstawień wydają się nie pamiętać, o co toczyła się gra i tylko czytający uważnie źródła historycy przypominają, że i Konrad Treli, i inscenizacje Swinarskiego rzucały stereotypom romantyzmu mocne wyzwania, a obaj artyści raczej walczyli z mechanizmami upupiającej czci, niż dawali się unosić ich rozleniwiającym nurtom.

W przypadku Treli przesłonięcie romantyzmem niemieszczących się w nim aspektów jego aktorstwa i dorobku jest jeszcze bardziej dramatyczne ↦

↦ i problematyczne niż w przypadku Gogolewskiego. Starszy Konrad miał amancki wdzięk romantycznego kochanka, a w repertuarze – serię ważnych ról ten wzór realizujących. Młodszy – wprost przeciwnie. Nawet jeśli grywał role romantyczne, to były one problematyczne jak jego Konrad, a wcale często pojawiały się jako rodzaj polemicznego cytatu. Większość swoich najznakomitszych kreacji stworzył jednak w repertuarze nie-, a nawet antyromantycznym, przede wszystkim u dwóch wielkich Jerzych – Jarockiego i Grzegorzewskiego. Wspaniałe kreacje ojcowskie w „Ślubie" Gombrowicza w reżyserii pierwszego (1991) i w „Sędziach" Wyspiańskiego inscenizowanych przez drugiego (1999) są w niemal każdym swoim aspekcie zaprzeczeniem romantycznych wzorców.

Aktorstwo Treli, jeszcze bardziej niż aktorstwo Gogolewskiego, było sztuką człowieka dojrzałego, a nawet starego. Tymczasem polski romantyzm, o czym zapominamy zbyt łatwo, był tworem ludzi młodych (wyjątkiem Norwid, ale on zawsze wyjątkowy), którzy swoją młodość cenili wysoko i podtrzymywali mimo metryki. W swoim aktorstwie Jerzy Trela zdawał się zmierzać w stronę wprost przeciwną – przedwczesnej, a potem już pełnej i pełniejącej z każdym rokiem dojrzałości, wyciszającej się i patrzącej na sprawy świata z przepojonym goryczą spokojem.

Być może jakimś źródłem tej goryczy była świadomość – zaskakująco podobnej, choć nie tak spektakularnej jak u Gogolewskiego, a dziś ganionej postawy przyjętej w okresie stanu wojennego i w latach następnych (Trela był m.in. posłem w ostatniej przed 1989 r. kadencji Sejmu PRL, wybranym w wyniku fikcyjnych wyborów). Wydaje się to jednak wątpliwe, bo i wtedy, i dziś środowisko bez trudu go usprawiedliwiało, uznając, że w ten sposób chronił krakowską Szkołę jako jej rektor. Być może, ale jakoś frapujący jest ten dramatyczny rys wspólny biografii obu PRL-owskich Konradów...

> Odchodzą dwaj Konradowie, którzy z kręgu romantycznych pytań i udzielanych na nie „mistycznych" odpowiedzi usiłowali wyjść. Usiłowali nadaremnie, **bo gdy ostatecznie odeszli, pożegnano ich jako „uosobienia romantyzmu".**

Niezależnie od powodów, z aktorstwem Treli tak bardzo związały się podkrążone oczy, poorana zmarszczkami twarz i głęboki, dobywający się jakby z oddalenia głos, że aż trudno uwierzyć, że kiedyś był młody. Gdy pojawił się po raz ostatni na scenie jako Konrad – w „Wyzwoleniu" w reżyserii Anny Augustynowicz (2019) – przychodził z daleka jako widmo dawnego teatru – słuchane jeszcze uważnie i z szacunkiem przez scenicznych kolegów, ale już niemal nierozpoznawane przez widzów, zwłaszcza młodszych. I w tej, i w innych rolach ostatnich lat bił z jego postaci smutek. Choć przecież jako aktor był spełniony, miałem nieustanne wrażenie, że był to smutek przegranej.

Przywitaj się po dawnemu

Ignacy Gogolewski i Jerzy Trela umarli w trzecim miesiącu wojny w Ukrainie, której etyczny, historiozoficzny i metafizyczny wymiar odsłonił nieadekwatność tego, co tak długo nosiło się jako intelektualną i duchową współczesność. Nagle zaczęto znów mówić o romantycznych wzorcach dramatycznego rozumienia historii. Powrócono do porzuconych lektur, w poczuciu, że w niedoczytanych wykładach paryskich Adama Mickiewicza i jego artykułach z „Trybuny Ludu", a może nawet w krwawych wizjach mistycznego Juliusza Słowackiego da się znaleźć odpowiedź współbrzmiącą z wyzwaniami dzisiejszych czasów. Niespodziewanie najbardziej drapieżnym, kłopotliwym, niemal niewystawialnym dramatem okazuje się nie jakieś dzieło radykalnej sztuki krytycznej, ale „Sen srebrny Salomei", gdzie ten sam „wieszcz", który przewidział „słowiańskiego papieża", zapisał porażający tren zaczynający się od słów „Ach, Ukrainy nie będzie...". W Roku Romantyzmu.

Korci mnie, by ten ciąg „zbiegów okoliczności" zinterpretować tak, że oto w roku realnie powracających romantycznych pytań o potęgę zła, sens cierpienia i śmierci niewinnych i o to, czy światem ktoś rządzi, odchodzą dwaj Konradowie, którzy z kręgu tych pytań i udzielanych na nie „mistycznych" odpowiedzi usiłowali wyjść. Usiłowali nadaremnie, bo gdy ostatecznie odeszli, pożegnano ich jako „uosobienia romantyzmu". Korci mnie, by powiedzieć, że istnieje logiczny i symboliczny związek między ich odejściem a tryumfalnym powrotem krwawego romantycznego serio. Ale opieram się tej pokusie z całych sił, bo doprawdy zbyt to łatwe i efekciarskie, nawet jeśli „życie" co chwila dowodzi, że ma skłonność do takich chwytów.

Zamiast tego wolę przypomnieć ich trud i wielość sposobów, na jakie romantyzmowi wiszącemu jak widmo nad ich biografiami usiłowali odpowiedzieć. Obawiam się bowiem, że widmo wraca i że nam także przyjdzie udzielić odpowiedzi – każdemu własnej. © DARIUSZ KOSIŃSKI

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Kielcach toczy się postępowanie w sprawie VIII Ns 207/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Saganowskiej, posiadającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kielcach, zmarłej w dniu 22 stycznia 1994 r. W skład spadku po zmarłej wchodzi wynoszący 1/2 części udział w prawie własności nieruchomości oznaczonej jako działka ewidencyjna 260/6, położonej w Kielcach przy ulicy Husarskiej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 348/21 toczy się postępowanie z wniosku Edyty Głąb o stwierdzenie nabycia spadku między innymi po Andrzeju Marku Wielgusie, zmarłym 10 września 2020 r. w Immenstadt I. Allgäu, ostatnio zamieszkałym w Grochowej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Andrzeju Marku Wielgusie, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIKIMEDIA COMMONS / DOMENA PUBLICZNA

J.R.R. Tolkien na kampusie uniwersyteckim w Oksfordzie, ok. 1968 r.

Frodo w okopach

JOHN GARTH, PISARZ:

Tolkien nie był nostalgikiem, bo nie o tęsknotę za rzeczami minionymi mu chodziło. Śródziemie zrodziło się z przerażenia rozpadem świata – rozpadem, który widział na własne oczy.

MICHAŁ SOWIŃSKI: W tym roku po polsku ukazała się Pana książka „J.R.R. Tolkien i jego światy. Miejsca, z których wyrosło Śródziemie", a dwa lata wcześniej „Tolkien i pierwsza wojna światowa. U progu Śródziemia".

JOHN GARTH: O udziale Tolkiena w Wielkiej Wojnie wspomina prawie każda notka biograficzna. Mało jednak osób zdawało sobie sprawę, jak głębokie piętno odcisnęły na nim te miesiące spędzone w okopach nad Sommą. Jako oficer łącznikowy codziennie oglądał śmierć setek, jeśli nie tysięcy młodych ludzi, w tym prawie wszystkich swoich najbliższych przyjaciół z czasów szkolnych i studenckich.

Sam też ledwo uszedł z życiem.

Jesienią 1916 r. ciężko zachorował na gorączkę okopową i został odesłany do Anglii, gdzie prawie rok wracał do zdrowia. Nie znalazłem nigdzie bezpośredniej wzmianki o depresji, lękach czy innych traumatycznych bliznach, ale każdy wracał stamtąd odmieniony. Zwłaszcza ludzie obdarzeni taką wrażliwością i wyobraźnią. Tolkien zazwyczaj kojarzy się z fajką i wygodnym fotelem – pogodnie uśmiechnięty, nobliwy starzec. Takie zdjęcia najczęściej pojawiają się na okładkach. Mało kto pamięta o przerażonym żołnierzu, który w okopach pełnych błota i szczurów, przy nieustającym huku artylerii, w wymiętym notesiku zapisuje swoje pierwsze wiersze.

Tolkien nie miał szczęścia do krytyków – większość z nich do dziś nie uznaje go za pełnoprawnego pisarza.

To rzeczywiście osobliwy przypadek w dziejach nowoczesnej literatury. W ostatnich dekadach sytuacja się nieco zmieniła, ale ta niechęć jest wciąż widoczna, szczególnie w Wielkiej Brytanii. W 1997 r. sieć księgarni Waterstones zorganizowała plebiscyt na najlepszą książkę XX wieku. „Władca pierścieni" nie tylko znalazł się na pierwszym miejscu, ale też zdeklasował rywali. Oczywiście w „poważnych" kręgach kultury zawrzało: „Pisarzem stulecia został ten cudak i eskapista od hobbitów i smoków?! To więcej niż skandal, to potwarz dla całej anglojęzycznej kultury".

Coś się od tego czasu zmieniło?

Dorosło kolejne pokolenie czytelników, którzy literaturę gatunkową, szczególnie spod znaku fantasy, zazwyczaj traktują już jako pełnowartościową część kultury. Z kolei ich starsi koledzy przestali się w końcu wstydzić Tolkiena. Powstało też sporo nowych książek, gdzie w końcu traktuje się go z należytą powagą, lecz także ustawia się jego prozę w zupełnie nowych kontekstach.

To na froncie nad Sommą narodziło się Śródziemie?

Najprawdopodobniej pierwsze zwrotki pieśni o Eärendilu, żeglarzu nocnego nieba, zrodziły się właśnie tam. A z nich ↦

↦ powoli kiełkowały kolejne elementy tego uniwersum. Ale to właśnie Eärendil, jak często powtarzał Tolkien, jest kluczową postacią dla jego zrozumienia.

Eskapista – to epitet, który na stałe przylgnął do Tolkiena.

To nie tylko rażące uproszczenie, ale przede wszystkim przejaw intelektualnego lenistwa jego krytyków. Wielu z nich otwarcie przyznaje się, że nie chciało im się doczytywać jego książek, bo to „historyjki o smokach i elfach". Jakby literatura mogła być wyłącznie realistycznym zapisem świata.

Czyli wciąż obowiązują klasyczne hierarchie.

I to jest prawdziwy przykład konserwatywnego zacietrzewienia, a nie tworzenie fikcyjnych światów. W szkole i na akademii niewiele się zmieniło w tym zakresie – dalej panuje przekonanie, że tylko literatura, która wprost odnosi się do problemów współczesności, może być traktowana poważnie. Wszystko inne to infantylne czy wręcz reakcyjne dyrdymałki.

Albo nostalgiczna grafomania, jak niektórzy dodają.

Tolkien nie był nostalgikiem, bo nie o tęsknotę za rzeczami minionymi mu przecież chodziło. Śródziemie zrodziło się z przerażenia rozpadem świata – nie upadku mniej lub bardziej sprecyzowanych systemów wartości czy form życia, ale z doświadczenia dosłownej anihilacji wszystkiego, co jeszcze przed chwilą strukturyzowało całą rzeczywistość. Dopiero uwzględniając ten kontekst, możemy zobaczyć, o jakie stawki toczy się u niego walka.

Czyli?

Chodzi o ocalenie tych okruchów przeszłości, które jeszcze się tu i ówdzie ostały. Stworzenie matrycy fabularnej i mitologicznej, w której mogłyby przetrwać. Dla Tolkiena filologa były to przede wszystkim języki i tradycje literackie – bo konsekwentnie nie rozdzielał tych dwóch kwestii – które przez kilkanaście wieków tworzyły imaginarium północnej Europy.

Dlaczego tylko północnej?

Jeżeli już bardzo chcemy mówić o nostalgii Tolkiena, to uzasadnione jest to jedynie w kontekście mitologicznych i językowych tradycji Anglii. Z racji skomplikowanej historii starożytnej i średniowiecznej angielska kultura jest zlepkiem kilku dużych i zupełnie różnych tradycji – od rzymskiej zaczynając, przez celtycką i normandzką, na germańsko-skandynawskiej kończąc. Tolkien zazdrościł Niemcom i Skandynawom, że mogą, oczywiście do pewnego stopnia, prześledzić wielowiekowy proces, który ukształtował ich dzisiejszą kulturę. Bo Śródziemie powstało również z miłości – Tolkien chciał podarować swojej ojczyźnie namiastkę własnej mitologii.

ARCHIWUM PRYWATNE

JOHN GARTH jest brytyjskim dziennikarzem i akademikiem. Wykładowca na St Anne's College w Oksfordzie. Badacz życia i twórczości J.R.R. Tolkiena, autor książki „Tolkien i pierwsza wojna światowa. U progu Śródziemia" oraz „J.R.R. Tolkien i jego światy. Miejsca, z których wyrosło Śródziemie".

Nie ociera się to o szowinizm?

Absolutnie nie. Po pierwsze, Tolkien poniósł tu piękną porażkę, bo stworzył świat symboli i odniesień, który rzeczywiście ma w sobie pierwiastek angielskości, ale jednocześnie błyskawicznie stał się uniwersalny, przynajmniej dla zachodniej kultury. Dziś na całym świecie miliony ludzi się z nim utożsamiają. Po drugie, tego typu pomysły skompromitowali dopiero naziści. W przypadku Tolkiena w ogóle nie chodziło o jakieś poczucie wyższości, tylko o potrzebę zakorzenienia kulturowego, możliwość swobodnego sięgania do własnego imaginarium. Własnego – w sensie wyrastającego z konkretnego miejsca, z jego geografią, historią czy po prostu lokalną idiomatycznością. To utopijny w swojej szlachetności pomysł człowieka rozkochanego w języku.

W Polsce toczy się właśnie dyskusja, jakie stanowisko wobec rosyjskiej kultury należałoby teraz przyjąć.

To trudne pytanie, nie potrafiłbym na nie jednoznacznie odpowiedzieć. Natomiast Tolkien owszem – on w latach 30. i 40. nie zgodził się, aby byle banda brutali i prymitywów odcięła mu dostęp do tak ważnej dla niego kultury germańskiej. Ten gest budzi we mnie podziw. Być może dlatego Tolkien jest do dziś tak popularny w Niemczech – w najmroczniejszych czasach nazizmu jako jeden z nielicznych wciąż chciał i potrafił sięgać do nieskażonej przez hitleryzm germańskości.

W swojej najnowszej książce pokazuje Pan, jak ważne dla Tolkiena były rodzime krajobrazy. Co udało się Panu odkryć w czasie tego geograficznego śledztwa?

Zależało mi na odnalezieniu tych miejsc, które niemalże z pewnością były inspiracją dla różnych zakątków Śródziemia, ale nie po to tylko, by wskazać je na mapie. Chciałem zrekonstruować jak najwięcej istotnych dla Tolkiena kontekstów. Część miejsc czy nawet budynków przeniósł do swoich książek niemalże bez zmian, bo były ważne dla jego prywatnej mitologii. Na przykład Wieża Morskiego Ptactwa, pierwsza z wielu, jakie się później pojawią w Śródziemiu, to miejsce, gdzie Elwinga, żona Eärendila, czeka na swego małżonka, błąkającego się po odległych niebach i oceanach. Edith, żona Tolkiena, drugą połowę 1916 r. spędziła w miejscowości Withernsea w Yorkshire, a jej dom stał tuż obok latarni morskiej. W tym czasie Tolkien był na froncie, a potem leżał długo w szpitalu.

Z kolei kiedy indziej chodziło o rzeczy bardziej uniwersalne, jak choćby obrzydliwe baraki orków, którymi usiane były równiny Mordoru. Ich opisy idealnie pasują do zdjęć prymitywnych konstrukcji, w których stacjonowali żołnierze tuż za linią frontu – dodajmy, że obu walczących stron.

Czyli w ten sposób odkrywamy nowe znaczenia?

Oczywiście, ale dla mnie ciekawsze było rekonstruowanie samych procesów, jakie zachodziły w jego wyobraźni – taka

geobiografistyka. Zazwyczaj biografowie chcą się na przykład dowiedzieć, co i kiedy czytał dany pisarz. Ja z kolei chciałem zobaczyć to, czemu długo i z uwagą przypatrywał się Tolkien.

Nie podobało mu się, jak zmienia się świat w XX wieku?

Zdecydowanie nie, ale znowu – nie dlatego, że „kiedyś było lepiej", tylko ze strachu przed konsekwencjami tego gwałtownego burzenia wielowiekowych porządków. Uważał, że postępująca industrializacja niszczy przyrodę, a gwałtowne procesy społeczne pozbawiają ludzi zakorzenienia i tożsamości. Takie myślenie było bliskie wielu intelektualistom tamtej epoki i trudno je jednoznacznie przyporządkować ideologicznie czy politycznie.

A wątki chrześcijańskie? Tolkien był człowiekiem głęboko wierzącym.

„Władcę pierścieni" przedstawia się czasem jako opowieść o konfrontacji dobra i zła. Tyle że w samych tekstach mamy aż nadto dowodów, że interpretacyjnie to ślepy zaułek. Tolkienowi, który był człowiekiem bardzo uduchowionym, nie zawsze było po drodze z kościelną dogmatyką. Z drugiej strony, był świetnie obeznany z teologią chrześcijańską, szczególnie tą sprzed wieków. Fascynują mnie pytania, które w zawoalowany sposób stawia w swoich książkach. Na przykład o obecność Boga w świecie po stworzeniu świata. Jego Eru Ilúvatar, który swoją drogą nie we wszystkim przypomina judeochrześcijańskiego Boga, nie angażuje się specjalnie w losy świata po tym, gdy wybrzmiały ostatnie akordy pieśni stworzenia. Zostawia wszystko swoim sługom, którzy z kolei mają więcej ze skandynawskich i germańskich bóstw niż z aniołów.

Tolkien nie zgodził się, aby byle banda brutali i prymitywów odcięła mu dostęp do tak ważnej dla niego kultury germańskiej. W najmroczniejszych czasach nazizmu chciał i potrafił sięgać do nieskażonej przez hitleryzm germańskości.

A pierścień?

To rzecz najważniejsza: pytanie o ontologię zła. Czy zło jest immanentną częścią świata? Czy raczej to jedynie przygodna kondycja człowieka? Tolkien zręcznie unika jednoznacznych odpowiedzi. A to dylematy fundamentalne dla średniowiecznej teologii. O ile jednak u Tolkiena możliwe są odpowiedzi wieloznaczne, o tyle w historii Europy samo stawianie tych pytań kończyło się schizmami i przemocą.

„Władca pierścieni" to książka polityczna?

Oczywiście. Weźmy same główne postaci. Wydają się zgraną ekipą, ale przecież każdy z nich ulepiony jest z zupełnie innych języków i tradycji. Ten miks sam w sobie jest już interesującym eksperymentem. Na przykład Saruman, niegdyś wielki czarodziej, którego umysł z czasem skorumpowała żądza władzy. Wydawałoby się – prosta alegoria rodem z bajek. Ale gramatyka i słownictwo jego języka pochodzą wprost ze słowników XX-wiecznych dyktatorów. Co więcej, pod sam koniec, gdy zostaje obalony i traci wszystkie moce, wciąż zachowuje swój niezwykły głos. Dzięki niemu wciąż może manipulować innymi i wyrządzać zło. Znamy to.

We „Władcy pierścieni" każda postać mówi w inny sposób?

To kolejna rzecz, na którą bardzo rzadko zwraca się uwagę. Tolkien zawsze w pierwszej kolejności był filologiem, więc język to podstawowy budulec jego świata, dopiero z niego kształtują się kolejne warstwy. I to dosłownie – na przykład cały wątek Rohirrimów zrodził się w głowie Tolkiena bardzo późno. A to dlatego, że nagle zamarzyła mu się oryginalna krzyżówka Anglosasów i Skandynawów – z własną kulturą i językiem.

A bezpośrednie komentarze do współczesności?

„Władca pierścieni" to jedna z ważniejszych powieści o obu wielkich wojnach XX wieku. Tolkien, podobnie jak wielu pisarzy, starał się pokazać, jakim były one piekłem – w ten sposób chciano zapobiec kolejnym konfliktom, to była powszechna wówczas wiara.

Gdzie to widać u Tolkiena?

Choćby w scenach batalistycznych albo gdy Frodo i Sam przedzierają się przez piekło Mordoru. Powiernik pierścienia, coraz bardziej wyniszczony psychicznie i fizycznie, do złudzenia przypomina żołnierzy znad Sommy, którzy wracali z różnymi ↦

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

SEEING STONES AND SPACES BEYOND THE VALLEY

03.06. BNN
17.07. WWA

Biennale Warszawa 2022

a w nim tekst Bartka Frąckowiaka i Pawła Wodzińskiego o skomplikowanych i podejrzanych związkach polityki z wielkimi dostawcami nowych mediów cyfrowych oraz krytyczna analiza rolnictwa opartego na cyfryzacji autorstwa Weroniki Koralewskiej.

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ objawami zespołu stresu pourazowego. W przeciwieństwie jednak do wielu współczesnych mu pisarzy, Tolkien był bardziej powściągliwy w wyciąganiu jednoznacznych wniosków. U niego wojna bywa czasem koniecznością.

Wielu uważało, że jego fabuły nie są w stanie udźwignąć problemów tego formatu.

Znowu – u Tolkiena kluczowe są niuanse językowe. Dwie wielkie bitwy trylogii, czyli obrona Helmowego Jaru oraz starcie na Polach Pelennoru, opisane są w zupełnie inny sposób. Pierwsza przypomina walkę okopową z I wojny, zarówno w przebiegu, jak i w używanej terminologii militarnej. Z kolei druga to niemalże poetycki fresk wzorowany na średniowiecznych eposach.

A sama konwencja fantasy? Dała nowe możliwości opisu świata?

Każda konwencja ma swoje wyjątkowe sposoby opowiadania. Tylko że w przypadku Tolkiena mówienie o fantastyce, szczególnie w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, jest anachronizmem. Oczywiście istnieją również inne korzenie tego gatunku, ale to Tolkien stał się kamieniem milowym. Stworzył oryginalną, wieloelementową hybrydę, w której każdy potem mógł znaleźć coś dla siebie.

Tolkien zostanie z nami także przez kolejne stulecie?

Z pewnością. Udało mu się stworzyć uniwersum na tyle pojemne i złożone, że mogą w nim zamieszkiwać kolejne pokolenia czytelników. Choć na pierwszy rzut oka wydaje się inaczej, ma dużą elastyczność, więc łatwo poddaje się modyfikacjom, a nawet aktualizacjom. Jest w tym coś uroczo paradoksalnego, że udało mu się to osiągnąć właśnie dzięki archaicznym konwencjom i językom.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM Andrychów – 98,8 | FM **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE

Naomi Watts w filmie „Infinite Storm”

Oszczędzanie łez

ANITA PIOTROWSKA

Bohaterka „Infinite Storm” dołącza do grona filmowych twardzieli, dla których zmagania z dziką przyrodą są jednocześnie próbą człowieczeństwa lub plastrem na zranienia.

Śniegu miało już nigdy nie być, chyba że wydarzy się cud. Tymczasem nowy film Małgorzaty Szumowskiej zapowiada w tytule całą śnieżną burzę i właśnie tak ma działać. Widz ma wyjść z kina mocno poturbowany i przewiany, ale za to wewnętrznie wzmocniony.

Stąd celowe zachwianie proporcji – przez większą część czasu ekranowego towarzyszymy głównej bohaterce w szarpaninie z górskimi żywiołami. Lecz anglojęzyczny „Inifinite Storm” nie chce być typowym survivalowym „akcyjniakiem”. Zanim ratowniczka Pam Bales, autentyczna postać zagrana przez Naomi Watts, wyruszy na kolejną akcję, widzimy ją w oświetleniu intymnym – jak wygrzebuje się z łóżka, myje zęby, starannie kompletuje sprzęt, szykuje się do wyprawy. Co kryje się w tych mechanicznych ruchach, wzmożonej zadaniowości, motywacyjnej gadce dodającej animuszu w brzydki listopadowy ranek, będziemy dowiadywać się stopniowo. Jednakże film najlepszy jest wtedy, kiedy jeszcze nie wykłada na stół wszystkich kart i po prostu obserwuje w skupieniu Pam. I niekoniecznie wtedy, gdy wspina się po ośnieżonych graniach Góry Waszyngtona, bo wówczas oglądamy zupełnie inne kino.

Desperat w trampkach – ktoś taki od zawsze był przekleństwem goprowców. Bohaterka znajduje go w szczytowych partiach góry, w stanie wyziębienia i ograniczonego kontaktu, po czym próbuje sprowadzić na dół. Do tego nie ma zasięgu w telefonie, ściga się ze zmrokiem i zmaga z fatalną pogodą. Tak zaczyna się główna, smagana wiatrem, ekstremalno-przygodowa część filmu, w której walczą ze sobą również ratowniczka i ratowany, nazwany tu umownie Johnem (Billy Howle).

Młody mężczyzna najwyraźniej stracił pierwotny instynkt przeżycia, Pam musi więc nie tylko ogrzewać jego zmarznięte członki, ale i ciągle go zagrzewać. Żeby po prostu dał sobie pomóc. Twórcy robią wszystko, by i nas wciągnąć w te mordercze zapasy z naturą, tą dziką i tą ludzką. W efekcie staczamy się z ośnieżonych wzniesień, wpadamy w szczeliny skalne, toniemy w rwących potokach, aczkolwiek cienka bywa granica pomiędzy ekscytacją a zmęczeniem.

Towarzyszy tym przygodom pytanie, czemu – oprócz samego przetrwania – miałoby to wszystko służyć. Przed czym tak naprawdę ucieka Pam Bales? Okazuje się rychło, że stawki są bardzo wysokie. Bohaterka jest osobą w traumie, a spotkanie z Johnem okaże się czymś więcej niż akcją ratowniczą. Stąd druga połowa filmu próbuje nam wynagrodzić dotychczasowe wysiłki. Służy temu chociażby rozdzierająca piosenka „Angel", którą wykonuje za kadrem niebinarna/y Eliot Sumner, owoc związku Stinga i Trudie Styler, współproducentki „Infinite Storm". W tekście tego utworu zawiera się wiele z ukrytej emocjonalności Bales, chociażby jej nieprzystosowanie i tęsknota za idealnym światem z przeszłości. Resztę dopowiada sama Pam, kiedy nazywa góry swoją terapią. Dołącza w ten sposób do grona tych filmowych twardzieli, dla których zmagania z dziką przyrodą były jednocześnie próbą człowieczeństwa oraz plastrem na rozmaite zranienia. I nie trzeba dodawać, że dość rzadko bywały to kobiety.

Watts wyciąga z tej roli, raczej szkicowej i zbyt domkniętej na papierze, naprawdę dużo i wcale nie po to, by heroizować swoją bohaterkę. Ma w sobie zaciekłą determinację, by wspinać się, ratować, działać, a zarazem paraliżujący wewnętrzny stupor. W nagiej twarzy, często ujmowanej w maksymalnych zbliżeniach, w szczupłym, wyćwiczonym ciele kryje się natura niemal spartańska i osoba zasupłana w swoim bólu. Równocześnie sposób, w jaki ta zesztywniała w duchowej hipotermii kobieta funkcjonuje sama ze sobą, podpatrywana w codziennych nawykach i grymasach, pozwala zbliżyć się do niej, współodczuwać z nią organicznie, bez emocjonalnego szantażu. Dlatego wystarczyłyby nam wiszące u niej w domu fotografie dwóch dziewczynek, by domyślić się, jakiego rodzaju stratę Pam przeżywa i za co każdego dnia narzuca sobie prywatną pokutę.

Bo tak w „Infinite Storm" jawią się zbocza Appalachów, a w rzeczywistości Alp Julijskich – zdjęcia kręcono w Słowenii. Sceny górskie działają na widza wręcz dotykalnie, a kamera Michała Englerta też zdaje się ostro walczyć z żywiołami. Na surowe krajobrazy patrzy bardziej ze zgrozą niż zachwytem. Jeśliby mówić o majestacie, to raczej w kategoriach władzy niż „nieskończonego piękna", o którym wspomina Bales. Zwłaszcza ujęcia z góry nie pozostawiają złudzeń co do miejsca człowieka w tej hierarchii i jego szans w bezpośrednim starciu. Obiektyw utożsamia się także z ludzkim spojrzeniem. Śnieg widziany przez gogle przypomina wówczas żywy ogień, a gdy bohaterka traci kontakt z rzeczywistością, film nagle się urywa, w przenośni i dosłownie, wypełniając ekran ciemnością. Nie da się ukryć – „Infinite Storm" jest operatorskim wyczynem.

Jeśli czymś grzeszy, to tym, co polska noblistka nazwała kiedyś literalizmem. Dotyczy on nie tylko wspomnianej już artykulacji przesłania czy wielkiej potrzeby wytłumaczenia nam tytułu. Powiewająca na ekranie amerykańska flaga chcąc nie chcąc odsyła do Hollywood, do typowych dlań interpretacyjnych uproszczeń, czego wyrazem końcowy przypis z nawiązaniem do biografii prawdziwej Pam Bales.

„Oszczędzaj łzy" – poucza Pam swego podopiecznego w najbardziej krytycznym momencie i jest to rada czysto praktyczna: w górach łatwo się odwodnić. Szkoda, że twórcy filmu, a zwłaszcza debiutujący amerykański scenarzysta Josh Rollins, nie zawsze biorą sobie te słowa do serca. Okazuje się bowiem, że cały wysiłek Pam, całe nasze (również fizyczne) sponiewieranie, zmierzały w gruncie rzeczy do jakże przewidywalnej, podlanej humanizmem puenty. Prawdziwa historia, silna w swej słabości bohaterka, produkcyjny rozmach i reżyserska sprawność obyłyby się bez dosłownych wyjaśnień czy ckliwego finału. Kiedy staje się on prostą apologią poświęcenia i międzyludzkiej bliskości, za bardzo przypomina rysowanie palcem symbolicznych serduszek na zaparowanej szybie.

Pozostaje wierzyć, że gdyby Szumowska i Englert sami napisali ten scenariusz, oszczędziliby nam łatwych pokrzepień, pogłębiliby główną postać, bardziej zaufaliby niejednoznacznościom i niedopowiedzeniom, inaczej wyważyli akcję i emocje. Tu po prostu dobrze wykonali swe zadanie. Powstała ambitna międzynarodowa koprodukcja z dużym polskim udziałem, z wyrazistą, sprawczą protagonistką i gwiazdorską obsadą. Na kino w pełni autorskie zrobione przez twórców „Body/Ciało" przyjdzie nam jeszcze poczekać. ©

INFINITE STORM

reż. Małgorzata Szumowska.
Prod. Australia/Polska/Wielka Brytania 2022.
Dystryb. Gutek Film. W kinach od 27 maja.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Wszystko poszło dobrze

Dramat, reż. François Ozon, Francja 2021, Premiery CANAL+

W swym bardziej poważnym wcieleniu francuski reżyser zajmował się już i terminalną chorobą, i pedofilią w lyońskim Kościele. Tym razem interesuje go eutanazja – jej prawne, etyczne i emocjonalne uwikłania. Osadza problem we współczesnych mieszczańskich dekoracjach, w środowisku rodzinnym, z dala od politycznych debat. W rolach głównych Sophie Marceau i André Dussollier.

2. Kulawe konie

Serial, reż. James Hawes, USA/Wielka Brytania 2022, odc. 1-6, Apple TV+

Adaptacja prozy Micka Herrona odziera kino szpiegowskie z właściwego mu często seksapilu. W oparach absurdu, z dużą dozą społeczno-politycznego komentarza, opowiada o jednostce brytyjskiego kontrwywiadu złożonej z samych nieudaczników. A kieruje nią obleśny agent Lamb, fenomenalnie zagrany przez Gary'ego Oldmana.

3. Przystanek – Ziemia

Dramat, reż. Kateryna Gornostaj, Ukraina 2021, HBO Max, Nowe Horyzonty VoD

Na pograniczu dokumentu i fikcji, choć w rzeczywistości bardzo już dzisiaj odległej, powstał film o dorastaniu w Kijowie. Debiutująca reżyserka przygląda się grupie nastolatków – niepewnych jutra, targanych emocjami i hormonami. Codzienność ukraińskich dzieciaków próbuje objąć spojrzeniem świeżym i nieuprzedzonym.

4. Tina

Dokumentalny, reż. Daniel Lindsay, T.J. Martin, USA/Wielka Brytania 2021, HBO Max

To raczej konwencjonalny hołd złożony osiemdziesięciodwuletniej wokalistce. Śledzi jej karierę, a jednocześnie zagląda za kulisy jej legendy, mierząc się z trudną przeszłością Tiny Turner. Portretuje ofiarę przemocy domowej i stopniową emancypację, punktuje załamania kariery i triumfalne powroty Tiny, a obfite materiały archiwalne rejestrują ewolucję jej muzycznego stylu.

MATERIAŁY PRASOWE KFF

Reżyser Armand Urbaniak i Michał „Gier" Giercuszkiewicz, perkusista grupy Dżem, główny bohater filmu „30 lat wymówek"

10 filmów, które musisz zobaczyć na KFF

WYBRAŁA ANITA PIOTROWSKA

■ **„30 LAT WYMÓWEK",**
reż. Armand Urbaniak

Kiedyś porzucił wszystko i wyjechał w Bieszczady, lecz była w tym raczej ucieczka od demonów niż spełnienie marzeń. Film przypomina postać Michała „Giera" Giercuszkiewicza, znanego fanom grupy Dżem jako genialny perkusista, który wiele lat temu zniknął ze sceny. Dziś mieszka samotnie na tratwie i po trzech dekadach milczenia rozważa powrót do grania. Kamera obserwuje jego codzienne życie na wodzie, skromne i zarazem arcybogate, biorąc pod uwagę „okoliczności przyrody". Całość jest dziełem wrażliwego operatora filmowego i na każdym kroku to się czuje. Urzeka też ścieżka dźwiękowa, zbierająca odgłosy natury. Dokument o tworzeniu muzyki, słuchaniu ciszy i o walce z nieubłaganym czasem.

■ **„ANNY",**
reż. Helena Třeštíková

Nakręciła ten film prawdziwa gigantka kina dokumentalnego, znana z tego, że towarzyszy z kamerą swoim bohaterom przez wiele lat. Na dobre i na złe. Tym razem opowiada o niemłodej już praskiej pracownicy seksualnej, która za dnia musi dorabiać jako „babcia klozetowa", żeby pomóc swoim dzieciom i wnukom. Udziela się również na deskach amatorskiego teatru, gdzie z gorzką autoironią opowiada o swej życiowej kondycji. Unikając moralnej paniki Třeštíková przez szesnaście lat, na tle brutalnych społeczno-ekonomicznych przemian w tej części Europy, przyglądała się zmaganiom Anny o przeżycie i o własną godność. Podczas seansu pojawia się nieodparte wrażenie, że z jakichś powodów taki film nie mógłby powstać w Polsce.

■ **„CESÁRIA ÉVORA",**
reż. Ana Sofia Fonseca

Jak to się stało, że uboga czarnoskóra kobieta po pięćdziesiątce, w dodatku z małego, postkolonialnego i wyspiarskiego kraju, zdołała swoim śpiewem podbić świat? Z takim pytaniem reżyserka przystąpiła do realizacji filmu o „bosonogiej diwie". Po śmierci artystki odwiedziła Republikę Zielonego Przylądka, by przyjrzeć się jej naturalnemu środowisku i spotkać tych, którzy ją znali. Pragnęła dowiedzieć się, skąd wziął się ten ciemny, szorstki osad w ciepłym głosie Évory. A kryły się w nim osobiste tragedie, uzależnienia, choroby i długa walka o uznanie dla jej talentu. Efektem tych poszukiwań jest złożony portret charyzmatycznej śpiewaczki. Po tym filmie jej melancholijne piosenki będą brzmieć zupełnie inaczej.

■ **„GŁOS",**
reż. Dominika Montean-Pańków

Rzadko udaje się wniknąć z kamerą do świata monastycznego, nawet jeśli to dopiero nowicjat. Jeszcze rzadziej udaje się zobaczyć w nim coś więcej niż zbiór rygorów i rytuałów. Reżyserka filmu przygląda się codzienności przyszłych jezuitów, którzy nie mają jeszcze stuprocentowej pewności co do wybranej

na zawsze drogi. Zdjęcia Wojciecha Staronia i muzyka Adama Bałdycha podkreślają klimat miejsca, wyizolowanego i rządzącego się swoimi prawami. Lecz okres próby nie składa się wyłącznie z wykładów i życia kontemplacyjnego. Wolontariat w hospicjum oznacza dla nowicjuszy spotkanie z realnym cierpieniem i śmiercią. W filmie ciągle jeszcze pozostają jedną nogą w naszym świecie i nie wszyscy zapewne będą gotowi zrezygnować z niego na dobre, aby podążyć za swoim powołaniem.

■ „PENELOPA, MOJA MIŁOŚĆ”, reż. Claire Doyon

Trudno znaleźć na ekranie równie intymny i do bólu szczery zapis codziennego życia z dzieckiem dotkniętym ciężką postacią autyzmu. I jednocześnie rozpisany na 18 lat dziennik dojrzewania matki (oraz reżyserki, współscenarzystki i operatorki w jednej osobie), która metodą prób, błędów czy kolejnych odkryć dociera do tego, co najważniejsze w ich relacji i czym jest dobrostan młodego człowieka ze spektrum autyzmu. Używając różnych nośników filmowych, Doyon obserwuje dynamikę życia rodzinnego po przyjściu na świat tytułowej Penelopy. Najważniejszy staje się jednak proces, w którym matka poszukuje drogi do swojej córki. Przemierza postępowe gabinety, a nawet mongolskie stepy, żeby w końcu dostrzec, na czym polega jej wyjątkowość, i odnaleźć wspólny język.

■ „POD POWIERZCHNIĄ”, reż. Alexander Niakaris Irvine-Cox

Gdyby nie dziennikarze gazety „Verdens Gang” i wznowione po latach śledztwo, można by sądzić, że jesteśmy w norweskim raju. Tymczasem pośród malowniczych fiordów i soczystych łąk znajduje się gmina, gdzie przez wiele lat dochodziło do aktów pedofilii na niewyobrażalną skalę. Wszystko to było tajemnicą poliszynela, zaś lokalne władze robiły, co mogły, by ów proceder zatuszować. Utrwalona w epickich obrazach natura jest świadkiem nie tylko seksualnych nadużyć – ich podłożem bywał ukryty rasizm wobec rdzennej ludności Saamów. Przed nami coś więcej niż dokument śledczy, który rejestruje historyczne precedensy w norweskim prawie. Powstała przejmująca rzecz o odzyskiwaniu głosu przez ofiary, rozumiane tu w dwojakim znaczeniu tego słowa.

■ „SIMONA”, reż. Natalia Koryncka-Gruz

Aż dziwne, że dopiero teraz bohaterka takiego formatu trafia na duży ekran. Albowiem życie Simony Kossak to fascynująca i wielowątkowa historia: legendarnej rodziny, osobistych dramatów i przede wszystkim wielkiej pasji, która zaprowadziła krakowską biolożkę wprost do Puszczy Białowieskiej. Odnalazła tam swój prawdziwy dom i kawałek raju, gdzie koegzystowali ze sobą w harmonii ludzie i zwierzęta. Dokument rekonstruuje tę niebywałą biografię za pośrednictwem ciotecznej wnuczki Simony, z użyciem przebogatych materiałów archiwalnych, głównie autorstwa Lecha Wilczka, fotografa i partnera Kossak. Patrzymy na kobietę, która pod wieloma względami wyprzedzała swój czas i również dziś zdaje się nie mieścić w anegdocie.

■ „SYNDROM HAMLETA”, reż. Elwira Niewiera, Piotr Rosołowski

W obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainę nie czas na hamletyzowanie. Jednakże twórcy znani z dokumentu „Efekt domina” czy „Książę i dybuk” nakręcili swój nowy film tuż przed 24 lutego, prześwietlając stan umysłu młodych Ukraińców i Ukrainek w sytuacji przesilenia. Z Donbasu już od dawna słychać kanonady, niektórzy bohaterowie odczuli wojnę na własnej skórze, trwają tymczasem przygotowania do szekspirowskiego spektaklu, którego tworzywem będą też indywidualne doświadczenia aktorów i aktorek. To film złożony z bardzo różnorodnych pytań i emocji. Uświadamia, że choć dziś żyjemy w jednoznacznie czarno-białym świecie, już za chwilę nasi ukraińscy sąsiedzi, zwłaszcza ci z „pokolenia Majdanu”, będą musieli zmierzyć się z zupełnie nowymi wyzwaniami.

■ „ŚCINKI Z ŻYCIA SZCZĘŚLIWEGO CZŁOWIEKA”, reż. Jonas Mekas

„Moje wspomnienia odeszły, a obrazy pozostały. I są prawdziwe” – mówi pochodzący z Litwy amerykański mistrz awangardy, który w tym roku obchodziłby sto lat. Jego celuloidowy dziennik, tworzony przez cztery dekady, zawierał także materiały przypadkowe, niechciane i „brudne”. Dzisiaj ten niezwykły kolaż ułomnych obrazów działa niczym medytacja. Przy okazji Mekas udowadnia, że życie to w gruncie rzeczy „święto nieistotności”. Składają się nań pochwycone kamerą drobiazgi: mijani niegdyś anonimowi przechodnie, czyjaś nieostra twarz, spojrzenie kota, błysk na szybie, cień na trawie – ot, powoli blaknące odrzuty ze stołu montażowego. Bo kino staje się dla Mekasa maszyną pamięci peryferyjnej, choć przecież właśnie tam skrywa się czasami najbardziej ulotne piękno. Oraz coś, co ostatecznie można by nazwać szczęściem.

■ „WSZYSTKO, CO ŻYJE”, reż. Shaunak Sen

Zwycięzca tegorocznego festiwalu Sundance to przykład kina dokumentalnego najwyższej próby. Powstał na przekór nienawiści do tego, co inne, i obojętności na los wszelkich istot żywych. A przy okazji przywraca na moment wiarę w człowieka: opowiada o dwóch braciach z Nowego Delhi, którzy założyli klinikę dla ptaków masowo zabijanych przez smog. Ale nie tylko kania czarna jest tu gatunkiem zagrożonym i nie tylko z powodu zanieczyszczonego powietrza. Panujące w Indiach ksenofobiczne nastroje szczególnie dają się we znaki muzułmańskiej społeczności. Wychodząc od mikroobserwacji, film zatacza coraz szersze kręgi, nabiera coraz głębszego oddechu i zamienia się w wielowarstwową opowieść o złożonym ekosystemie, którego częścią wszyscy jesteśmy. I o ludzkiej determinacji, aby ratować to, co najbardziej kruche. ©

KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY to najważniejsze w Polsce święto kina dokumentalnego, krótkometrażowego i animowanego. To przestrzeń, w której wybitni i uznani filmowcy z całego świata spotykają się z debiutantami, a publiczność staje oko w oko z twórcami i bohaterami filmów. To festiwal uroczystych premier i trampolina do międzynarodowej kariery, ale przede wszystkim miejsce spotkań tych, którzy kochają kino – w kameralnych salach legendarnych krakowskich kin studyjnych i w wirtualnym świecie seansów online. Serce dokumentu bije w Krakowie!

62. Krakowski Festiwal Filmowy odbędzie się w dniach od 29 maja do 5 czerwca w krakowskich kinach i od 3 do 12 czerwca online na KFF VOD.

Lektor:
Fascynujący kłamczuch

▪ *Nicolas Edme Rétif de la Bretonne*
PAN MIKOŁAJ CZYLI SERCE LUDZKIE ODSŁONIONE
Wybór, przekład i komentarze Ryszard Engelking.
Wydawnictwo Officyna,
Łódź 2022,
ss. 636.

„Klasyk spod ciemnej gwiazdy" – szkic Tadeusza Żeleńskiego (Boya), napisany w dwustulecie urodzin Rétifa de la Bretonne (1734-1806), otwiera dziś polską edycję wyboru z jego najważniejszego dzieła. Pisarz – jak zauważał wtedy Boy – doceniony za życia, cieszący się u współczesnych olbrzymim rozgłosem, wielbiony i czytany, został potem „zapomniany doszczętnie, niemal naznaczony piętnem hańby, wyrzucony za nawias literatury, bywał zbywany w fundamentalnych nawet podręcznikach paroma słowami petitu". Uzupełnijmy: w akademickiej historii literatury francuskiej Gustave'a Lansona nazwisko Rétifa (Réstifa) nie pojawia się nawet w indeksie. Boy zamierzał przełożyć jedną z jego powieści, „Ostatnią przygodę czterdziestopięcioletniego mężczyzny", ale zrobił to dopiero pół wieku później Ryszard Engelking. Znakomity tłumacz Flauberta i Baudelaire'a przedstawia nam teraz Pana Mikołaja jako takiego – bez cudzysłowu, bo chodzi przecież o autobiograficzne wyznanie, z założenia szczere, a nawet intymne, choć pełne przeinaczeń i zmyśleń, co paradoksalnie jest istotnym elementem portretu tego pisarza. Bowiem, pisze Engelking, „nad całą jego autobiografią unosi się wielkie uskrzydlone kłamstwo", czytelnik zaś nie ma o to pretensji, bo „Rétif kłamie z wdziękiem i przede wszystkim chce okłamać samego siebie". Poprawia niejako własne życie, z którego uczynił swój główny temat, w powieściach proponuje wręcz alternatywne jego warianty. Skrajny egotysta, skupiony na sobie, swoich emocjach, przygodach uczuciowych i erotycznych, daje równocześnie wspaniałą panoramę codziennego życia francuskiej prowincji i wielkiego Paryża. W tej księdze – a jest to wybór stanowiący około jedną trzecią oryginału, bo chodzi o autora niemożliwie czasem rozgadanego – można się pogrążyć bez reszty, wspierając się rozbudowanymi przypisami. Pierwszym kontaktem polskiego czytelnika z Rétifem – poza świetnym szkicem Boya – nie była wcale jego proza, tylko wydana w 1970 r. powieść romantyka Gérarda de Nerval „Zwierzenia Mikołaja Restifa". Dopiero po niej ukazał się niewielki wybór z „Nocy paryskich", wspomniana „Ostatnia przygoda..." i numer specjalny „Literatury na Świecie" (1997). A we Francji? Pisarz oskarżany kiedyś o grafomanię i pornografię trafił niedawno do kanonicznej Bibliothèque de la Pléiade... ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Od podszewki

Jeden, dwa, trzy – też wam zapewne dzwoni w uszach dochodzący z każdej gazety i porannej audycji klekot ekspertów od zapychania łamów i czasu antenowego, którzy toczą dyskusje, w ile bloków trzeba skupić opozycję w wyborczym starciu z władzą za półtora roku. Niewczesne rozważania. W słownikowym, staroświeckim sensie tego słowa, który wskazuje nie tylko, że coś jest „nie w porę", ale i dotyka znaczeń takich jak „nie na miejscu", „godne pożałowania".

Trzy butelki na dwóch w jeden wieczór – a, to co innego. Taka operacja liczbowa zawsze jest w porę. „Jedną osuszyliśmy za nasze miłości, drugą za nasze ojczyzny, a trzecią dla symetrii" – pisze A. J. Liebling, dziennikarz pracujący tuż przed i po II wojnie dla „New Yorkera", w jednym ze szkiców z tomu „Między posiłkami. Apetyt na Paryż". Jako patentowany symetrysta z certyfikatem podpisanym żółcią przez samego Tomasza Lisa, zaczynam oczywiście od tej trzeciej, a na pierwsze dwie już nie starcza mi na ogół siły. Jestem rozsądny, słucham się mojej wątroby, choć zdaniem Lieblinga jest ona wynalazkiem złośliwych lekarzy.

Większość jego tekstów, pisanych krótko po II wojnie, to ściskający za gardło i przełyk, nostalgiczny hołd dla gasnącej już wówczas gwiazdy francuskiej radości życia na dawną modłę. Do jej celebrowania wystarczał solidny żołądek i mózg (oraz – bądźmy realistami – portfel). Cała reszta wewnętrznych rur i gruczołów znanych z atlasu anatomicznego nie wydaje się mieć żadnego znaczenia. Z drobnym wyjątkiem organów danych człowiekowi do rozmnażania – ale o tym aspekcie twórczości Lieblinga lepiej dziś nie wspominać, bo żadna samokrytyka by go nie uchroniła przed „kancelowaniem", czyli wdeptaniem w ziemię za uwagi o relacjach płci i libertyńskich przyjemnościach czynione 70 lat temu w zupełnie innym kontekście społecznym.

„Przed I wojną światową francuscy lekarze byli potulni i dobrze wychowani. Rozumieli, że mają za zadanie ułatwiać obżarstwo, a nie do niego zniechęcać. Do życia w cywilu wrócili pełni nowego poczucia władzy, które dał im zwyczaj dokonywania amputacji. Zamiast, jak dawniej, łagodzić niestrawność, przynosić ulgę w dyspepsji i koić ataki podagry, zaproponowali pacjentom wycięcie trzech czy czterech dań z jadłospisu". Prawie wszystkie teksty z wydanego właśnie u nas tomu obfitują w zabawne, gęste, ale lekko naszkicowane opisy obżarstwa i ludzi, którzy byli niejako zawodowcami w tej dziedzinie („byli żywotni, złośliwi i nie skarżyli się na wrzody, których można się nabawić od zamartwiania się o zdrową dietę"). Oraz lokali – od prestiżowej restauracji po proste, acz uczciwe prowincjonalne bistro. „Nowe doktryny wpłynęły na świątynie gastronomii niczym reformacja, która zmniejszyła zapotrzebowanie na katedry" – to może jedno z niewielu zdań tej książki, które ociera się o banał, ale być może kiedy Liebling pisał to około roku 1960, taka „świątynna" zbitka była jeszcze oryginalna?

Bo na pewno autor należał do ludzi o ostrym umyśle. Nie zdążyłby zresztą zdziadzieć – zmarł nie doczekawszy sześćdziesiątki, zniszczony przez podagrę i niewydolność wszelkich organów wewnętrznych. To jemu przypisuje się, cyniczne niestety, coraz prawdziwsze zdanie: „wolnością prasy cieszą się ci, którzy ją posiadają". Pisał przenikliwe kawałki o amerykańskiej polityce oraz korespondencje wojenne. Do swojego uwielbianego Paryża powrócił (po pierwszym pobycie w latach 20.) jesienią 1939 r. i zaczął przyglądać się Francji, która szybko oswoiła się z „dziwną wojną", przestając wierzyć w prawdziwą. „Targi tonęły w morzu towarów; pamiętam, że były owoce z Włoch Mussoliniego i doskonały drób z Jugosławii księcia Pawła. (...) Najwyraźniej nie brakowało transportu na nic, z wyjątkiem sprzętu wojskowego".

Tamtych paryskich Hal już dawno nie ma, zostały tylko w nazwie stacji metra, ale mentalnie niewiele się chyba zmieniło. Czytam właśnie, że załamuje się rynek musztardy z Dijon. Brakuje gorczycy – już dawno w Burgundii uprawia się jej znacznie za mało. Do niedawna ogromny import szedł z Kanady, ale tam susze obniżyły znacznie plony. Jedyną sensowną alternatywą jest gorczyca z Rosji i Ukrainy. Chwilowo niedostępna – aż do czasu, kiedy Europa narzuci tam jakiś strawny dla siebie kompromis i zakończy niewczesną dla siebie awanturę. Bo Liebling opisywał *joie de vivre* od rozkosznej strony, my tymczasem, razem z innymi pechowcami na wschodzie, dotykamy tylko jej brudnej podszewki. ©℗

Liebling jako zamożny Amerykanin łatwo mógł się bawić w epikureizm nawet w środku zrytej przez wojny Europy. Ale i my spróbujmy czasem oddzielić kuchnię Francji od jej polityki. W książce pojawia się gratin dauphinois, czyli zapiekanka z Delfinatu, która jest dla mnie najlepszym sposobem na wykończenie w maju starych, przywiędłych już ziemniaków. Obieramy 1 kg ziemniaków i kroimy w plasterki grubości ok. 3 mm, płuczemy i suszymy. Przekładamy do rondla, dolewamy 1 l mleka i 0,25 l śmietanki plus ząbek czosnku, sól i szczyptę gałki muszkatołowej. Doprowadzamy ostrożnie do wrzenia, gotujemy minutkę, studzimy moment, żeby się nie poparzyć, i przekładamy do brytfanki wysmarowanej masłem i czosnkiem, tak by ziemniaki stworzyły maksymalnie dwie warstwy. Zalewamy mlekiem z rondla tak, by prawie przykryło ziemniaki. Posypujemy tartym serem – w oryginalnej wersji jest to gruyere – i wiórkami masła. Pieczemy w 150 st. ok. 40 minut, aż ziemniaki zmiękną pod serową skorupką (jeśli miałaby się za szybko przyrumienić, można przykryć folią aluminiową). Liebling wspomina o dodaniu do masy jajek – ale nigdy tego dotąd nie próbowałem.

UCKYO / ADOBE STOCK

KREZUS, PUTIN I HERODOT

„Zniszczysz wielkie państwo” to motto, które powinien nad swoim biurkiem zawiesić każdy możny polityk naszego świata.

MAREK WĘCOWSKI

Patrząc na wojnę w Ukrainie trzeba przyznać, że Władimir Putin ma rację w dwu sprawach. Po pierwsze, przyszłość naszego świata zależy od Rosji. Po drugie, stawką tej wojny jest bez wątpienia jakaś „denazyfikacja". W obu tych sprawach Putin ma jednak rację dokładnie w tym sensie, w jakim miał ją, rozpoczynając jedną z najbardziej brzemiennych w skutki wojen starożytności, legendarnie bogaty król Lidów w Azji Mniejszej, którego imię nieprzypadkowo weszło do naszego języka na stałe – Krezus.

Na opak

Kiedy król Krezus zapytał grecką wyrocznię w Delfach, czy powinien wyruszyć na wojnę, otrzymał odpowiedź: „Jeżeli zaczniesz wojnę, zniszczysz wielkie państwo". Upewniony w swoich planach, nie pytał już dalej, choć powinien był. Może wówczas zrozumiałby, że delficka Pytia miała na myśli jego własne imperium.

Rzecz działa się w połowie VI wieku p.n.e., a głównym naszym źródłem informacji jest grecki historyk Herodot z Halikarnasu żyjący stulecie później. Pod rządami Krezusa imperium Lidów osiągnęło szczyt swojej potęgi, po podbojach prowadzonych w regionie przez jego poprzedników. Przeciwnikami Lidii byli zarówno Grecy z miast na zachodnim wybrzeżu dzisiejszej Turcji, jak i lokalni konkurenci na wschodzie. Sytuacja na Bliskim Wschodzie zmieniła się jednak dramatycznie w wyniku przewrotu pałacowego i serii wojen w sąsiedniej Medii, rozległym królestwie sięgającym daleko w głąb środkowej Azji. Z tych zawirowań wyłoniło się nowe imperium, Persja, pod rządami młodego, ambitnego i przebiegłego władcy, Cyrusa Wielkiego.

Pokój pomiędzy Persami a Lidami nie mógł być trwały. Ale wojnę rozpoczął, prewencyjnie, nie całkiem jeszcze gotowy do walki Krezus. Tyle pisze Herodot w swoim wielkim dziele „Historie", obejmującym dzieje Greków i ich wschodnich sąsiadów od czasów Krezusa do wojen perskich. Bo właśnie od Krezusa i jego wojny z Cyrusem zaczyna swoją książkę twórca greckiej i zachodniej historiografii.

Poszukiwanie analogii pomiędzy wydarzeniami dziejów starożytnych a naszymi czasami ma bardzo długą tradycję. Wynika ona w dużej mierze ze znaczenia kultury antycznej w Europie nowożytnej. Jest to zawsze zabawa bardzo ryzykowna, w której łatwo o powierzchowne, choć czasem spektakularne paralele. I dlatego zwykle jest to domena niespecjalistów. Zawodowy historyk nie powinien ulegać takiej pokusie. Ale niekiedy trudno się oprzeć.

Najważniejsza, sięgająca najdalej analogia jest jednocześnie najbardziej nieuchwytna. Idzie mianowicie o międzykulturowe nieporozumienia. Często połączone z poczuciem wyższości obu stron, które nawzajem zrozumieć i docenić się nie chcą i nie mogą.

Kwestia szczęścia

Krezus i jego przodkowie dysponowali bajecznymi bogactwami. Płynęły one, po pierwsze, z eksploatacji ich poddanych, po drugie, ze złotonośnych rzek zachodniej części imperium. Krezus stał się w naszej tradycji „krezusem" właśnie z powodu gigantycznych zasobów złota nagromadzonych w skarbcu jego stolicy, Sardes. Te naturalne w dużej mierze bogactwa wyznaczały stan relacji władców Lidii z ich greckimi sąsiadami. Część z nich, mieszkająca w Azji Mniejszej, musiała znosić lidyjską zwierzchność. Inni, na wyspach Morza Egejskiego i na lądzie stałym, zabiegali o względy Krezusa, licząc, że coś im skapnie z lidyjskiego złota. I często nie byli zawiedzeni. Gdyby ktoś chciał szukać analogii z naturalnym bogactwem, gazem i ropą imperium Putina, nie można mu tego zabronić.

Ale analogie idą jeszcze dalej, bo lidyjskie bogactwo było też narzędziem politycznym. Sam Krezus słał przebogate dary do greckich świątyń, jak wyrocznia delficka, ale także zawierał liczne polityczne przyjaźnie z politykami różnych greckich miast-państw, które były od siebie niezależne ↦

MATERIAŁY PRASOWE VEDDER INTERIOR'S

„Eclipse", jacht rosyjskiego oligarchy Romana Abramowicza, zacumowany w porcie w Bodrum (dawniej Halikarnas), miejscu urodzenia Herodota. Turcja, 2019 r.

WIKIMEDIA COMMONS / DOMENA PUBLICZNA

Złoty kołczan z kurhanu Scytów zrabowany z muzeum w Melitopolu

↦ i często ze sobą pokłócone. Ważniejsze jednak były relacje kulturalne. Z jednej strony egzotyczny dwór Lidów uczył Greków prawdziwie luksusowego życia. Greckie elity lubowały się np. w dźwięku uświetniających arystokratyczne biesiady małoazjatyckich instrumentów, jak *kithara*, której antyczna nazwa żyje do dziś w naszej „gitarze". Z drugiej zaś strony rzesze greckich artystów i rzemieślników płynęły wartkim strumieniem do Sardes, w nadziei na zarobek w lidyjskim złocie. Krezus hojnie obdarzał Greków, ich polityków i ich bogów.

Herodot był tej ścisłej wzajemnej relacji doskonale świadom. Ale spuentował ją jedną z najbardziej pamiętnych scen – spotkaniem króla w Sardes z ateńskim politykiem i mędrcem, a w późniejszej tradycji nawet filozofem, Solonem, skądinąd przodkiem Platona. Istotą tego spotkania było najgłębsze możliwe nieporozumienie. Według Herodota, Krezus, znajdujący się wówczas u szczytu powodzenia, zapragnął potwierdzenia swego sukcesu przez najmądrzejszego z ówczesnych Hellenów. Oprowadził Solona po niezmierzonym skarbcu, by na koniec niewinnie zapytać, kogo Solon uważa za najszczęśliwszego z ludzi. Kolejne pedantyczne odpowiedzi Ateńczyka rozczarowały i zirytowały króla. Zamiast swojego imienia usłyszał o kolejnych, całkowicie nieznanych mu Grekach, a dokładniej o takich, którzy znaleźli szczęśliwą śmierć, osiągnąwszy przedtem lokalną chwałę w oczach swoich sąsiadów – w obronie ojczyzny czy w służbie bogów.

Podczas gdy Solon uczył władcę Lidów, że żadne szczęście nie zasługuje na swoje miano, zanim nie ukoronuje go szczęśliwy koniec, a chwilowe powodzenie nie ma większego znaczenia, Krezus uznał, że Grek po prostu nie potrafi docenić sukcesu, kiedy widzi go jak na dłoni.

Grek Herodot nie byłby sobą, gdyby nie dodał, że Krezus musiał uznać mądrość Solona w obliczu śmierci, kiedy pokonany przez Cyrusa miał spłonąć w męczarniach na stosie wzniesionym przez zwycięzcę. Może wówczas zrozumiał, że system wartości zbudowany na powodzeniu i bogactwie tu i teraz czyni go szczęśliwym jedynie tak długo, jak długo utrzymuje się u władzy i całkowicie panuje nad sytuacją. To oczywiście kolejna nauka dla dzisiejszych władców absolutnych.

Ludzie Zachodu i reszta

W dziele Herodota międzykulturowe nieporozumienie, a może raczej konflikt systemów wartości, jest tylko przygotowaniem, swego rodzaju podpowiedzią dla czytelnika, by mógł czy mogła lepiej zrozumieć dalszą opowieść, która od tej pory dotyczyć będzie dziejowej konfrontacji pomiędzy Grekami a wyrosłą na gruzach królestwa Krezusa potęgą Persów. Na poziomie politycznych faktów klęska władcy Lidii stworzyła bowiem nowy porządek światowy, który miał potrwać aż do wyprawy Aleksandra Macedońskiego ponad dwieście lat później. Pogromca Krezusa, Cyrus Wielki i jego następcy zbudują państwo sięgające od Indii po dzisiejszą Bułgarię i od Rumunii po dzisiejszy Sudan i Libię, największy terytorialnie trwały twór polityczny przed czasami Imperium Romanum. Herodot krok po kroku udokumentuje rozwój i podboje tego gigantycznego imperium, by na koniec opisać niespodziewaną klęskę Persów w kolejnych wojnach z marginalnymi, podzielonymi wewnętrznie, a przy tym przysłowiowo biednymi Grekami – pod Maratonem w 490 r. p.n.e., a pod Salaminą oraz Platejami dekadę później.

To właśnie szokujące doświadczenie wojen perskich, druzgocącego zwycięstwa słabszych nad pierwszym prawdziwie globalnym imperium, w dużej mierze ukształtuje sposób, w jaki Europejczycy będą myśleć o sobie, ale przede wszystkim o swoich wartościach, w ich przekonaniu stojących za tym nieoczekiwanym sukcesem. Ten fakt polityczny dał Grekom do myślenia i stworzył, na dobre i na złe, fundamenty europejskiej myśli politycznej. I nie tylko.

O ile do tej pory Grecy czuli się po prostu jednym z wielu ludów Śródziemnomorza – nawet jeśli, jak każdy, potrafili gardzić „obcymi", których od dawna nazywali barbarzyńcami, czyli dosłownie „bełkoczącymi" – teraz zaczęli na różne sposoby definiować swoją wyjątkowość. I oczywiście wyższość. Radykalna opozycja pomiędzy europejską greckością a azjatyckim Orientem stała się odtąd kluczowym elementem myślenia Europejczyków, a potem ogólniej „ludzi Zachodu", o swoim miejscu w świecie.

Zniewieściali podobno Persowie, którzy mimo liczebnej przewagi rzekomo nie mieli szans w starciu z wychowanymi w surowej szkole wartości Grekami, to tylko początek takich wyobrażeń. Półtora stulecia po wojnach perskich Arystoteles zbudował swoją teorię, w której Grecy okazywali się w najwyższym stopniu ludźmi, bo obok dzielności i politycznej mądrości posiadać mieli także wrodzone umiłowanie wolności. Tymczasem barbarzyńcom na wschodzie, jak Persom, czy na północy albo zachodzie, jak koczowniczym Scytom, a później Celtom, brakować miało albo inteligencji, albo chęci decydowania o własnym losie. Stawali się w ten sposób albo przebiegłymi, ale zbyt miękkimi „niewolnikami z natury", albo twardymi, ale niezbyt rozgarniętymi dzikusami.

Oczyma innych

Europejskie wizje świata epoki kolonializmów wyrosły na greckich korzeniach. Ale w cieniu tych rasistowskich niekiedy teorii działo się najważniejsze, a mianowicie poszukiwanie istoty europejskiej „swojskości" – i to poszukiwanie jej przede wszystkim w sferze politycznej. W demokracji, wolności, uznaniu wartości jednostki, a z czasem w ideałach praw człowieka.

Kiedy w latach 80. ubiegłego stulecia w ustach prezydenta Ronalda Reagana pojawił się, obecny już w czasach zimnej wojny, ideologiczny podział na „wolny świat", czyli

Zachód, i wschodnie „imperium zła", czyli autorytarny Związek Radziecki, nietrudno było wskazać starożytne źródła takich koncepcji.

Gdyby jednak na chwilę oderwać się od tych ideologicznych czy wręcz propagandowych schematów, można wskazać, że w tej samej epoce, po upadku Krezusa i zwycięskich dla Greków wojnach perskich, bije źródło tego, co do dzisiaj – z większą lub mniejszą intensywnością – definiuje najgłębsze wartości „Zachodu". Mam tu na myśli wątpliwości co do samych siebie i co do znaczenia własnej kultury. Opisał je w pięknym eseju o „szukaniu barbarzyńcy" Leszek Kołakowski (1984): „Naszym przeznaczeniem doczesnym jest troska nigdy się nie kończąca, wieczne niezakończenie. Tak to w duchu niepewności względem samej siebie kultura europejska może utrzymać swoją duchową pewność i prawo do nazywania się uniwersalną".

Nie jest więc dziełem przypadku, że w greckiej tradycji idealnym królem wcielającym wszystko to, co dobre w wychowaniu młodzieży, życiu publicznym i polityce, stał się nie kto inny, jak właśnie Cyrus Wielki, pogromca Krezusa. To jemu poświęcił pierwszą w europejskiej tradycji książkę o idealnym władcy, słynną „Cyropedię", Ateńczyk Ksenofont, kolega i rywal Platona, a uczeń Sokratesa. Szukanie ideału poza naszym własnym światem, w świecie nam obcym, a nawet fundamentalnie wrogim stanie się odtąd ważnym motywem myśli europejskiej, także politycznej. Głębokie zainteresowanie „obcym", „dobrym dzikim", a niekiedy wątpliwość, czy może to „oni", a nie „my", mają rację w sprawach duchowych, społecznych, gospodarczych czy politycznych właśnie, będzie tzw. Zachodowi towarzyszyć już zawsze.

Pisząc o czasach o wiele późniejszych, Kołakowski zauważał, że „spoglądanie na własną cywilizację oczyma innych, aby ją atakować, stało się manierą literacką upowszechnioną w piśmiennictwie Oświecenia, przy czym »innymi« mogli być równie dobrze Chińczycy lub Persowie, jak gość z gwiazd lub konie". W tym szerokim nurcie mieści się także polski „cesarz reportażu" Ryszard Kapuściński, który od samego początku dziennikarskiej kariery uczynił „Historie" Herodota swoim przewodnikiem po świecie „innego", kluczem do zrozumienia tego, co nazywamy „trzecim światem". Ale Kapuściński zrobił coś więcej. W ostatniej książce pt. „Podróże z Herodotem" (2004) wielokrotnie posłużył się greckim pisarzem w rozważaniach o naturze wschodniego imperializmu. Persja Herodota, jak sam przyznawał, nieraz w jego myśli stawała się carską Rosją albo Związkiem Radzieckim. W roku 2022 Herodot po raz kolejny może nas czegoś nauczyć. Tym razem o zbrodniczym imperializmie Rosji Putina i jego ataku na Ukrainę. Ale także o nas samych patrzących na Ukraińców i na Rosję.

Pierwsza grecka nauka będzie najbardziej oczywista. Nasze spojrzenie na walkę wolności z imperialną agresją, wpisujące się w konflikt Europy czy wręcz „Zachodu" i jego wartości z orientalną despocją, należy do naszego greckiego dziedzictwa. Patrząc na heroiczną obronę Mariupola, nie sposób nie myśleć o Termopilach. Jednocześnie jednak, obok naturalnej sympatii i wsparcia dla oblężonej Ukrainy, zwłaszcza w środowiskach skrajnej lewicy w Europie i Stanach Zjednoczonych podnoszą się różnorodne głosy sprzeciwu: „A co, jeśli to oni mają rację?", „Czy z naszym kolonialnym i imperialnym bagażem historii mamy prawo oceniać dzisiaj Rosję?", „A może imperializm największego kraju świata należy traktować tak, jak zjawiska przyrody? Jak nieokiełznany żywioł, z którym musimy się liczyć, a nawet schodzić mu z drogi, bo nie możemy go uniknąć?". Również takie idee, jakkolwiek niekiedy moralnie i politycznie odpychające, a czasem podsypane barbarzyńskim złotem, należą do naszej greckiej tradycji.

Herodot podpowiada nam coś jeszcze: losy starcia z ludami broniącymi swej wolności nigdy nie są zdecydowane z góry. Determinacja obrońców słusznej sprawy może przeważyć nad posłuszeństwem odległemu władcy nawet przy wielokrotnej przewadze sił imperium. Wszechpotężna despocja nie należy do porządku sił natury. W najlepszym razie zależy od kaprysu bóstwa. W dodatku nawet najbardziej pragmatyczne kalkulacje króla, jak te oparte na odpowiedzi Pytii, mogą wydać wyrok na niego samego, a dzisiejsi doradcy, jak antyczne wyrocznie, mogą go celowo zwodzić niejasnymi ekspertyzami.

W stepie

Herodot z Halikarnasu był w gruncie rzeczy pierwszym historykiem Ukrainy, oczywiście tylko w sensie geograficznym. Jednym z kluczowych momentów jego opowieści jest zwycięski opór, jaki globalnemu imperium perskiemu pod wodzą wielkiego króla Dariusza stawili mieszkający w dzisiejszej Ukrainie dzicy, nieokiełznani Scytowie. Sukces Scytów zapowiadał u Herodota zwycięstwo Greków nad Persami Kserksesa pół pokolenia później. Rosyjska, a potem radziecka propaganda, a nawet rosyjska poezja sięgała po tę historię w XX wieku, szukając analogii z klęską Karola XII, Napoleona czy Hitlera w rosyjskim, a zwłaszcza ukraińskim stepie. Niezwyciężony „scytyjski jeździec" pokonujący imperialne potęgi miał ucieleśniać niezłomnego ducha rosyjskiego czy radzieckiego ludu.

Teraz dziejowe role się odwróciły. To Rosja stała się nienasyconym imperium [z Muzeum Krajoznawczego w Melitopolu Rosjanie ukradli właśnie złote monety i ozdoby Scytów pochodzące z IV wieku p.n.e. – przyp. red.] czyhającym na wolność sąsiada i to ona grzęźnie w ukraińskim stepie. I nie chce sama przed sobą się do tego przyznać.

„Zniszczysz wielkie państwo" to motto, które powinien nad swoim biurkiem zawiesić każdy możny polityk naszego świata. A putinowska propaganda może okazać się paradoksalnie kluczem do zrozumienia świata po wojnie, w której teraz cierpi Ukraina. Wyłoni się z niej na pewno jakiś nowy porządek światowy. I zależeć on będzie w znacznej mierze od losów Rosji. Ale żeby zapanował trwały pokój, konieczna będzie „denazyfikacja" Rosji, a nie Ukrainy. Rozliczenie z własną przeszłością i winą.

Czy to w ogóle możliwe? To zupełnie inna sprawa. Jest jednak jasne, że tylko w ten sposób Rosjanie mogą mentalnie dołączyć do tradycji „Zachodu" i do Europy – „w duchu niepewności względem samej siebie". Warto o tym pamiętać, kiedy dzisiaj dyskutujemy o rosyjskiej kulturze i jej wartościach.

© MAREK WĘCOWSKI

Autor jest badaczem historii antycznej Grecji, autorem książek „Sympozjon, czyli wspólne picie. Początki greckiej biesiady arystokratycznej" i „Dylemat więźnia. Ostracyzm ateński i jego pierwotne cele". Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim.

STANISŁAW

Mancewicz:
Zapachy Putina

Na ogół wystrzegamy się nadmiernego cytowania, zwłaszcza w utworach krótkich, ale okoliczności – mamy nadzieję – usprawiedliwią dziś ten zabieg, a przytoczone wypowiedzi nie dadzą powodu do kąśliwych mniemań, że oto nie chciało nam się opisywać dziwów tego świata własnymi słowami.

Zaczniemy od cytatu z klasyka, od ważnych dla nas słów Antoniego Słonimskiego: „Jestem, jak wiadomo, człowiekiem złym. Nie lubię dzieci, kwiatów, ptaszków, piesków i tym podobnych bredni. To ja odkryłem, że kwiaty są świnie...". Cytat pochodzi z felietonu „Załatwione odmownie", który nie nadaje się dziś do przedrukowania w całości. Nie zdecydowałby się na to żaden wydawca ani redaktor z powodu słusznego lęku przed masowym napadem histerii bądź – wszystko jedno – nienawiści u czytelników żyjących w zalutowanej puszce umysłowej dosłowności. Zaczęliśmy słowami Słonimskiego nie dlatego, by siać tu zamęt, przerażenie, zgorszenie bądź jakże modne oburzenie, ale dlatego, że świńskie kwiaty kojarzą nam się ze skomplikowaną i rozległą problematyką związaną z węchem. Węch zaś, a raczej zapach – popatrzmy – stał się ostatnio poważnie roztrząsaną kwestią polityczną, dzięki niedawnej wypowiedzi byłej doradczyni Donalda Trumpa, Fiony Hill. Jej relacja została podana parę dni temu przez niemal wszystkie polskie media *in extenso*, w tonie bardzo poważnym, w którym zresztą media polskie specjalizują się bez żadnego powodu.

Pani Hill opowiedziała w BBC o swym dawnym spotkaniu z Władimirem Putinem. Cytujemy: „To zabrzmi naprawdę dziwnie, ale pachniał świeżym praniem. Nie wodą kolońską, tylko niemal tak, jakby dopiero co wyszedł z jakiejś specjalnej kąpieli przygotowawczej". Rzec tu trzeba na marginesie, że doradcami politycznymi, nie tylko w Polsce, zostają jednak coraz dziwniejsi ludzie. Zaiste, nie wiemy, co sądzić o tak niezwykłym sformułowaniu jak „kąpiel przygotowawcza", pomijając pomysł na wąchanie Putina czy to podczas międzynarodowych narad, czy podczas posiłku. Jak tu ponuro siedzimy, są to dla nas wszystko kwestie szalenie ekstrawaganckie. Weźmy jednak bardzo ostrożnie na warsztat spostrzeżenie pani Hill, która poza ongiś służbą dla Trumpa, G.W. Busha i Obamy, jest dziś także emerytowaną pracownicą amerykańskiego wywiadu. Oto jej opinia o zapachu Putina budzi nasze najszczersze wątpliwości, może dlatego, że – nie wszyscy to pewnie wiedzą – nie przeszliśmy nigdy żadnego poważniejszego szkolenia w CIA. Nasze zwyczajne, bo nieszpiegowskie przekonanie, jest takie, że każdy człowiek, który choć raz się w życiu kąpał (choćby to była kąpiel przygotowawcza) i choćby raz w życiu uruchamiał pralkę, wie, że zapachy kąpieli i prania to nie jest ta sama bajka. Inna rzecz, że być może w Ameryce, tego wiedzieć nie możemy, ludzie kąpią się w pralkach, a do mycia używają proszków do prania.

Te bardzo śmieszne uwagi na temat zapachu i węchu trzeba koniecznie uzupełnić informacją przedwojenną, która kołatała nam się w naszej przedziwnej pamięci, i którą udało nam się szczęśliwie wyklikać. To wiadomość z grudnia 2015 r. pomieszczona w dzienniku „Rzeczpospolita". Żaden skrót nie odda jej smaku. Ba! Zapachu! Oto owa depesza w całości brzmiała tak: „Białoruski twórca perfum Wład Rekunow stworzył zapach inspirowany osobowością Władimira Putina. – To zapach stworzony dla mężczyzn, nienarzucający się i orzeźwiający – twierdzi autor. Opis perfum wskazuje, że dominują w nich bergamotka i cytrusy, w połączeniu z porzeczkową zieloną nutą, orzeźwiający i nienatrętny. Zapach powstał na zamówienie firmy Leaders. Perfumy noszą nazwę »Leaders number one«. Cena za flakon o objętości 100 ml wynosi 6 tysięcy rubli (ok. 78 euro). Część zysków ze sprzedaży perfum będzie przeznaczona na rzecz dzieci wymagających natychmiastowego leczenia oraz noworoczne prezenty dla domów dziecka". Koniec cytatu, a parafrazując sławne słowa Francisa Fukuyamy wypada rzec, że żyjemy w świecie końca zapachów, przynajmniej tych, które znamy. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

REKLAMA

GRAND Press PHOTO 2022

XVIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS FOTOGRAFII REPORTERSKIEJ

NAGRODA INTERNAUTÓW

ZAGŁOSUJ MIĘDZY 25 MAJA A 1 CZERWCA

https://www.press.pl/gpp-2022/

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD 2 CZERWCA

TRANSMISJA LIVE NA STRONIE GŁÓWNEJ

Oraz na profilach Press i Grand Press Photo na Facebooku i na Press.pl

ORGANIZATORZY

PARTNERZY KONKURSU I GALI

PARTNERZY GALI

PATRONI MEDIALNI